

WISZCZOWNE FANTASY

KATHERINE KURTZ

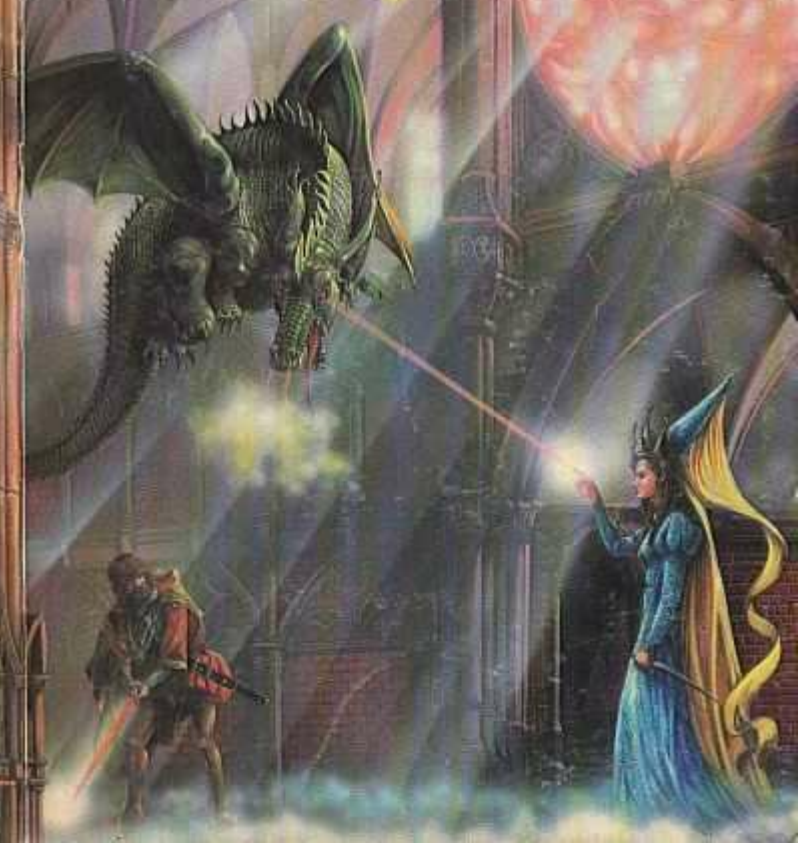
ODRODZENIE DIERYNI



MASTRZOWIE FANTASY

KATHERINE KURTZ

ODRODZENIE DERYNI



KATHERINE KURTZ

ODRODZENIE DERYNI

TYTUŁ ORYGINAŁU: DERYNI RISING

PRZEKŁAD: EWA KOROWICZ

WYDAWNICTWO PIK KATOWICE 1993

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy

003

„Aby łowcy nie zostali osaczeni”.

Rozdział drugi

014

Choć moż ni zasiadają , zmawiają c się przeciw mnie. (Ps 119, 23) Rozdział trzeci

026

Ż adne moce piekielne w swej zawzię toś ci nie dorównają kobiecie wzgardzonej lub pogrąż onej w ż ałobie.

Rozdział czwarty

041

I dam mu gwiazdę poranną . (Ap 2, 28)

Rozdział piąty

052

O Boż e, przekaz Twój są d królowi i Twoją sprawiedliwość swoją

królewskiemu. (Ps 72, 1)

Rozdział szósty

061

A głos przemówi z legendy.

Rozdział siódmy

068

„Orę downik Nieskoń czonoś ci musi prowadzić ...” Rozdział ósmy

076

Rzeczy nie są tym, czym się zdają .

Rozdział dziewiąty

081

Strach mieszka w nieznanym, a w nocy kryje się podstę p.

Rozdział dziesiąty

089

„Skąd d przychodzi laska, a skąd d cud?”

Rozdział jedenasty

094

Syn podąż y ś ladami Ojca.

Rozdział dwunasty

103

Bo na pewno za ś miechem ukrywa się niespokojna dusza.

Rozdział trzynasty

110

„Nowy dzień . Założ pierś cień . Znak Obroń cy przypieczę tuje...” Rozdział czternasty

118

„Kim zatem jest Obroń ca?”

Rozdział piętnasty

125

Teraz walka łą czy. Umysł ś miertelnika nie pojmie tego.

Rozdział szesnasty

130

Koronę szczerozłotą wkładam mu na głowę .

Prosił Ciebie o życie. Ty go obdarzyłeś . (Ps 21, 4-5) CARLOWI M. SELLE,

który zawsze wiedział, że wszystko

Zacznie się w ten sposób.

Rozdział pierwszy

„Aby łowcy nie zostali osaczeni”.

Brion Haldane, król Gwynedd, książę Meary i władca Purpurowej Marchii spiął ostro konia na szczycie wzgórza i przebiegł wzrokiem widnokrąg.

Nie był potężnym mężczyzną, ale jego królewska postawa i kocie ruchy sprawiały, iż niejeden śmiałek ustępował mu pola, choć wrogowie rzadko kiedy mieli dość czasu, aby dostrzec te szczegóły.

Śniady, o pociągłej twarzy, ze śladami siwizny pojawiającymi się tu i ówdzie na skroniach i kruczoczarnej brodzie, już samą swoją obecnością wzbudzał respekt i szacunek. Gdy mówił, czy to głosem władczym, czy też tonem subtelnej perswazji, wszyscy mężowie słuchali go i byli mu posłuszni.

Kiedy zaś słowa okazywały się nie dość przekonujące, zimna stal ostrza nigdy go nie zawodziła. Świadczyła o tym zużyta pochwa miecza u jego boku, a także ostry sztylet w czarnym zamszowym futerale ukryty w rękawie.

Ręce, które trzymały wodze narowistego rumaka, były delikatne, ale silne — ręce człowieka czynu, męża przyzwyczajonego do wydawania rozkazów.

Bliższe jednak poznanie zmuszało do skorygowania pierwszego o nim sądu, kiedy wydawało się, iż jest jedynie królem-wojownikiem. Jego duże, szare oczy wyrażały coś więcej aniżeli tylko waleczność i doświadczenie wojenne. Błyszczała w nich inteligencja i przenikliwy rozum dobrze znane i podziwiane na całym obszarze Jedenastu Królestw.

Otaczała go aura tajemnicy, atmosfera czarnej magii, o której mówiło się tylko szeptem.

Chociaż Brion Haldane miał zaledwie trzydzieści dziewięć lat, już od lat piętnastu utrzymywał pokój w królestwie Gwynedd. Król, który właśnie osadził swojego konia na szczycie wzgórza, zasnął niewielu takich rozrywek, jakim się teraz oddawał.

Brion wysunął stopy ze strzemion i wyprostował nogi. Był późny ranek, mgła dopiero teraz podnosiła się, a nietypowy dla tej pory roku chłód minionej nocy wciąż przenikał wszystko i nawet strój myśliwski ze skóry nie był przed nim wystarczającym zabezpieczeniem.

Czuł, że kolczuga pod tuniką jest zimna jak lód, a znajdujący się pod nią jedwab stanowił niewielką pociechę.

Szczelniej otulił się wełnianym płaszczem koloru purpury. Próbował zgiąć zdrętwiałe palce w skórzanych rękawicach i głębiej naciągnął na czoło szkarłatną czapkę, na której biały pióropusz łagodnie falował w nieruchomym powietrzu.

Mgła unosiła krzyki ludzi, szczekanie ogarów, szczęk wypolerowanych wędzideł i ostróg i inne odgłosy polowania. Spoglądając w dół, dostrzegł w przelocie tonące we mgle sylwetki dorodnych wierzchowców i ich równie dorodnych jeźdźców prezentujących się wspaniale w haftowanych aksamitach i wyczyszczonych do połysku skórach.

Brion uśmiechnął się na ten widok. Był przekonany, że pomimo zewnętrznego splendo-ru i pewności siebie jeźdźcy, podobnie jak on, odczuwali niedogodności wyprawy. Niepogoda sprawiła, iż zamiast spodziewanej przyjemności, polowanie przyniosło jedynie znużenie.

Dlaczego był na tyle nierozważny, by obiecać Jehanie, że na jej stole znajdzie się tego wieczoru dziczyzna? Wiedział przecież, że sezon jeszcze się nie rozpoczął. Nie należało jednak łamać danego damie słowa — zwłaszcza gdy damą tą była ukochana królowa i matka królewskiego potomka.

Niski, żalony dźwięk rogu myśliwskiego potwierdził jego podejrzenia — zgubili trop.

Westchnął z rezygnacją. Jeśli nie nastąpi natychmiastowa zmiana pogody, szanse na zebranie rozproszonej sfory ogarów w czasie krótszym niż pół godziny były raczej znikome. A skoro ogary były tak niedoświadczone jak te tutaj, może im to zabrać całe dni, a nawet tygodnie!

Potrząsnął głową i zaśmiał się na myśl o Ewanie, który był tak dumny ze swoich nowych ogarów. Wiedział, że stary lord Marcher będzie miał niejedno do powiedzenia o dzisiaj-szych wyczynach. Jednakże Brion był pewien, że mimo wszelkich wybiegów, jakie zastosuje, Ewan zasłużył sobie na wszystkie przykrości, które go niechybnie spotkają w ciągu nadchodzących tygodni. Księżę Claibourne powinien wykazać więcej przezorności i nie zabierać szczeniąt na polowanie przed rozpoczęciem sezonu.

Te biedne szczenięta z pewnością nigdy nawet nie widziały dzikiej zwierzyny!

Głuche uderzenia kopyt końskich stawały się coraz bliższe. Brion odwrócił się w siodle, by zobaczyć, kto nadjeżdża. Po chwili z mgły wynurzył się młody jeździec na gniadym wałachu. Odziany był w szkarłatne jedwabie i skóry. Brion z dumą obserwował chłopca, gdy ten ściągnął cugle i zatrzymał wierzchowca u boku ojca.

— Lord Ewan mówi, że to jeszcze trochę potrwa, Panie — oświadczył chłopiec. Jego oczy błyszczały podnieceniem wywołanym gonitwą. — Ogary spłoszyły stado zajęcy.

— Zajęcy! — roześmiał się Brion. — Chcesz powiedzieć, że po wszystkich tych przechwałkach, które musieliśmy znosić przez cały tydzień, Ewan chce, żebyśmy tu tkwili i mar-zli, podczas gdy on spędza swoje szczenięta?

— Na to wygląda, Panie — uśmiechnął się Kelson. — Ale jeśli cię to jakoś pocieszy, to wszyscy czują to samo.

Ma uś miech swojej matki, pomyślał z czułością Brion. Ale oczy i włosy ma po mnie.

Wydaje się taki młody. Czy to rzeczywiś cie upłynę to już prawie czternaś cie lat? Ach Kelson, gdybym tylko mógł ci oszczę dzić tego, co cię czeka...

Brion z uśmiechem odsunął od siebie tę myśl i potrząsnął głową.

— No cóż, skoro wszyscy są równie przygnębieni, to sądzę, że ja czuję się trochę lepiej.

Ziewnął, przeciągnął się i swobodnie rozsiadł się w siodle. Wypolerowana skóra za-skrzypiała. Brion westchnął.

— Gdyby tylko był tu Morgan. Jestem pewien, że we mgle czy bez mgły zaczarowałby jelenie tak, że same znalazłyby się u bram miasta — gdyby tylko zechciał.

— Naprawdę? — zapytał Kelson.

— No, może nie aż tak blisko — przyznał Brion. — Ale w przedziwny sposób radzi sobie ze zwierzętami, a także w innych sprawach. — Król nagle spowaźniał. Z roztargnieniem obracał w palcach szpicrutę.

Kelson natychmiast rozpoznał zmianę nastroju i po chwili milczenia z rozmysłem przysunął swojego konia bliżej starszego mężczyzny. Przez ostatnie parę tygodni ojciec nie był

całkowicie szczery, jeśli idzie o Morgana. W rozmowach najwyraźniej unikano poruszania wszelkich tematów związanych z młodym generałem. Może teraz właśnie nadszedł odpowiedni czas, by dowiedzieć się czegoś w tej sprawie. Postanowił mówić bez osłonek.

— Panie, wybacz, że odezwę się może nie na temat, ale dlaczego nie wezwałeś Morgana z kresów?

Brion poczuł, że kark mu sztywnieje; z trudem ukrył zdziwienie. Skąd chłopiec o tym wiedział? Miejsce pobytu Morgana było bacznie strzeżoną tajemnicą już od prawie dwu miesięcy. Nawet Wysoka Rada nie wiedziała, gdzie Morgan przebywa i dlaczego. Musi ostrożnie wybadać, jak dużo chłopiec wie.

— Dlaczego o to pytasz, synu?

— Nie chcę się wtrącać, Panie — odpowiedział chłopiec. — Jestem pewien, że masz.

swoje powody, z których nawet Wysoka Rada nie zdaje sobie sprawy. Brakuje mi go jednak.

I sędzę, że tobie również.

Khadasa! Chłopiec miał bezbłędny zmysł obserwacji. Zupełnie jakby czytał w jego myślach. Jeśli ma uniknąć dalszych pytań o Morgana, powinien natychmiast odwrócić uwagę Kelsona od tego tematu.

Brion pozwolił sobie na blady uśmiech.

— Dziękuję za wotum zaufania. Obawiam się jednak, że ty i ja należymy do nielicznych, którzy za nim tęsknią. Jestem pewien, że dotarły do ciebie krążące od kilku ostatnich tygodni pogłoski.

— O tym, że Morgan chce cię zdetronizować? — odparł ostrożnie Kelson. — Nie wierzysz w to, prawda? Nie jest to również powód, dla którego przebywa w Cardosie.

Brion przyjrzał się chłopcu kątem oka. Szpicrutą uderzał lekko w prawy but, czego Kelson nie mógł dostrzec. A więc wie nawet o Cardosie.

Chłopiec z pewnością miał dobre źródło informacji. Ponadto był uparty. Celowo skierował rozmowę z powrotem na kwestię nieobecności Morgana, mimo że jego ojciec usiłował

zmienić temat. Może nie doceniał chłopca. Ciągłe zapominał, że Kelson ma już prawie czternaście lat, a więc osiągnął pełnoletność. Gdy Brion obejmował tron był zaledwie o kilka lat starszy.

Postanowił uchylić rąbka tajemnicy i zobaczyć, jak syn zareaguje.

— Masz rację. Nie mogę jednak wnikać teraz w szczegóły. Prawdą jest jednak, że w Cardosie wazą się sprawy królestwa, a Morgan ma na wszystko oko. Wencit z Torenth chce zawaładnąć miastem. Nie szczędzi też wysiłków, by je zaanektować i z tego powodu złamał

już dwa traktaty. Nim przyjdzie wiosna, będziemy prawdopodobnie w stanie wojny — zamy-

ślił się. — Czy to cię przeraża?

Kelson przyglądał się przez chwilę cuglom, zanim odpowiedział.

— Nigdy nie widziałem prawdziwej wojny. — Mówił wolno, jego wzrok przesunął się po równinie. — Jak długo żyję, w Jedenastu Królestwach panował pokój. Można by przypuszczać, że po piętnastu latach pokoju ludzie zapomnieli już, jak się walczy.

Brion uśmiechnął się i odprężył nieco. Zdaje się, że wreszcie udało mu się zmienić temat rozmowy i to go cieszyło.

— Ludzie nigdy nie zapominają, Kelson. Tacy już są, niestety.

— Rozumiem — odparł Kelson. Poklepał szyję gniadosza, wygładził odstający kosmyk w grzywie, wreszcie skierował wzrok na ojca i swoimi szarymi oczyma popatrzył mu prosto w twarz.

— Chodzi znów o Władczynię Mroku, czy nie tak, ojcze?

Wnikliwość tego wypowiedzianego wprost stwierdzenia gwałtownie wstrząsnęła Brionem. Był przygotowany na każde pytanie, na każdą uwagę, na wszystko — z wyjątkiem tego, by syn wymienił to właśnie imię. To niesprawiedliwe, żeby ktoś tak młody musiał stawiać czoło tak przerażającej rzeczywistości! Briona tak to wytrąciło z równowagi, że przez chwilę zaniemówił z otwartymi ustami.

Skąd Kelson dowiedział się o zagrożeniu ze strony Władczyni Mroku? Na Świętego Cambera, chłopiec ma niezwykły talent!

— Nie powinieneś o tym wiedzieć! — wybuchnął wreszcie, gorączkowo próbując zebrać myśli, by udzielić jakiejś logiczniejszej odpowiedzi.

Kelson nie krył zdumienia na widok reakcji ojca, jednak nie spuszczał z niego wzroku.

W jego głosie brzmiała nuta wyzwania, a nawet buntu.

— Jest wiele rzeczy, o których nie powinienem wiedzieć, Panie. Nie powstrzymało mnie to jednak od zasięgnięcia o nich informacji. Czy chciałbyś, żeby było inaczej?

— Nie — wymamrotał Brion. Niepewnie opuścił wzrok i zastanowił się nad odpowiednim sformułowaniem pytania, które musiał zadać. W końcu je znalazł.

— Czy Morgan ci coś powiedział?

Kelson poruszył się niespokojnie, zdając sobie nagle sprawę, że role się odwróciły i że zabrnął dalej, niż planował. To była jego własna wina. On sam nalegał, by dążyć tę sprawę.

Teraz ojciec nie spocznie, póki Kelson nie wyjaśni wszystkiego do końca. Odchrząknął.

— Tak, Morgan powiedział mi. Zanim wyjechał — odparł z wahaniem. — Bał się, że nie będziesz tego pochwalał. — Zwilżył językiem wysuszone wargi. — On — eee... —

również wspomniał o twojej mocy, a także o podstawie twojej władzy.

Brion zmarszczył brwi. Ten Morgan! Był zły, że nie zauważył niczego wcześniej.

Domyślał się teraz, co musiało się wydarzyć. Chłopiec jednak wykazał dużo samozaparcia, zachowując tę wiedzę dla siebie. Możliwe, że Morgan miał przez cały czas rację.

— Jak dużo powiedział ci Morgan, synu? — zapytał ściszym głosem.

— Zbyt wiele, byś był zadowolony, a zbyt mało, by mi to wystarczyło — przyznał niechętnie Kelson. Ukradkiem spojrzął na twarz ojca. — Czy gniewasz się, Panie?

— Czy się gniewam?

To wszystko, co Brion mógł powiedzieć, by nie zacząć krzyczeć z ulgi. Czy się gniewa?

Wnioski, do których chłopiec doszedł, ostrożne pytania, zręczność, z jaką kierował rozmową, nawet gdy się bronił — na Boga, jeśli nie po to, to po co on i Morgan pracowali nad nim przez wszystkie te lata? Czy się gniewa? Jak mógłby się gniewać?

Brion serdecznie poklepał syna po kolanie.

— Oczywiście, że się nie gniewam, Kelsonie — powiedział. — Gdybyś wiedział, jak bardzo mnie uspokoiłeś! Przyznaję, że nie dawało mi to spokoju. Ale jestem teraz pewien bardziej niż kiedykolwiek przedtem, że mój wybór był trafny. Chcę jednak, żebyś mi coś obiecał.

— Cokolwiek każesz, Panie — Kelson odrzekł z pewnym wahaniem.

— Bez tego namaszczenia, synu — zaprotestował Brion. Uśmiechnął się i ponownie dotknął ramienia Kelsona, by go uspokoić. — To nie jest trudne do spełnienia. Ale jeśli cokolwiek by mi się przytrafiło, obiecaj mi, że wyślesz natychmiast po Morgana. Będzie dla ciebie bardziej pomocny niż ktokolwiek inny. Czy zrobisz to dla mnie?

Kelson westchnął i uśmiechnął się. Na jego twarzy malowała się ulga.

— Oczywiście, Panie. Byłaby to moja pierwsza myśl. Morgan wie o tylu rzeczach.

— O, za to dałbym głowę — Brion uśmiechnął się.

Wyprostował się w siodle i swoimi długimi palcami chwycił cugle z czerwonego rzemienia.

— Spójrz. Słońce wychodzi zza chmur. Zobaczmy, czy Ewan zdołał wreszcie zebrać te swoje ogary.

Niebo rozjaśniało się, w miarę jak słońce wspinało się coraz wyżej. Królewska para rzucała przed sobą nikłe, krótkie cienie. Zjeżdżali teraz kłusem ze wzgórza. Mgła rozrzedziła się do tego stopnia, że widać było całą rozległą polanę aż do położonego za nią lasu. Szare oczy Briona z zainteresowaniem przesunęły się po rozproszonej grupce myśliwych.

Był tam Rogier, hrabia Fallon, odziany w ciemnozielony aksamit. Dosiadał wspaniałego siwego ogiera, którego Brion nigdy jeszcze nie widział. Zdawał się bardzo pochłonięty ożywioną rozmową z młodym biskupem Arilanem. Co ciekawsze, tartan klanu McLainów pozwolił zidentyfikować trzeciego jeźdźca jako Kevina, młodszego lorda McLaina. Zazwyczaj on i Rogier nie przepadali za sobą. (Na dobrą sprawę rzadko kto przepadał za Rogierem).

Brion zastanawiał się, co ci trzej mogli mieć sobie do powiedzenia.

Nie miał czasu, by dłużej nad tym myśleć. Jego uwagę przyciągnął tubalny głos księcia Claibourne. Lord Ewan z jasno połyskującą w słońcu ognistą brodą udzielał komuś iście lor-dowskiej reprimendy — nie było to czymś nieoczekiwanym, jeśli wziąć pod uwagę wątpliwy sukces wyprawy.

Brion uniósł się lekko w strzemionach, by lepiej widzieć. Tak jak podejrzewał, cały gniew Ewana skupił się na jednym z pomocników łowczego. Biedny człowiek. To nie była jego wina, że ogary nie spisały się jak należy. Z drugiej strony przypuszczał, że Ewan musiał uczynić kogoś odpowiedzialnym za całe to niepowodzenie.

Uśmiechnął się i zwrócił uwagę Kelsona na powstałe zamieszanie, wskazując, że powinien przyjść z pomocą nieszczęsnemu myśliwemu i uspokoić Ewana. Gdy Kelson odjechał, Brion nadal przypatrywał się jeźdźcom. Tam obok Rogiera był człowiek, którego szukał.

Lekko dotykając wierzchowca ostrogami, pogalopował, by powitać wysokiego, młodego mężczyznę, noszącego purpurę i biel rodu Fianna. Mężczyzna pił z flaszki tkwiącej w kunsztownie wykonanym skórzanym futerale.

— Witam! Co widzę! Młody Colin z rodu Fianna raczący się najlepszym winem! Jak zwykle! Co byś, przyjacielu, powiedział na to, by poczęstować twojego biednego, trzęsącego się z zimna króla kilkoma kroplami?

Zamaszystym gestem osadził konia tuż obok Colina i popatrzył na flaszkę, gdy ten odjął ją od ust.

Colin uśmiechnął się i przetarł rękawem brzeg flaszki, a następnie podał ją Brionowi z jowialnym ukłonem.

— Dzień dobry, Panie. Wiesz dobrze, że moje wino należy do ciebie na każde tve skinienie.

Rogier przyłączył się do nich i zręcznie cofnął swojego ogiera o kilka kroków, gdy kary wierzchowiec Briona pochylił się, by poskubać trawę.

— Dzień dobry, Panie — pozdrowił króla, głęboko kłaniając się w siodle. — Pan mój wykazuje niebywały spryt, bezbłędnie odnajdując najprzedniejszy trunek o tak wczesnej porze. Niesłychany wyczyn!

— Niesłychany? — zaśmiał się Brion. — W taki ranek jak dziś? Rogier, masz wspaniałe dar mówienia nie wprost.

Odrzucił głowę do tyłu, pociągnął długi łyk i westchnął.

— Nie jest tajemnicą, że ojciec Colina ma najlepsze piwnice we wszystkich Jedenastu Królestwach. Przyjmij jak zawsze wyrazy najwyższego uznania, Colin.

Uniósł flaszkę i ponownie się napił.

Colin uśmiechnął się figlarnie i wsparł ręce na łęku siodła.

— Ach, Jego Wysokość mówi tak, próbując mi pochlebić, aby mój ojciec wysłał ci, Panie, kolejny transport wina. Ale to nie jest wino z Fianny. Pewna piękna dama ofiarowała mi je dziś rano.

Brion przerwał picie w pół łyka i z zakłopotaniem spojrzał na flaszkę.

— Dama? Ach, Colinie powinieneś mi być powiedzieć! Nigdy nie poprosiłbym cię o coś, co podarowała ci dama twego serca.

Colin roześmiał się na głos.

— Ona nie jest moją damą. Nigdy przedtem jej nie widziałem. Dała mi po prostu wino.

Poza tym, czułaby się z pewnością zaszczycona, że ty, Panie, go spróbowałeś.

Brion oddał flaszkę i grzbietem rękawicy wytarł wąsy i brodę.

— Nie chcę słyszeć żadnych wykrętów, Colinie — nalegał. — To ja popełniłem błąd.

Pojedziesz u mego boku. A podczas kolacji usiądziesz po mojej prawej stronie. Nawet król musi dać zadośćuczynienie, gdy źle się obchodzi z darami damy.

Kelson pozwolił swobodnie płynąć myślom, gdy skierował konia z powrotem do króla.

Ewan i łowczy doszli wreszcie do porozumienia, a ogary były pod nadzorem. Pomocnicy łowczego trzymali je w jednej zwartej grupie, czekając na królewski rozkaz. Ogary jednak miały swoje własne kaprysy i nie uwzględniały rozkazów królów czy lordów. Było wątpliwe, czy będzie można je w ten sposób długo utrzymać.

Kątem oka Kelson dostrzegł błękit królewski i natychmiast rozpoznał swego wuja, księcia Carthmoor.

Jako brat królewski i jeden z parów królestwa, książę Nigel był w dużym stopniu odpowiedzialny za wychowanie trzydziestu paziów na dworze. Jak zwykle miał w swoim orszaku kilku ze swoich podopiecznych i jak zwykle pochłaniała go jedna z pozornie nigdy nie koń-

czących się batalii, której celem miało być nauczenie ich czegoś pożytecznego. Dziś na polowaniu było ich tylko sześciu, podczas gdy trzej synowie Nigela przebywali w innym towarzystwie. Sądząc jednak po udręczonym wyrazie twarzy Nigela, ci akurat paziowie nie należeli do najbystrzejszych uczniów.

Lord Jared, patriarcha rodu McLain, dawał im z boku wskazówki, jednakże chłopcy w żaden sposób nie mogli pojąć, czego wymaga od nich Nigel.

— Nie, nie, nie — powtarzał Nigel. — Jeśli kiedykolwiek, zwracając się do hrabiego w miejscu publicznym, posłużycie się jedynie zwrotem „Pan”, to skróci was o głowę. I będzie miał rację. Musicie zawsze pamiętać, że do biskupa należy się zwracać „Wasza Ekscelencjo”.

Powiedz mi teraz Jathamie, jak zwróciłbyś się do księcia królewskiej krwi?

Kelson uśmiechnął się i kiwnął na powitanie głową. Nie tak dawno on sam był pod żelazną kuratelą księcia, swojego wuja, i nie zazdrościł chłopcom. Nigel haldańczyk z krwi i kości, Nigel, w każdej sytuacji — czy to na polu bitwy, czy też kształcąc paziów — był

niezwykle wymagający względem innych, ale też i względem siebie. Pomimo iż utrzymywana przez niego dyscyplina była bardzo surowa, niekiedy nawet zbyt ostra, paziowie, którzy zostali jej poddani, wyrastali na dobrych giermków i jeszcze lepszych rycerzy. Kelson był

zadowolony, że Nigel jest po jego stronie.

Na widok Kelsona Brion przerwał rozmowę z Colinem i Rogierem i uniósł rękę na powitanie.

— Co się tam dzieje, synu?

— Sądzę, że lord Ewan opanował już sytuację — odparł Kelson. — Czeka teraz zapewne na twój sygnał, Panie.

— O tak, paniczu — grzmiał głos Ewana.

Ewan zdjął jasnozielony kapelusz i zamachał nim.

— Panie, ogary są gotowe. Tym razem mój łowczy zapewnia mnie, że trop jest prawdziwy. — Nałożył kapelusz z powrotem na bujną, rudą czuprynę i przesadnym gestem na-ciągnął go głębiej. — Lepiej, żeby była to prawda, bo inaczej dziś wieczorem w moim domu będzie płacz i zgrzytanie zębów!

Brion roześmiał się i odchylił w siodle, uderzając dłońmi w uda z rozbawieniem.

— Ależ Ewan, to tylko polowanie! Nie chcę słyszeć żadnego płaczu i zgrzytania zębów z mojego powodu. Jedźmy!

Wciąż dusząc się ze śmiechu, ściągnął wodze i ruszył przed siebie.

Ewan uniósł się w strzemionach i podniósł wysoko rękę. Na ten znak rozbrzmiały rogi.

Daleko przed nimi ogary zaczęły ujadać głębokimi, dźwięcznymi głosami. Jeźdźcy powoli opuszczali polanę.

Puścili się galopem w dół zbocza po nierównym i dzikim terenie, aż wreszcie przez otwarte pola ponownie dotarli na widną polanę. W gorączce pogoni nikt nie mógł dostrzec, iż jeden z pozostających z tyłu jeźdźców oderwał się od reszty i skierował ku krawędzi lasu.

Właściwie nie zauważono nawet, że kogoś brakuje.

W głębokim lesie Yusef Maur stał bez ruchu na skraju małej, ciemnej polany. Jego smukłe, smagłe

dłonie lekko i pewnie trzymały wodze. Cztery stojące za nim konie były spokojne.

Wczesnojesienne liście okalających polanę drzew jaskrawiły się feerią kolorów, zwa-rzone niedawnym mrozem, płonęły złotem, czerwienią i brązem, chociaż tu, pośród wysokich pni, ich barwy były stłumione grą cienia i mroku.

W gęstwinie wysokich drzew, gdzie jedynie zimą docierało światło słoneczne, czarne szaty Yousefa zlewały się i mieszały ze snującymi się cieniami. Spod czarnego jedwabiu czarne oczy bacznie wpatrywały się w polanę, szukając, pilnie badając, a jednak nie dostrzegając tego, co widziały. Yousef nie tyle obserwował, co nasłuchiwał.

I czekał.

Na polanie również czekali i nasłuchiwali trzej inni ludzie. Dwaj, podobnie jak Yousef, byli Maurami, ich mroczne twarze zasłaniały kaptury z czarnego aksamitu, a ich oczy były ciemne, niespokojne, czujne.

Wyższy z nich odwrócił się nieznacznie, by spojrzeć na Yousefa, następnie założył ręce na piersi i odwrócił się, by znów na nowo badawczo obserwować przeciwległy kraniec polany. Czarny aksamit płaszcza lekko się rozchylił, ukazując przez chwilę bogato zdobiony, błyszczący pendent miecza. U jego stóp, na poduszce z szarego aksamitu siedziała Lady Charissa, Księżna Tolanu, Pani Srebrnych Mgieł — Władczyni Mroku.

Z opuszczoną głową, zawoalowana i odziana w srebrzysto-szarą pelerynę, siedziała bez ruchu na poduszce, jej drobną, bladą postać okrywały kosztowne aksamity i futra, a ułożone starannie na kolanach delikatne dłonie wsunięte były w wysadzane klejnotami, zamszowe rękawiczki. Pod srebrzystym jedwabnym welonem nagle się otwarły jej oczy, spokojnie po-wędrowały po polanie i z zadowoleniem spojrzały na czarno odzianą postać Yousefa trzymającego straż przy koniach.

Bez odwracania głowy dostrzegła ciemne sylwetki dwu pozostałych Maurów stojących z tyłu po bokach. Uniosła głowę i odezwała się niskim melodyjnym głosem.

— On już nadjeżdża, Mustafa.

Nie było słyhać niczego, nawet najdrobniejszy szelest liści nie zdradzał, by ktoś nadchodził, lecz Maurowie nigdy niej ośmieliliby się wątpić w słowa swojej pani. Śniada, osło-nięta czarnym rękawem ręka Maura pomogła jej wstać. A ten, który stał u jej lewego boku, wysunął się, przyjmując strategiczną pozycję pomiędzy swoją panią a końmi, by bacznie stać na straży z ręką spoczywającą na rękojeści miecza.

Niespiesznym ruchem Charissa strzepnęła liście z peleryny i szczelniej otuliła szyję kołnierzem ze srebrnych lisów. Gdy stłumiony szelest listowia obwieścił wreszcie długo oczekiwanego gościa, delikatny wietrzyk poruszył jej srebrzystym welonem. Jeden z koni Yousefa cicho zarżał i przesunął niespokojnie kopytem. Wysoki Maur uciszył go natychmiast.

Jeździec wyłonił się spomiędzy drzew i ściągnął cugle. Maurowie odetchnęli z ulgą.

Dobrze znali jeźdźca na gniadym ogierze.

Przybysz również miał na sobie szarą pelerynę. Gdy jednak zsunął z głowy kaptur i odrzucił połę peleryny, ukazało się podszycie ze złotogłowiu. Gdy zaś gość uniósł odzianą w szarą rękawicę dłoń, by poprawić rozwiany wiatrem lok kasztanowych włosów, pod peleryną zabłyszczała zimnym blaskiem szaro-złota tunika.

Wysoki, smukły, o niemal ascetycznych rysach twarzy, lord Ian Howell spoglądał na świat oczami, których odcień brązu był jeszcze głębszy aniżeli kasztanowy kolor jego włosów. Starannie wypielegnowane wąsy i broda okalały wąskie usta, podkreślały wypukłe kości policzkowe i nieznacznie skośne, duże oczy — oczy, z których bił blask większy niż z ciemnych kamieni połyskujących chłodno u jego szyi i uszu.

Te właśnie oczy rzuciły szybkie spojrzenie na Maura, który sięgnął po uzdę jego konia, po czym zatrzymały się na spowitej w szarości postaci kobiety.

— Późno przybywasz, Ianie — odezwała się kobieta. — W jej głosie brzmiało zarówno wyzwanie, jak i zwykle stwierdzenie faktu. Spojrzała na niego wyniośle spod gęstej materii woalu. Gdy Ian nie wykonał najmniejszego gestu świadczącego, że zamierza zsiąść z konia, powolnym ruchem sięgnęła po woal, uniosła go i odrzuciła na jasne, splecione w kok włosy.

Jej spojrzenie stało się przenikliwsze, ale nie odezwała się już ani słowem.

Ian uśmiechnął się leniwie, z rozmachem zsiadł z konia i lekkim krokiem podszedł do Charissy. Powściągliwie skinął głową stojącemu nieco z tyłu Mustafie, po czym w głębokim ukłonie zawinął połę peleryny.

— Jakie wieści? — zapytała.

— Wszystko w porządku, moja droga — odpowiedział słodkim głosem. — Król wypił

wino, Colin niczego nie podejrzewa, a myśliwi są na fałszywym tropie. Powinni tu dotrzeć za godzinę.

— Świetnie. A co z księciem Kelsonem?

— O, jest zupełnie bezpieczny — rzucił, z wyszukaną nonszalancją bawiąc się mankie-tem szarej rękawicy. — Ale darowanie mu teraz życia tylko po to, by go potem zabić, wydaje się niepotrzebnym zawracaniem głowy. To zupełnie do ciebie niepodobne — okazywać łaskę wrogom — brązowe oczy spojrzały z niejakim szyderstwem w niebieskie.

— Łaskę? — powtórzyła Charissa, próbując ocenić wyzwanie.

Spuściła oczy i wolnym krokiem zaczęła przemierzać polanę. Ian dotrzymywał jej kroku.

— Nie martw się — ciągnęła. — Mam pewne plany względem naszego młodego księ-

cia. Ale nie mogę zastawić na Morgana śmiertelnej pułapki bez odpowiedniej przynęty, czyż nie? Jak myślisz, dlaczego tak starannie rozsiewałam pogłoski przez te ostatnie miesiące?

— Sądziłem, że to ćwiczenia w złośliwości. Nie twierdzą oczywiście, że brak ci doświadczenia — odparował.

Dotarli do skraju polany, Ian zatrzymał się przed nią i z rękoma założonymi na piersi oparł się leniwie o pień drzewa.

— Oczywiście Morgan stanowi szczególne wyzwanie, czyż nie, mój skarbie? Alaric Anthony Morgan książę Corwynu, generał Armii Królewskiej. W jego żyłach płynie krew Deryni, a jednak jest akceptowany przez ludzi, a raczej był akceptowany. Czasami myślę, że to martwi cię najbardziej.

— Stąpasz po grząskim gruncie, Ianie — ostrzegła go.

— Och, błagam Jej Wysokość o wybaczenie! — zaproponował, podnosząc rękę w przesadnym geście pojednania. — Jest jeszcze jakaś błaha sprawa morderstwa. Albo egzekucji?

Ciągle nie pamiętam.

— Jest to jedyna rzecz, o której radziłabym ci nie zapominać — odrzekła chłodno. —

Jak dobrze zresztą wiesz, piętnaście lat temu Morgan zabił mojego ojca. Byliśmy wówczas zaledwie dziećmi. On miał niespełna czternaście lat, ja byłam o parę lat młodsza. Ale nigdy nie wybaczę mu tego, co zrobił.

Obniżyła głos, by w końcu, w miarę przypominania sobie dalszych szczegółów, zacząć mówić chrapliwym szeptem.

— Zdradził krew Deryni i sprzymierzył się z Brionem zamiast z nami, sprzeciwił się Radzie Camberyjskiej, by stanąć po stronie zwykłego śmiertelnika. Widziałam, jak zabił mojego ojca, Marluka, i pozbawił go mocy. I to właśnie Morgan ze swoją tajemną mocą Deryni wskazał Brionowi drogę. Nigdy o tym nie zapominaj, Ianie.

Ian wzruszył obojętnie ramionami.

— Nie martw się, mój skarbie. Mam swoje własne powody, by chcieć zobaczyć Morgana martwym, pamiętasz? Księstwo Corwynu graniczy z moimi terenami Eastmarch. Zastanawiam się tylko, jak długo masz zamiar pozostawić go przy życiu.

— W najlepszym wypadku pozostało mu kilka tygodni — odparła Charissa. — I sprawię, że w czasie, który mu pozostał, będzie cierpieć. Dzisiaj Brion zginie z mocy działania Deryni, a Morgan dowie się, że to ja za tym stoję. Sam ten fakt zrani go bardziej niż cokolwiek innego, co mogłabym zrobić. A potem zniszczę tych, którzy są mu bliscy.

— A książę Kelson? — zapytał.

— Nie bądź zachłanny, Ianie — odpowiedziała, uśmiechając się w pełnym złośliwości oczekiwaniu.
— Dostaniesz swoje cenne Księstwo Corwynu. Wszystko w swoim czasie. A ja będę rządzić Królestwem Gwynedd, jak to czynili moi przodkowie. Zobaczysz.

Odwróciła się na pięcie i zaczęła przemierzać polanę, robiąc nagły ruch ręką w stronę Mustafy, który rozsunał gęste listowie, by ukazać prześwit w zaroślach. Za łagodnym zbożem rozciągała się szeroka, zielona łąka, wciąż jeszcze wilgotna i cicha w słabym świetle porannego słońca.

Po chwili dołączył do niej Ian, by rzucić okiem na łąkę i objął ją łagodnie ramieniem.

— Muszę przyznać, że podoba mi się twój plan, skarbie — zamruczał. — Twoja przebiegłość nigdy nie przestanie mnie fascynować. — Spojrzał na nią z namysłem spod długich, ciemnych rzęs. — Jesteś pewna, że nikt poza Morganem nie będzie snuć żadnych podejrzeń?

A gdyby Brion cię odkrył?

Uśmiechnęła się z wyższością i oparła na jego piersi.

— Nie zaprzataj sobie tym głowy, Ianie — powiedziała słodkim głosem. — Jego umysł

jest zamroczony *merashą*, która była w winie. Brion nie poczuje niczego aż do momentu, gdy moja ręka zaciśnie się na jego sercu, a wtedy będzie już za późno. Jeśli chodzi o Colina, to *merasha* nie podziela na niego, jeśli w jego żyłach nie płynie krew Deryni, a jeśli nawet płynie, to będzie bezpieczny, jeżeli odciągniesz go od Briona, gdy nadejdzie pora.

— Colin będzie poza zasięgiem, możesz być tego pewna — odrzekł. Od niechcienia wy-skubał jakieś źdźbło trawy z jej płaszcza i obracał je między palcami. — Zaskarbiałem sobie przyjaźń tego szlachetnego młodzieńca przez całe tygodnie. Niezmiernie mu pochlebia, że stał się faworytem twojego szczerze oddanego hrabiego Eastmarch.

Odsunęła się od niego z rozdrażnieniem.

— Ianie, zaczynasz mnie nudzić. Skoro nalegasz, by zachowywać się w tak pompatyczny sposób, proponuję, byś powrócił do swoich dworskich towarzyszy zabaw. Panująca tam atmosfera jest znacznie odpowiedniejsza dla przechwałek i nadętych frazesów, którym z takim oddaniem zdajesz się hołdować!

Ian nic nie powiedział, uniósł tylko wąską brew. Podeszedł do swojego konia i zaczął

poprawiać strzemień. Gdy już uznał, że zadanie zostało wykonane, rzucił szybkie spojrzenie w jej stronę.

— Czy mam przekazać wyrazy szacunku Jego Wysokości? — zapytał. Usta wykrzywił mu gorzki grymas.

Charissa powoli uśmiechnęła się, po czym podeszła do niego, Ian obszedł konia. Odpra-wiwszy

stojącego obok Maura, chwyciła cugle.

— Jaka jest twoja odpowiedź? — zapytał półgłosem, gdy Maur uklonił się i oddalił.

— Sądzę, że tym razem nie musisz pozdrawiać ode mnie Briona — odpowiedziała poje-dnawczo. Poklepała gniadosza po karku i poprawiła niesforny pasek w bogato zdobionej uździe. — Lepiej już jedź. Polowanie zaraz tu dotrze.

— Do usług, Jaśnie Pani — powiedział z rozbawieniem, dosiadając konia.

Chwycił cugle i spojrzał na nią. Wyciągnął lewą dłoń. Charissa bez słowa wsunęła swoją dłoń w jego, gdy pochylił się, by wargami dotknąć miękkiej skóry rękawiczki.

— Życzę Jaśnie Pani udanego polowania!

Lekko uścisnął jej dłoń, a potem ją uwolnił. Skierował konia ku zaroślom, wracając po swoich śladach.

Władczyni Mroku śledziła go spod przymrużonych powiek, zanim nie znikł w lesie, po czym ponownie usiadła w milczeniu na polanie.

Ian przyłączył się na powrót do polowania. Powoli torował sobie drogę do towarzyszy króla. Jechali teraz swobodnym klusem przez rzadko zalesiony teren, niedaleko przed nimi rozciągała się łąka. Rzucił przelotne spojrzenie na swoje strzemię i popędził wierzchowca w kierunku Colina, unosząc na powitanie rękę.

— Lord Ian — odpowiedział na pozdrowienie Colin, gdy Ian znalazł się u jego boku. —

Dobrze się jedzie z tyłu?

Ian uśmiechnął się rozbrajająco do młodzieńca.

— Świetnie, mój przyjacielu.

Nieznacznie przesunął ciężar ciała i już po chwili dał się słyszeć suchy trzask pękające-go strzemienia,

— A niech to! — zaklął, starając się odzyskać równowagę. — Dla mnie polowanie już się skończyło!

Zwalniał stopniowo, pozwalając, by inni jeźdźcy go wyprzedzili. Pochylił się, by się-

gnąć po strzemię, które wciąż było przyczepione do czubka jego buta. Uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc, że Colin również ściągnął cugle i zawraca teraz, by się do niego przyłą-

czyć. Gdy wszyscy jeźdźcy już ich minęli, zsiadł z konia, by przyjrzeć się siodłu. Colin stał

obok z zatroskanym wyrazem twarzy.

— Już trzy dni temu powiedziałem temu durnemu parobkowi, żeby wymienił strzemię

— pieklił się, oglądając przerwany pasek. — Colin, nie masz przypadkiem zapasowego?

— Zobaczę — odpowiedział Colin i zsiadł z konia.

Podczas gdy Colin grzebał w torbach u siodła, Ian rzucał ukradkowe spojrzenia na łąkę.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Myśliwi właśnie zatrzymali się na środku łąki. Znowu zgubiono trop.

Lada moment...

Pomocnicy łowczego dzielnie starali się panować nad ogarami. Brion uderzył z irytacją szpicrutą w cholewę buta.

— Ewan, twoje szczeniaki znów zgubiły trop — powiedział, próbując coś przed sobą zobaczyć. — Kelsonie, podjedź do przodu i dowiedz się, co się stało? To niemożliwe, żeby zgubiły trop w środku otwartego pola. Ewan, ty zostań.

Gdy Kelson odjechał, Ewan uniósł się w strzemionach, by móc lepiej wszystkiemu się przyjrzeć. Po chwili jednak usiadł z powrotem w siodle, mamrocząc coś do siebie. Trudno by-

ło cokolwiek dostrzec z takiej odległości pośród masy jeźdźców i psów. Porywczy wojownik najwyraźniej szykował się do wygłoszenia płomiennej tyrady.

— Te przeklęte bestie oszalały! — grzmiał. — Niech tylko dostanę w swoje ręce...

— Ewanie, uspokój się — wtrącił szybko Brion. — Najwidoczniej nie jest nam dane...

och!

Przerwał nagle w pół słowa i zastygł, a jego oczy rozszerzyły się w przerażeniu.

— Och, mój Boże! — wyszeptał. Przymknął oczy i zgiął się w pół z bólu. Chwycił się za pierś i padł twarzą na siodło ze zduszonym jękiem. Szpicruta i cugle wysunęły się z jego zdrętwiałych palców.

— Panie! — krzyknął Ewan.

Kiedy Brion zaczął zsuwać się z siodła, Ewan i Rogier chwycili go jednocześnie za ramiona i uchronili przed upadkiem. Inni zeskoczyli z siodła i rzucili się mu z pomocą. Księżę Nigel pojawił się nagle i bez słowa ułożył głowę swego brata na kolanach.

Gdy Rogier i Ewan uklękli przy jego lewym boku, ciałem Briona targnął nowy przyływ nieznośnego bólu. Resztkami sił zawołał:

— Kelson!

Daleko, pośród ogarów, Kelson zobaczył raczej, niż usłyszał owo zamieszanie. Natychmiast ruszył galopem z powrotem, pewny, że musiało się stać coś poważnego. Gdy dotarł

wreszcie do tłumu otaczającego króla, zobaczył ojca leżącego w agonii na ziemi. Zatrzymał

gwałtownie konia na śliskiej murawie, zeskoczył z siodła i rzucił się naprzód, torując sobie drogę wśród gapiów.

Brion ciężko oddychał i zaciskał mocno zęby, usiłując stłumić piekący ból, który nadchodził z każdym uderzeniem serca. Jego oczy wędrowały tam i z powrotem, szukając twarzy syna. Nie zważał też na wszelkie próby pocieszenia czynione przez Ewana, Rogiera i biskupa Arilana.

Widział jedynie Kelsona, który rzucił się na kolana przy jego prawym boku. Z trudem łapał oddech, chwycił dłoń syna, gdy przeszła go kolejna fala bólu.

— Tak wcześnie! — zdołał wyszeptać, jego dłoń niemal zmiażdżyła w uścisku dłoń Kelsona. — Synu, pamiętaj, co obiecałeś. Pamięć...

Jego dłoń zwolniła uścisk, a oczy się przymknęły. Targane bólem ciało rozluźniło się.

Kelson patrzył w osłupieniu, jak Nigel i Ewan usiłowali wyczuć puls, znaleźć jakiś znak życia. Ale Brion już nie żył. Ze stłumionym szlochem przywarł czołem do ręki ojca.

Obok niego biskup Arilan uczynił znak krzyża i zaczął odmawiać modlitwę za zmar-

łych, jego głos był cichy i spokojny w panującej dokoła martwej ciszy. Wszyscy, lordowie i poddani Briona, padli na kolana, jeden obok drugiego, by przyłączyć się do modlitwy biskupa.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie.

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci.

— *Kyrie eleison.*

— *Christe eleison...*

Kelson pozwolił, by znajome słowa ukołysły go, by ich rytm uspokoił przyprawiającą o mdłości pustkę w jego żołądku, by zamieniła się ona w odrętwienie. Siłą woli próbował rozlu-

źnić uścisk w gardle. Po chwili mógł już podnieść głowę i rozejrzeć się nieprzytomnie dokoła.

Nigel zdawał się opanowany, niemal spokojny, gdy klęczał, trzymając na kolanach głowę Briona. Raz po raz jego smukłe palce gładziły proste, czarne włosy nieruchomej brwi —

delikatnie i czule — a myśli błądziły po jemu tylko znanych miejscach.

A Rogier — Rogier spoglądał nic niewidzącym wzrokiem, jego oczy śledziły ruchy palców Nigela, wargi automatycznie powtarzały słowa litanii. Nie wiedział jednak, co widzi i co mówi.

Na długo po tych wydarzeniach, gdy już inne szczegóły owego dnia zatarły się w pamięci młodego księcia, on ciągle miał przed sobą postać Ewana. Jakimś sobie tylko znanym sposobem Ewan odnalazł myśliwski kapelusz Briona.

Wykonany z czerwonej skóry, był teraz poplamiony i podeptany w zamieszaniu i tu-mulcie ostatnich minut.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, śnieżnobiały pióropusz zdobiący kapelusz nie doznał uszczerbku, jego biel pozostała bez skazy, czysta. Gdy Ewan przyciskał kapelusz do piersi, pióropusz drgał niemal hipnotycznie przed oczami Kelsona.

Nagle zauważył zafascynowane spojrzenie Kelsona i popatrzył na kapelusz, na kołyszący się pióropusz, jak gdyby widział je po raz pierwszy. Zawahał się. Po czym wolnym ruchem chwycił pióropusz w swoją potężną prawą dłoń, zgiął go, aż wreszcie złamał.

Kelson wzdrygnął się.

— Król umarł, Panie — ściszym głosem odezwał się Ewan. Pod rudą brodą i zmierzwionymi włosami jego twarz przybrała kolor popiołu.

Rozwarł powoli dłoń i patrzył, jak złamany koniec pióropusza łagodnie spada, by w końcu spocząć na ramieniu Briona.

— Wiem — odparł Kelson.

— Jaki jest... — głos Ewana załamał się pod wpływem emocji, rozpoczął jeszcze raz.

— Czy jest jakiś...

Nie mógł mówić dalej, jego ramionami wstrząsnęły konwulsje, gdy ukrył twarz w kapeluszu Briona.

Nigel podniósł głowę znad twarzy zmarłego brata i dotknął ramienia wojownika.

— W porządku, Ewanie — powiedział miękko. Opuścił rękę i jeszcze raz spojrzał na Briona, potem jego oczy napotkały wzrok bratanka.

— Ty teraz jesteś królem, Kelsonie — powiedział łagodnym głosem. — Jaki jest twój rozkaz?

Kelson ponownie spojrzał na zmarłego króla, po czym wysunął dłoń z uścisku zdrętwiałych palców i złożył dłonie ojca na jego piersi.

— Przede wszystkim — oznajmił spokojnym głosem. — Poślijcie po generała Morgana.

Rozdział drugi

Choć moż ni zasiadają , z mawiają c się przeciw mnie. (Ps 119, 23) Całe dwa tygodnie później Morgan wraz z odzianymi w niebieski mundur adiutantem minęli ze stukotem kopyt końskich północną bramę miasta Rhemuth, które było stolicą królestwa Briona. Mimo wczesnej pory, konie były już spienione i u kresu sił, a z ich pysków wydobywały się śnieżnobiałe kłęby pary.

Panujący na ulicach tłok wskazywał, że nie był to zwykły dzień targowy. Mająca się odbyć nazajutrz koronacja i ściągnęła dodatkowo setki gości, którzy zjechali tu ze wszystkich zakątków Jedenastu Królestw. Ich przybycie sprawiło, że wąskie, brukowane uliczki stały się właściwie nieprzejezdne.

Wozy wypełnione po brzegi towarem, lektyki przesłonięte suto marszczonymi zasłonami, kupcy z naręczami pakunków i tobołków, przekupnie głośno zachwalający swoje zbyt drogie świecidełka, znudzeni arystokraci w otoczeniu niezliczonej świty — wszyscy mieszały się i zlewali w kalejdoskopowej feerii kolorów, aromatów, dźwięków, rywalizowali z bogato udekorowanymi budynkami i łukami miasta.

Piękny Rhemuth — tak nazywano to miasto. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego.

Podążając za lordem Derry, Morgan kierował znużonego drogą wierzchowca pomiędzy tłumem pieszych i pojazdów w stronę bram pałacu. Spojrzał z zadumą na swoje odzienie; tu, pośród jaskrawego przepychu barw wyróżniało się ponurym wyglądem: zakurzona czarna skóra pokrywała większą część kolczugi, od stóp do głów okryty był ciężkim płaszczem z czarnej wełny i soboli.

Dziwne, jak szybko może się zmienić atmosfera miasta. Był pewny, że jeszcze niecałe dwa tygodnie temu wszyscy ci kolorowo ubrani mieszkańcy byli odziani podobnie jak on teraz — w barwy smutku, szczerze oplakując swego zmarłego monarchę. Dziś wszyscy mieli na sobie kolory radości, kolory świąteczne.

Czy to krótsza pamięć, czy też upływający czas, a może po prostu podniecenie wywo-

lane zbliżającą się koronacją kazało tym prostym ludziom zapomnieć o smutku i zająć się ponownie swoimi sprawami. Dla tych, którzy nigdy nie poznali Briona, była to zapewne jedynie kwestia zmiany przyzwyczajenia i wstawienia innego imienia za tytułem „król”.

Inne imię ... inny król... królestwo bez Briona...

Wspomnienia... dziewięć długich dni... zmierzch... czterej znużeni jeźdźcy przybywają-

cy do obozu w Cardosie... zszarzałe twarze lorda Ralsona, Colina i dwu jeźdźców ze straży, gdy z trudem łapiąc oddech, wyrzucili z siebie tę straszną wiadomość... bezskuteczna próba pokonania długich mil, by skontaktować się z umysłem, który już nie mógł odpowiedzieć, nawet gdyby był w zasięgu... odrętwienie, które go ogarnęło, gdy wyruszyli w szaleńczą drogę do Rhemuth... wycieńczone konie, które ciągle wymieniano na nowe... koszmar zasadzki, masakra, z której tylko on i Derry uszli z życiem... nie kończące się mile...

A teraz ta przyprawiająca o mdłości świadomość, że to wszystko jest prawdą, że minio-ny czas już nie powróci, że on i Brion już nigdy nie wyruszą konno na wyprawę pośród wzgórz Gwynedd...

Bezgraniczny żal ogarnął Morgana, grożąc, że zawładnie nim bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Ciężko oddychając, chwycił dla odzyskania równowagi łąk siodła.

Nie!

Nie może pozwolić, by emocje w jakikolwiek sposób przeszkodziły w wypełnieniu zadania, jakie go czeka! Należało umocnić władzę, ukoronować króla, stoczyć zwycięską bitwę.

Spróbował ochłonać, zaczerpnąć głęboko powietrza i siłą woli uspokoić targający nim niepokój. Potem, potem będzie czas na prywatne żale, a może nawet nie będzie takiej potrzeby, jeśli nie spełni swego zadania i sam podąży śladami Briona. Ale dosyć tych przygnębiają-

cych myśli. Żal był czymś, na co nie mógł sobie akurat pozwolić.

Po chwili gdy uświadomił sobie swój stan, popatrzył przed siebie, by sprawdzić, czy Derry zauważył jego wewnętrzne zmagania.

Ten jednak niczego nie spostrzegł albo przynajmniej udawał, że nic się nie stało. Młody lord Marcher był zbyt zajęty utrzymaniem się w siodle i omijaniem przechodniów, by zwracać na cokolwiek uwagę. Poza tym Morgan wiedział, że rany, jakie mu zadano, są bardzo bolesne, chociaż Derry nigdy by się do tego nie przyznał.

Morgan dotrzymywał kroku swemu towarzyszowi i miał właśnie zamiar się odezwać, gdy koń tamtego potknął się. Morgan pochwycił wodze i cudem uratował konia od upadku, jednak jeździec przechylił się niebezpiecznie i z trudem zdołał utrzymać się w siodle.

— Derry, nic ci nie jest? — zapytał z zaniepokojeniem, puścił wodze i chwycił go za ramię. Zatrzymali się na środku ulicy i Derry z wolna odzyskiwał równowagę, a na ledwo widocznej spod hełmu twarzy malował się ból. Ostrożnie trzymając zabandażowany lewy nadgarstek w prawej dłoni, przymknął oczy i wziął głęboki oddech, w końcu otworzył oczy i pokiwał nieznacznie głową.

— Nic mi nie będzie, Panie — szepnął. Włożył zranioną rękę z powrotem do temblaka z czarnego jedwabiu i poprawił się w siodle przy pomocy zdrowej ręki. — Tylko uderzyłem nią o siodło.

Morgan najwyraźniej nie dowierzał. Właśnie sięgał, by zbadać ranę, gdy tuż przy uchu usłyszał przeraźliwy ryk.

— Zrobić przejście dla Zwierzchnika Howicce! Przejście dla Jego Wysokości! — a potem niższym głosem — czy nie możesz znaleźć sobie innego miejsca, by trzymać się za ręce, żołnierzu?

W tej samej chwili bat ze świstem przeciął powietrze i spadł na zad konia Morgana.

Zwierzę z niespodziewaną energią uskokczyło w bok, spychając wierzchowca Derry'ego na pół tuzina wrzeszczących przechodniów.

Oczy Derry'ego zapłonęły gniewem i gotował się już do ostrej riposty, gdy generał kopniakiem zmusił go do milczenia. Morgan przybrał odpowiedni, jak sądził, do okoliczności pokorny wyraz twarzy i dał swemu towarzyszowi do zrozumienia, by zrobił to samo.

Bowiem ryk dobywał się z gardła mierzącego ponad dwa metry wzrostu olbrzyma w kolczudze z brązu, odzianego w jaskrawą zieleń i fiolet — barwy reprezentujące Zjednoczone Królestwa Howicce i Llannedd. W zwyczajnych okolicznościach nie stanowiłoby to żadnej przeszkody, tym jednak razem towarzyszyło mu sześciu podobnych osiłków. No i Derry był

ranny. Zmieniało to nieco układ sił. Poza tym Morgan nie odczuwał przemożnego pragnienia, by zostać zatrzymanym i uwięzionym za zakłócanie spokoju w takim akurat momencie.

Ryzyko było zbyt wielkie.

Morgan z nieskrywanym zainteresowaniem patrzył na przejeżdżających olbrzymów.

Dokładnie się przyjrzał zmierzwionym czarnym włosom i brodom, ozdobionym skrzydłami hełmom z brązu, które wskazywały, że ich właściciele byli najemnikami Connait, barbarzyń-

skim wzorom na fioletowo-zielonej liberii z godłem Howicce, mieczom u pasa i wijącym się czarnym wężom batów w dłoniach.

Nie wiadomo było, kim lub czym jest Zwierzchnik Howicce, chociaż Morgan miał pewne podejrzenia. Olbrzymi eskortowali bogato rzeźbioną lektykę wiezioną przez cztery siwki.

Jej zasłony zdobił przyprawiający o zawrót głowy haft mieniący się blaskami kolorów: zielonego, fioletowego, pomarańczowego i jaskraworóżowego. Orszak zamykało sześciu innych olbrzymów. Morgan, po chwili zastanowienia, doszedł do wniosku, że jego próba przyjrzenia się z bliska lektyce z pewnością nie spotkałaby się z ich przychylnością.

Zresztą nie miało to znaczenia. Morgan wiedział, co myśleć o kimś, kto miał czelność tytułować siebie „Jego Wysokością”. Nigdy nie zapomni Zwierzchnika Howicce i jego świty.

Najwidoczniej Derry rozumował podobnie, bo gdy tylko orszak ich wyminął, pochylił się w kierunku Morgana ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

— Na dukata, cóż to za Zwierzchnik Howicce?

— Nie jestem pewien — odpowiedział Morgan scenicznym szeptem. — Ale nie sądzę, żeby tytuł ten był szczególnie znamienity. Najprawdopodobniej przywłaszczył go sobie jakiś pomniejszy ambasador opanowany złudzeniami co do roli, jaką odgrywa.

Wypowiedział te słowa wystarczająco głośno, by wszyscy je mogli usłyszeć. Wokoło rozległ się nerwowy śmiech. Ostatni z olbrzymów przeszył ich pełnym nienawiści wzrokiem, ale Morgan przybrał niewinną minę i pochylił się w siodle. Olbrzym podążył za orszakiem.

— No cóż, kimkolwiek jest — zauważył po chwili Derry — jedno jest pewne: jego świecie brak dobrych manier. Ktoś powinien dać im nauczkę.

Tym razem Morgan uśmiechnął się złośliwie.

— Zajmę się tym — odpowiedział.

Wskazał na orszak, który lada moment miał zniknąć za rogiem. W miarę jak orszak zbliżał się do pałacu, znajdujący się na jego czele olbrzym wymachiwał batem z coraz wię-

kszą zawziętością. Miał nadzieję wywrzeć silne wrażenie na, jak sądził, ważnych osobistościach.

Wówczas to zdarzyła się dziwna rzecz. Zdawało się, że długi czarny bat, którym olbrzym wywijał z takim upodobaniem, nagle zaczął kierować się własną wolą. Po wyjątkowo nieudanej próbie wychłostania uciekającego ulicznika, bat niespodziewanie owinął się wokół przednich nóg wierzchowca olbrzyma.

Zanim ktokolwiek zdążył uświadomić sobie, co się stało, koń i olbrzym runęli na bruk pośród wrzasków, krzyków, plątaniny nóg i młocących powietrze kopyt końskich.

Jeździec powoli wstawał, siny z wściekłości, głośno miotając przekleństwa. Tłum ryknął śmiechem. Olbrzym musiał w końcu porozcinać rzemienie bata, by uwolnić przerażone zwierzę.

Morgan zobaczył już wystarczająco dużo. Nie kryjąc swego zadowolenia, dał znak Derry'emu, by podążył za nim mniej uczęszczaną uliczką.

Gdy znaleźli się już w jakimś oddaleniu, Derry spojrzał na swego dowódcę z ukosa.

— Cieszę się, że olbrzym zaplątał się we własny bicz, Panie — powiedział. W jego głosie słychać było nieskrywany podziw. — Okazał się niezdara, nieprawdaż?

Morgan uniósł brew.

— Czyżbyś sugerował, że miałem coś wspólnego z tym nieszczęsnym wypadkiem?

Zdaje się, że olbrzymy miewają kłopoty z koordynacją ruchową. I chyba dlatego, że ich mózgi są zbyt małe. — I dodał, jakby sam do siebie:

— Poza tym, nigdy nie przepadałem specjalnie za ludźmi, którzy używają bata w stosunku do innych.

Główny dziedziniec pałacu królewskiego był wypełniony po brzegi tłumem. Morgan nie pamiętał,

żeby kiedykolwiek, nawet gdy był jeszcze małym chłopcem, widział tu tyle ludzi. Jemu i Derry'emu udało się jedynie przepchać przez bramę. Nie miał pojęcia, jak mają się przedostać do pałacu.

Najwidoczniej wielu z przybyłych na koronację dygnitarzy nocowało w pałacu. U stóp schodów pałacowych tłoczyły się lektyki i powozy, a pomiędzy nimi torowały sobie drogę zwierzęta juczne. Wszędzie panoszyli się lordowie i ich damy, hordy służących dopełniały zgiełku. Wrzawa i odór tego miejsca były nieznośne.

Morgan był zaskoczony, że tak wielu szlachetnie urodzonych zechciało przybyć na uroczystość. Był zaskoczony nie dlatego, że koronacja następnego króla Haldane nie była ważnym wydarzeniem. Przyczyną jego zdziwienia był fakt, że tylu zazwyczaj skłóconych ze sobą lordów zebrało się w jednym miejscu z własnej woli i, jak na razie, zachowywało spokój. Jego zaskoczenie będzie jeszcze większe, jeśli przed zakończeniem uroczystości nie dojdzie do co najmniej jednej poważnej sprzeczki.

Nawet teraz grupki giermków z dwu wojujących ze sobą Państw Buforowych Forcinnu dyskutowały, czyj władca ma zająć bardziej uprzywilejowane miejsce przy stole biesiadnym tego wieczoru. Cała ta sprzeczka wydawała się bezsensowna, zważywszy, że i tak obaj władcy zajmą drugorzędne miejsca w stosunku do innego lorda. Bowiem wszystkie Państwa Bu-forowe, a było ich pięć, znajdowały się pod protekcją i kontrolą gospodarczą Państwa Hortyckiego Orsala. Jego chorągiew powiewała już na jednym z masztów nad blankami murów obronnych. Hortycki przedstawiciel znajdzie się przed wszystkimi pretendentami Forcinnu.

Sam Orsal, który kontrolował handel na prawie całym obszarze Morza Południowego, najprawdopodobniej nie pofatygował się. Jego stosunki z Królestwem R'kassi na południu nie były ostatnio zbyt przyjazne. Stary lew morski z pewnością uznał, że przezorniej będzie, jeśli zostanie w domu, by strzec monopolu. Orsal Senior już taki był.

Ale przyjechał Orsal Junior. Po prawej stronic dziedzińca widać było cztery czy pięć jego sztandarów w barwach morskiej zieleni. Kilkunastu służących w liberii Orsala zajętych było rozładowywaniem okazałego bagażu.

Morgan zanotował w pamięci, by odwiedzić go zaraz po mającej się odbyć nazajutrz koronacji, jeśli oczywiście będzie jeszcze żywy. On również miał problemy z Państwami Forcinnu. Może udałoby im się dojść do porozumienia, by zaradzić jakoś tej sytuacji. Orsal powinien przynajmniej wiedzieć, co o tym sądzi. Corwyn i Państwo Hortyckie zawsze łączyły dobre stosunki.

Morgan skinął głową przechodzącemu ministrowi sprawiedliwości Torentu, ale jego umysłu nie zaprzętały już obcy wysłannicy. Jeszcze dziś będzie musiał porozmawiać z członkami Rady Królewskiej. Więc raczej ich powinien poszukać wśród przyjezdnych gości.

Dostrzegł jaskrawopomarańczowy strój lorda Ewana i znajomy rudy kolor włosów, gdy ten właśnie wchodził głównym wejściem u szczytu schodów. Za nim podążali lord Bran Coris i hrabia Eastmarch. Po lewej, kierując się w stronę stajni królewskich, paż prowadził dwa konie z widocznym na ich siodłach jasnym tartanem rodu McLain.

Wiedział teraz, że może liczyć na silne poparcie. Lord Jared, jego przybrany wuj, rzą-

dził niemal jedną piątą Gwynedd, jeśli liczyć Księstwo Kierney należące do jego starszego syna, a łączące się z jego własnym Cassanem. Książę Kierney, Kevin, był długoletnim przyjacielem Morgana, a wkrótce miał zostać jego szwagrem. Nie wspominając nawet o trzecim z rodu McLain, Duncanie, od którego tak wiele dziś zależało.

Dając Derry'emu znak, by za nim podążał, Morgan torował sobie drogę przez zatłoczony dziedziniec na lewo od schodów. Wreszcie zatrzymali się i obaj zsiadli z koni. Przesunął

szybko palcami po nogach swego konia, a następnie rzucił cugle Derry'emu. Zdjął hełm i bezwiednie zmierzwił zlepione, jasne włosy. Jego oczy szukały znajomej twarzy.

— O! Richard FitzWilliam! — zawołał, unosząc w pozdrowieniu dłoń w rękawicy.

Wysoki, ciemnowłosy młody giermek w liberii królewskiej koloru purpury odwrócił

się, słysząc swoje nazwisko i uśmiechnął, rozpoznawszy znajomą postać. Nagle jego uśmiech zniknął i zastąpił go wyraz zatroskania, gdy zaczął nerwowo przepychać się w kierunku Morgana.

— Lordzie Alaric — wyszeptał, wykonując pośpieszny ukłon, a jego oczy pociemniały z obawy. — Nie powinieneś tu przyjeżdżać. Wasza Miłość. Chodzą słuchy, że Rada chce cię dostać w swoje ręce!

Jego oczy nerwowo błędziły od Morgana do Derry'ego. Derry zastygł, próbując przymocować hełm do łęku siodła, po chwili jednak, pod ostrym spojrzeniem Morgana, powrócił

do swego zajęcia. Morgan skierował ponownie uwagę na Richarda.

— Rada planuje podjąć kroki przeciwko mnie, Richardzie? — zapytał, przyjmując niewinny wyraz twarzy. — Za co?

Richard poczuł się nieswojo, spróbował unikać wzroku Morgana. Niezmiernie podziwiał swego mistrza w sztuce wojennej, mimo tego wszystkiego, co o nim mówiono. Jednakże nie chciał być tym, który miałby wyjawić mu prawdę.

— Ja... ja nie jestem pewny, Wasza Miłość — wyjąkał. — Oni, to znaczy, słyszałeś zapewne pogłoski, nieprawdaż? — spojrzał na Morgana z przestraczem, jakby mając nadzieję, że generał jednak nie słyszał, ale Morgan uniósł brew.

— Tak, słyszałem pogłoski, Richardzie — westchnął. — Ale ty im nie wierzysz, prawda?

Richard potrzęsnał bojaźliwie głową.

Morgan trzepnął swojego konia po karku z irytacją, aż zwierzę wzdrygnęło się.

— Niech ich wszyscy diabli! — mruknął. — Tego właśnie się obawiałem! Derry, pamiętasz, co

powiedziałem ci o Radzie Królewskiej?

Derry skrzywił się i przytaknął.

— To dobrze — odpowiedział Morgan. — Czy nie zechciałbyś więc spróbować zjednać nam lordów Rady, podczas gdy ja zabiorę się do pracy?

— Czy nie masz raczej na myśli zwłoki, Panie?

Morgan roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

— Derry, chłopcze, podoba mi się twój sposób rozumowania! Przypomnij mi, żebym pomyślał o stosownej nagrodzie.

— Tak, Panie.

Potem zwrócił się do Richarda, wręczając mu hełm i dwie pary cugli.

— Czy zajmiesz się naszymi końmi i rzeczami?

— Tak, Panie — odrzekł giermek, ze zdziwieniem spoglądając na tych dwu uśmiechających się mężczyzn. — Ale proszę, bądźcie ostrożni — obydwaj.

Morgan skinął z powagą głową i dotknął jego ramienia. Następnie stanowczym krokiem udał się w kierunku schodów. Derry podążył za nim.

Schody wiodące do pałacu, podobnie jak wejście, były wciąż zatłoczone wytwornie odzianymi damami oraz lordami i Morgan znów sobie uświadomił, jak dziwnie musi wyglą-

dać ubrany w zakurzone czarne skóry. Po chwili zrozumiał, że chodziło tu o coś więcej aniżeli tylko o jego strój. W miarę jak wspinał się po schodach, zauważył, że na jego widok rozmowy milkły, szczególnie pośród dam. A gdy odpowiadał na ich spojrzenia swoim zwykłym uśmiechem i ukłonem, damy, jakby obawiając się czegoś, cofały się nieznacznie, a mężczyźni przesuwali dłonie bliżej broni.

Nagle, z całą jasnością uzmysłowił sobie, co się za tym kryje. Mimo jego długiej nieobecności wciąż łączono go z najbardziej nieprawdopodobnymi pogłoskami o Deryni. Ktoś rzeczywiście się natrudził, by do tego stopnia zniesławić jego imię. Ci ludzie faktycznie wierzyli, że jest legendarnym czarnoksiężnikiem Deryni!

Świetnie. Niech się gapią. Podejmie tę grę. Skoro chcieli zobaczyć uprzejmego, pewnego siebie, w niejasny sposób zagrażającego im lorda Deryni, spełni ich życzenie!

Wyzywająco przystanął w progu, aby strzepnąć kurz z ubrania, celowo ustawiając się w taki sposób, by jego miecz i kolczuga błyszczały złowieszczo, a włosy płonęły niczym wy-czyszczzone złoto w pełnym blasku słońca. Został zauważony, to pewne.

Kiedy już uznał, że wywarł odpowiednie wrażenie, powoli potoczył wzrokiem po swojej publiczności. Następnie, jakby był zuchwałym dzieciakiem, odwrócił się na pięcie i wszedł do holu. Za nim, niczym czujny, wierny cień, wsunął się Derry, pod gęstą czupryną kręconych ciemnych włosów jego twarz była nieodgadniona.

Hol był olbrzymi. Musiał być właśnie taki, żeby dobrze spełniać swe funkcje. Brion był potężnym królem, miał wielu wasali i utrzymywał liczny dwór, któremu hojnie wynagradzał wierną służbę.

Był to hol o wysokim suficie, z dębowymi belkami, a tuziny wyszywanych jedwabiem chorągwi stanowiły symbol jedności Jedenastu Królestw osiągniętej za panowania Briona.

Sztandary reprezentowały Carthmoor i Cassan, Kierney i Kheldish Riding, Wolny Port Concaradine, Protektorat Meara, Howicce, Llannedd, Connait, Państwo Hortyckie Orsala. Były tam też chorągwie episkopalne większości wyższych duchownych Jedenastu Królestw. Wszystkie zawieszono na dębowych belkach sufitu, ich wyszywane złotem i jedwabiem insygnia i godła połyskiwały w przyćmionym świetle, jakie docierało z rzędu okien nawy głównej i z trzech olbrzymich kominków ogrzewających wnętrze.

W tych zawodach barw i przepychu proporce rywalizowały z wiszącymi na ścianach bogato haftowanymi gobelinami. Nad głównym kominkiem, na tle aksamitnej materii koloru głębokiej purpury, mrocznie połyskiwał, górując nad resztą hallu — Złoty Lew Gwynedd.

W polu czerwonym złoty lew w pozycji stojącej, przedstawiony en face - tymi słowami heroldowie sławili herb Haldańczyków wiszący nad kominkiem. Żargon heraldyczny nigdy jednak nie opisze bogatego haftu, wspaniałych klejnotów oraz niezwykłego kunsztu, które stworzyły to dzieło.

Zamówił je ponad pięćdziesiąt lat wcześniej dziadek Briona, król Malcolm. Czasy były wówczas trudniejsze i prawie trzy lata upłynęły, zanim zwinne palce tkaczek z Kheldish Riding uporały się z podstawowym wzorem. Następne pięć lat spędzili nad dziełem złotnicy z Concaradine, ozdabiając je złotem i klejnotami. Wreszcie ojciec Briona, Donal, zawiesił je w wielkim holu pałacu.

Morgan pamiętał swoją reakcję jako małego chłopca o jasnych włosach, gdy po raz pierwszy zobaczył Lwa. Ten obraz wiązał się w jego pamięci z chwilą pierwszego spotkania z Brionem, rozpromienionym królem, który stał przed Lwem Gwynedd, witając nieśmiałego, młodego paza na królewskim dworze.

Morgan przywoływał te wspomnienia, jeszcze raz przyglądając się powoli i dokładnie dziełu, tak jak zresztą zawsze miał w zwyczaju to czynić po długiej nieobecności. Dopiero po chwili pozwolił, by jego wzrok podążył w lewo i w górę, gdzie wisiał inny sztandar.

Haftowany zieloną nicią na czarnym jedwabiu, Gryf Corwynu urągał wszelkim konwencjom heraldyki, a już przynajmniej tej dotyczącej kolorystyki. Może jednak był to urok dziedzictwa Deryni, urok, który przetrwał mimo złej sławy, jaką to imię było okryte przez ostatnie dziesiątki lat.

Szmaragdowy Gryf ze skrzydłami kapiącymi złotem i klejnotami, o uniesionej orlej głowie i pazurach, przedstawiony w postaci stojącej, połyskiwał groźnie i tajemniczo na tle błyszczącej czerni, wywołując niemal złowieszcze wrażenie. Złota bordiura dokoła krawędzi

— podwójny splot kwiatowy widniejący na pradawnym herbie rodu Morganów — była hołdem złożonym jego przodkom z linii ojca.

Morgan nieczęsto pamiętał o ziemi, jaka do niego należała z racji tego dziedzictwa, co zresztą nie było takie złe. Owe dwa tuziny posiadłości ziemskich i dóbr lennych porozrzucanych po królestwie stanowiły w większości posag jego siostry Bronwyn, która świetnie nimi zarządzała, a wkrótce, wiosną następnego roku, gdy poślubi Kevina McLaina, miały zostać przyłączone do ziem Kierney. Wówczas z jego spuścizny po ojcu pozostanie mu tylko złoty splot na czarnej tarczy herbowej oraz imię.

To właśnie dźwięk jego imienia wyrwał Morgana z zadumy. Jakieś dwanaście stóp od niego lord Rogier przepychał się przez tłum notabli. Na jego twarzy malowało się zmartwienie, cienka linia wąsów zdawała się wykrzywiać zniecierpliwieniem.

— Morgan! Czekamy na ciebie już od kilku dni! Co się stało? — nerwowo spojrzął na Derry'ego, najwyraźniej go nie rozpoznając, zaniepokojony tą nieoczekiwaną obecnością. —

Gdzie są lord Ralson i Colin?

Morgan zignorował pytanie i zdecydowanie zaczął torować sobie drogę przez hol.

Dostrzegł bowiem Ewana nadchodzącego wraz z Branem Corisem i Ianem Howellem. Jeśli zaczeka z odpowiedzią do momentu spotkania, nie będzie musiał powtarzać dwa razy tych bolesnych wiadomości. On i Ralson byli sobie tak bliscy.

Gdy się spotkali, u lewego boku Morgana pojawił się Kevin McLain, witając go w milczeniu przyjacielskim klepieniem w plecy. Rogier, który był bardzo rozdrażniony, omal ich nie staranował.

— Morgan! — wybełkotał w podnieceniu. — Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy coś im się przytrafiło?

Morgan przywitał ich ukłonem.

— Niestety, tak. Ralson, Colin, dwaj ze straży i trzej moi najlepsi oficerowie — wszyscy nie żyją.

— Nie żyją! — wykrztusił Ewan.

— O mój Boże! — wyszeptał Kevin. — Alaric, co się stało?

Morgan założył ręce za siebie, nabierając sił przed ciężką przeprawą.

— Byłem w Cardossie, gdy nadeszły wiadomości. Wziąłem eskortę: Derry'ego oraz trzech moich

ludzi. Natychmiast wyruszyliśmy do Rhemuth. Gdy byliśmy dwa dni drogi od Cardossy, na przełęczy urządzono na nas zasadzkę. Było to chyba koło Valoret. Ralson i eskorta zostali zabici na miejscu. Colin zmarł od ciężkich ran następnego dnia. Derry ma cię-

żko ranną lewą rękę, ale przynajmniej uszedł z życiem.

Ian zmarszczył brwi i z udaną troską dotknął brody.

To straszne, Morgan. Naprawdę straszne. Ilu, powiedziałaś, że was napadło?

— Nie powiedziałem — odrzekł spokojnym głosem Morgan. Popatrzył na Iana z podejrzliwością, starając się odgadnąć, dlaczego o to pyta. — Sądzę, że było ich dziesięciu albo dwunastu. Zgadza się, Derry?

— Zabiliśmy ośmiu, Panie — pośpieszył z odpowiedzią Derry. — Ale w powstałym zamieszaniu kilku innym udało się zbiec.

— Co takiego? — zachnął się Ewan. — Dziesięciu Gwyneddczyków zabiło tylko ośmiu bandytów? Sądziłem, że potraficie dokonać czegoś *więcej!*

— Ja również — dorzucił Ian, zakładając od niechcienia ręce okryte złocistym jedwabiem zdobionej brokatem koszuli. — Nie uważam się za tak doświadczonego w tej materii eksperta jak lord Ewan, ale wydaje mi się, że rzeczywiście spisałeś się raczej kiepsko. Oczywiście, nikogo z nas tam nie było... — wzruszył ramionami i zawiesił znacząco głos.

— To prawda — odezwał się Bran Coris, mrużąc podejrzliwie oczy. — Nikogo z nas tam nie było. Jak więc możemy być pewni, że wszystko wydarzyło się tak, jak opisałeś? Dlaczego nie użyłeś swojej cudownej mocy Deryni, by ich ocalić? A może ty wcale nie chciałeś ich ocalić?

Morgan zeszywniał. Odwrócił się w stronę Brana. Jeśli ten idiota nie będzie ostrożny, to za chwilę stanie się coś złego. A nie chciał teraz i w tym akurat miejscu ryzykować krwa-wej i otwartej walki.

Niech to! Już po raz drugi tego dnia będzie musiał wycofać się z nadarżającego się pojedynku!

— Nie słyszałem tej uwagi — powiedział z przekąsem. — Posłuchałem rozkazu mojego króla i przyjechałem — odwrócił się w lewo. — Kevinie, czy wiesz, gdzie jest teraz Kelson?

— Powiem mu, że już przy byłś — odrzekł Kevin, usuwając się przed rozwścieczonym Branem, zanim ten zdążył go zatrzymać. Jasny materiał jego opończy zawirował w powietrzu, gdy dziarskim krokiem zaczął się oddalać w głąb holu.

Bran chwycił za rękojeść szpady i przeszył Morgana wzrokiem.

— Sprytnie rozegrane, Morgan. Ale siedmiu zabitych to chyba zbyt wielka cena za twoją obecność tutaj.

Szarpnął za szpadę, ale Ewan chwycił go za nadgarstek i zmusił, by wsunął szpadę z powrotem

pochwy.

— Przestań, Bran! — warknął. — A co do ciebie Alaric, to byłoby lepiej, gdybyś nie przyjeżdżał. Prawdę mówiąc, królowa nie chciała nawet, żeby Kelson po ciebie posyłał. W

każdym bądź razie sędzę, że zanim spotkasz się z chłopcem, powinieneś porozmawiać z królową.

— Doskonale wiem, jakie uczucia żywi do mnie królowa — odpowiedział Morgan cichym głosem. — Na szczęście dla mojego sumienia nie dbam, co ona myśli. Złożyłem obietnicę ojcu chłopca i zamierzam jej dotrzymać — rozejrzał się wokoło. — I nie sędzę, że-by Brion zgodził się, żeby moja osoba była dziś przedmiotem dyskusji na posiedzeniu Rady.

To dla tego zebraliście się tu wszyscy, czyż nie?

Lordowie Rady wymienili ukradkowe spojrzenia, próbując odgadnąć, który z nich powiadomił Morgana o tych planach. W głębi sali Morgan dostrzegł księcia Nigela, który rozmawiał z wychodzącym Kevinem, a po chwili już zbliżał się w ich kierunku.

— Musisz zrozumieć, Morgan — mówił Rogier. — Nikt z nas nie ma nic przeciwko tobie osobiście. Ale królowa, no cóż, ona nie może się pogodzić ze śmiercią Briona.

— Ja również, Rogier — odrzekł spokojnym głosem, a jego szare oczy błysnęły.

Nigel zręcznie wszedł pomiędzy Rogiera i Ewana i dotknął ramienia Morgana.

— Alaric, cieszę się, że cię widzę. A to lord Derry, jak sędzę.

Derry uklonił się w odpowiedzi, najwyraźniej zadowolony z faktu, że rozpoznał go sam książę, a także wdzięczny mu za przerwanie wrogiej wymiany zdań. Wszyscy pozostali również złożyli ukłon.

— Muszę jednak poprosić cię o przysługę — ciągnął Nigel, do perfekcji odgrywając rolę gospodarza. — Czy mógłbyś zastąpić Alarica podczas obrad Rady, Derry? On musi zająć się w moim imieniu pewnymi niecierpiącymi zwłoki sprawami.

— Czuję się zaszczycony, Wasza Wysokość.

— Świetnie — odparł Nigel, torując sobie i Morganowi drogę w kierunku, gdzie zniknął Kevin. — Wybaczcie nam panowie, prawda?

Gdy Nigel i Morgan oddalili się, by wreszcie zniknąć w okolicy apartamentów królewskich, Ian w myśli pogratulował Nigelowi tak dyplomatycznego wyjścia z sytuacji. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Nawet gdyby Morgan rozmawiał z Kelsonem, a nie było sposobu, w jaki mógłby temu zapobiec, to i tak potomka Deryni czekało jeszcze parę niespodzianek.

Tymczasem była jeszcze kwestia lorda Derry, najwidoczniej sprzymierzeńca Morgana.

Natomiast nie lada niespodziankę stanowił Bran Coris. Wiedział, że siły Morgana na Radzie były już

i tak uszczuplone z powodu braku jednego głosu. Zapewniła to w porę śmierć Ralsona. Teraz jednak okazywało się, że i on zdezerterował. Ciekawiło go, co mogło go do tego skłonić. Bran zawsze starał się być neutralny w takich wypadkach.

Gdy Morgan opuszczał z Nigelem hol, zaskoczyła go zmiana, jaka nastąpiła w młodszym bracie Briona w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Chociaż królewski brat miał zaledwie trzydzieści parę lat, czyli o kilka więcej niż Morgan, miał wygląd człowieka dwa razy starszego.

Zmiana ta nie nastąpiła w wyglądzie zewnętrznym Nigela. W jego kruczoczarnych włosach nie było śladu siwizny. Nie przygarbił się, jego dłonie nie trzęsły się porażone chorobą starczą. To było coś w jego oczach, myślał Morgan, idąc długim, marmurowym korytarzem.

Książę zawsze był spokojniejszy, bardziej refleksyjny z dwu braci. Ale to było coś zupełnie nowego — jakieś spojrzenie, którego Morgan nigdy dotąd u niego nie zauważył, spojrzenie kogoś, kto jest zmęczony (*albo zaszczuty?*). Jego też ciężko doświadczyła ta śmierć.

Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem oczu i uszu odźwiernych, Nigel zrzucił maskę pogodnego gospodarza i spojrzał na Morgana z niepokojem.

— Musimy się pośpieszyć — mówił półgłosem, a jego długie kroki odbijały się echem po marmurowej posadzce. — Królowa Jehana przygotowuje się, by zwołać Radę i wnieść oskarżenia przeciwko tobie. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek pośród członków Rady panował bardziej nieprzyjazny nastrój. Jakby wierzyli w pogłoski na temat śmierci Briona.

O tak, oni w nie wierzą bez zastrzeżeń — odrzekł Morgan. — Oni rzeczywiście sądzą, że w jakiś przedziwny sposób moja magiczna moc Deryni uśmierciła Briona z tak dużej odległości. Z Cardoso nie dokonałby tego nawet czystej krwi potomek Deryni — parsknął. — Są też ci naiwni, którzy wierzą, że zmarł na „atak serca”.

Doszli do miejsca, w którym korytarze się krzyżowały i Nigel wybrał korytarz wiodący w prawo, wprost do pałacowych ogrodów.

— No cóż, obie teorie będą dyskutowane. Tego, obawiam się, nie można uniknąć. Ale Kelson ma inną koncepcję, która wydaje mi się słuszna, a mianowicie, że to Charissa stoi za tym, co zaszło.

— Ma też najprawdopodobniej rację — odparł Morgan nie okazując jednak swego zdziwienia. — A co do Rady, myślisz, że sobie z nimi poradzisz?

Nigel spochmurniał.

— Szczerze mówiąc, nie. Nie na dłuższą metę.

Gdy mijali strażnika, Nigel z roztargnieniem odebrał honory wojskowe.

— Widzisz — ciągnął książę — sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby Kelson był już pełnoletni. Wówczas zakazałby po prostu Radzie zajmować się wyssanymi z palca oskarżeniami przeciwko tobie bez konkretnych dowodów. Ale ponieważ nie jest, więc nie może tak postąpić. Dopóki nie

osiągnie pełnoletności, dopóty w rękach Rady Królewskiej spoczywa władza, której nie może się przeciwstawić. Oni decydują o przedmiocie obrad i oni mogą cię skazać zwykłą większością głosów. Czy zamiar ten im się powiedzie czy też nie, w dużej mierze zależy od Kelsona i jego umiejętności manipulowania głosami.

— Będzie umiał to zrobić?? — zapytał Morgan, gdy schodzili po schodach wiodących do ogrodu.

— Nie wiem — odrzekł Nigel. — On jest dobry, diabelnie dobry. Ale nie wiem. Poza tym sam widziałeś najważniejszych członków Rady. Teraz, gdy Ralson nie żyje, a Bran Coris nie kryje się ze swymi oskarżeniami, no cóż, nie wygląda to za dobrze.

— Już w Cardossie wiedziałem, że tak będzie.

Zatrzymali się pod okratowaną altanką na skraju bukszpanowego labiryntu. Morgan rozejrzał się ukradkiem, szukając Kelsona i w myśli pochwalił wybór tego miejsca na spotkanie.

— Te ostatnie wysiłki Jehany, by mnie skompromitować... Jak sądzisz, jakie oskarżenia najprawdopodobniej wysunie przeciwko mnie?

Nigel postawił nogę na rzeźbionej kamiennej ławce, ramię oparł na kolanie i popatrzył z powagą na Morgana.

— O zdradę i herezję — odpowiedział cichym głosem. — I to nie jest prawdopodobne.

To jest pewne.

— Pewne! — wybuchnął Morgan. — Niech to diabli, Nigel. Pewna jest więc też śmierć Kelsona, jeśli królowa nie pozwoli, bym mu pomógł. Czy ona nic zdaje sobie z tego sprawy?

Nigel wzruszył z bezsilnością ramionami.

— Kto może orzec na pewno, o czym Jehana myśli naprawdę? Mogę jedynie powiedzieć, że nasz drogi lord Rogier ma zamiar złożyć formalne oskarżenie o zdradę. Nie ma też najmniejszej szansy, by arcybiskup Corrigan odmówił poparcia wniosku o herezję. Sprowadziła nawet tego arcybiskupa z Valoret — jak on się nazywa — tego, który na północy urzą-

dza nagonki na wszystkich z krwi Deryni.

— Lorris! — wycedził Morgan, odwracając się z niesmakiem.

Narastał w nim gniew. Popatrzył ponad niskim ogrodzeniem altany na położony niedaleko labirynt z bukszpanu. Stąd nic wydawał się skomplikowany, ale Morgan uświadomił

sobie nagle, że przypominał problem, przed którym stał: był zawiły, zagadkowy, pełen nieprzewidzianych trudności, które czekały za każdym rogiem. Istniała jednak pewna różnica —

z bukszpanowego labiryntu istniało wyjście.

Po chwili, już całkiem opanowany zwrócił się ponownie do Nigela.

— Posłuchaj, jestem przekonany, że w uczciwej walce, bez uciekania się do jakichkolwiek nieczystych sztuczek, Kelson byłby w stanie pokonać Charissę raz na zawsze, pod warunkiem jednak, że posiada moc Briona. A na to potrzebuję trochę czasu. Czy Jehana rzeczywiście zdaje sobie sprawę z tego, czym ryzykuje? Czy wie, co się stanie z Kelsonem, jeśli będzie musiał zmierzyć się z Charissą pozbawiony tej mocy? Ty byłeś następnym w linii swojego rodu, więc wiesz najlepiej, o czym mówię.

— Nawet gdy o tym wie, nie przyzna się do tego — westchnął Nigel. — Jeśli jednak sądzisz, że to w jakiś sposób pomoże, mogę jeszcze z nią porozmawiać. Da nam to przynajmniej trochę czasu.

— W porządku — przytaknął Morgan. — A jeżeli nie uda ci się przemówić jej do rozsądku, spróbuj wywrzeć na nią niewielki nacisk.

— Zrobię, co w mej mocy — Nigel pokiwał ponuro głową. — Lepiej, żeby przejrzała na oczy i zaczęła działać rozumnie. Do zobaczenia później.

— Mam nadzieję — Morgan powiedział do siebie. Księżę zniknął już za zakrętem.

Uśmiechnął się gorzko, sadowiac się na ogrodzeniu altanki w oczekiwaniu na nadejście Kelsona. Właściwie nie wierzył, żeby k o m u k o l w i e k udało się zjednać czy wpłynąć na silną osobowość królowej Jehany, a już na pewno nie Nigelowi, który zawsze otwarcie popierał będącego w niełasce generała.

Z drugiej jednak strony, Nigel był jej szwagrem, a fakt ten mógł stanowić pewien atut.

Kto wie? W świecie, gdzie bogowie wstawali z martwych, a na półśmiertelne istoty mogły wzywać na pomoc siły Dobra i Zła, sądził, że wszystko, przynajmniej w teorii, było możliwe.

Nigdy nie zrozumiał wrogości Jehany. Wiedział, że jej korzenie tkwiły w odwiecznej nieufności wobec magicznych mocy Deryni. Podsycala ją jeszcze polityka wojującego Ko-

ścioła, który ostro potępiał wszelkie sztuki okultystyczne. Ale z pewnością chodziło tu o coś więcej.

Dawniej istniały podstawy, by odnosić się z podejrzliwością do wszystkiego, co było w jakiś sposób związane z owym bractwem. Morgan pierwszy to przyznawał. Ale upłynęło już prawie trzysta lat od czasu wprowadzenia przez Deryni Interregnum. I chociaż Jedenaście Królestw było niegdyś przez ponad trzy pokolenia pod ich silnym panowaniem, tamte dni od niemal dwóch wieków należały do przeszłości.

Nawet w czasach największej dominacji Deryni, tylko garstka spośród tego bractwa zajęta była ciemnymi praktykami. Tysiące innych podtrzymywało kontakty z ludźmi. Byli to ci sami, którzy pod przywództwem Cambera z Culdi odkryli, iż w szczególnych warunkach, niektóre wybrane jednostki mogą osiąść całą moc Deryni!

Potem miał miejsce kolejny przewrót, na czele z Camberem, a okres Interregnum zakończył się

równie szybko, jak się zaczął. Tyrani zostali straceni, a władzę przekazano na powrót ludziom — potomkom dawnych władców.

Niestety, rozwścieczony motłoch oraz wojujący Kościół szybko zapomnieli, że z rąk Deryni pochodzi nie tylko ucisk, ale i wyzwolenie. Wkrótce też zaczęto wszystkich traktować jednakowo źle.

W ciągu piętnastu lat od wprowadzenia Restauracji, gdy nie odeszło jeszcze nawet jedno pokolenie, stowarzyszenie padło ofiarą jednego z najkrwawszych prześladowań w historii cywilizacji. Zgładzono dwie trzecie Deryni. A ci, którzy przetrwali, albo ukryli się i wyrzekli swojego dziedzictwa, albo żyli w ciągłym strachu pod ochroną garstki ludzi, pamiętających, jak to było naprawdę.

Mijały lata. Prześladowania ustały. Nienawiść żywiło już tylko kilku zatwardziałych fanatyków. Kilka rodzin Deryni znów nabrało znaczenia. Jednakże sztuki magii nie uprawiano wcale, albo tylko z niezwykłą ostrożnością i w wielkiej tajemnicy. Większość spośród nich, bez względu na warstwę, z której pochodziła, zazwyczaj odmawiała posłużenia się swoją mocą. Wykrycie tajemnych praktyk mogło znaczyć śmierć.

Dla pozostałych jednak czar okresu Restauracji nie minął. Stopniowo przyzwyczajano się, do faktu — choć bez żadnych oficjalnych stwierdzeń — iż władcy Gwynedd, a także paru innych z Jedenastu Królestw obdarzeni byli szczególną mocą, która wiązała się w jakiś tajemniczy sposób z ich boskim przywilejem władzy. Nikt nie mówił, a może nawet nie pamiętał

o pochodzeniu owej mocy, mającej swoje źródło w Deryni. Ale to właśnie ta moc, która od dwustu już lat była przekazywana drogą rytuału z ojca na syna, umożliwiła Brionowi piętna-

ście lat temu pokonanie Marluka.

Nienawiść Jehany do Morgana rozpoczęła się jeszcze przed tą historyczną bitwą.

Chociaż najpierw było inaczej.

Kiedy Brion przywiózł księżniczkę o kasztanowych włosach, by uczynić ją królową, Morgan wraz z całym Gwynedd świętował ku czci tego związku. Był wówczas giermkim króla i, podobnie jak pozostali przebywający na dworze młodzi mężczyźni, był zadurzony w jego ślicznej żonie, uwielbiał ją w porywie pierwszej młodzieńczej miłości. Jehana wniosła na dwór w Rhemuth radość i piękno. Lud kochał ją za to.

Potem nadszedł dzień, gdy Brion przypadkowo wspomniął o pochodzeniu Morgana, o tym, że w jego żyłach płynie krew Deryni. Na tę wieść twarz Jehany pobladła. A wkrótce potem miała miejsce pamiętna wojna z Marlukiem, wojna, która zaważyła na losach Gwynedd.

Wciąż miał przed oczami ów dzień sprzed piętnastu lat, kiedy on i Brion upojeni zwycięstwem nad Marlukiem wracali na czele triumfującej armii.

Pamiętał, jak dumny był Brion z tego chłopca, który kilka miesięcy wcześniej skończył

czternaście lat, gdy wpadli podekscytowani do pokojów Jehany, by pochwalić się zwycię-

stwem. Pamiętał ledwo skrywane przerażenie i rozpacz na twarzy Jehany, gdy zrozumiała, że jej mąż zachował tron i odniósł zwycięstwo dzięki magii Deryni.

Zaraz potem odizolowała się od świata, zamykając się, jak mówiono, w opactwie Saint Giles, w pobliżu Shannis Meer. W końcu jednak ona i Brion pogodzili się i wróciła do Rhemuth. Ale po tym wydarzeniu unikała Morgana. A kiedy rok później urodził się Kelson, dała wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mieć nic wspólnego z młodym lordem Deryni.

Jej decyzja nie wpłynęła w szczególny sposób na życie Morgana. Przyjaźń z Brionem była coraz silniejsza i dojrzała. Zachęcony przez króla czynnie uczestniczył w edukacji i ćwiczeniu Kelsona.

Lecz zarówno on, jak i Brion dostrzegli iluzoryczność owego pojednania. Z biegiem lat Brion musiał powoli pogodzić się z faktem, że jego ukochana królowa nigdy nie zmieni swojego stosunku do tego najbardziej zaufanego spośród przyjaciół.

Morgan nigdy nie widywał królowej poza okazjami, kiedy wymagał tego protokół bądź

sprawy dotyczące Kelsona. Tym nader rzadkim i nie dającym się uniknąć spotkaniom niezmiennie towarzyszyły ostre potyczki słowne. Znając tę kobietę, miał nikłą nadzieję, że ich stosunki ulegną zmianie.

Ciszę ogrodu zakłócił chrzęst rozgniatanego pod butami żwiru. Rozejrzał się i zeskoczył

z ogrodzenia, na którym siedział. Zza zakrętu ścieżki wynurzyli się Kelson i Kevin. Weszli do środka altanki.

Kelson nosił teraz królewską purpurę. Odziany w aksamitny płaszcz z kołnierzem z czarnego lisa, był poważny i spięty. Wyrósł w ciągu tych miesięcy, które minęły, odkąd Morgan widział go po raz ostatni. Doświadczone oko generała dostrzegło także kolczugę pod bogato haftowaną jedwabną tuniką. Czarna krepa opasywała jego ramię tuż nad łokciem i zwisała z pasa.

Najbardziej jednak uderzyło Morgana niesamowite podobieństwo chłopca do ojca, gdy ten był w jego wieku. Patrząc na Kelsona, wydawało mu się, że stoi przed nim Brion: te same szeroko otwarte oczy patrzące spod jedwabistych, prostych, czarnych włosów; dumne uniesienie głowy; swoboda, z jaką nosił królewską purpurę. Dostrzegł pozorną wåtłość szczupłego ciała, przypomniał sobie żelazną siłę, jaką skrywało, w pamięci przywołał długie godziny ćwiczeń w sztuce wojennej, wiele z nich u jego boku.

Był to Brion o Roześmianych Oczach, Brion Połyskującego Miecza, Brion Zamyślony, uczący małego chłopca jazdy konnej i szermierki; udzielający audiencji w pełnym blasku swojej monarszej godności, gdy u jego stóp siedziało oczarowane dziecko. Obraz tego chłopca ciągle był niewyraźny, to jasny, to ciemny, tak jak odległe wspomnienia mieszały się z całkiem świeżymi.

Potem zobaczył znów Kelsona. I jego ojca, który prosi swego serdecznego przyjaciela, by przysiągł, że chłopiec zawsze znajdzie w nim opiekuna, gdyby sam umarł przedwcześnie.

Brion, na parę miesięcy przed śmiercią powierza klucz do swojej boskiej mocy mężczyźnie, który stoi teraz przed jego synem.

Kelson niepewnie opuścił wzrok. Wydawało się, że obu mężczyznom brakowało słów.

Wiedział, co naprawdę chciał zrobić. Chciał podbiec do Morgana — jak to robił, gdy był jeszcze dzieckiem — zarzucić mu ręce na szyję i płakać z ulgą, wypłakać ból, przera-

żenie, cały ten koszmar ostatnich dwóch tygodni; pozwolić, by ten opanowany, niekiedy tajemniczy mąż Deryni ukoił jego lęki i uciszył niespokojny umysł za pomocą tej wzbudzającej grozę magii Deryni. Zawsze czuł się tak bezpiecznie przy jego boku. Gdyby tylko mógł...

Ale nie zrobił tego..

Był teraz mężczyzną, albo przynajmniej tego się po nim spodziewano. A co więcej —

był królem!

Może — przerwał sobie bojaźliwie — *jeśli Morgan zdoła mi pomóc, bym dożył tej chwili!*

Nieśmiało więc, czując się raczej nieswojo w tej nowej roli, podniósł wzrok, by raz jeszcze napotkać wzrok przyjaciela swego ojca, swojego przyjaciela.

— Morgan? — skłonił się niezobowiązująco, próbując przybrać pozę kogoś bardziej pewnego siebie, niż był w rzeczywistości.

Morgan uśmiechnął się pogodnie, podchodząc do Kelsona. Miał zamiar przyklęknąć, by złożyć mu oficjalny hołd, wyczuwając jednakże skrępowanie chłopca, postanowił oszczędzić mu zakłopotania.

— Mój książę — było wszystkim, co powiedział.

Stojący za księciem Kevin McLain doskonale wyczuł napięcie, jakie się między nimi wytworzyło. Chrząknął z zażenowaniem i popatrzył na Morgana.

— Duncan prosił, żeby ci przekazać, że czeka na ciebie u św. Hilarego, gdy już bę-

dziesz gotowy. Ja, hm, pójdę teraz na posiedzenie Rady. Będę tam chyba bardziej przydatny.

Morgan przytaknął, nie odrywając oczu od Kelsona Kevin pośpiesznie skinął głową i szybkim krokiem pomaszerował główną aleją.

Gdy kroki Kevina ucichły, Kelson popatrzył na mozaikę zdobiącą posadzkę altany i czubkiem buta zaczął rysować jakiś wzór.

— Lord Kevin powiedział mi o Colinie, lordzie Ralsonie i pozostałych — odezwał się w końcu. — Czuję się odpowiedzialny za ich śmierć. To ja nalegałem, żeby pojechali cię odnaleźć.

— Ktoś musiał pojechać, Kelsonie — odrzekł Morgan. Położył dłoń na ramieniu chłopca, starając się dodać mu otuchy. — Wiedziałem, że tak zareagujesz. Zostawiłem ich ciała w opactwie św. Marka. Gdy już będzie po wszystkim, pewnie będziesz chciał coś zrobić dla ich rodzin, może oficjalną ceremonię pogrzebową.

Kelson popatrzył na niego ze smutkiem.

— Niewielka pociecha dla tych, którzy pozostali. Ale oczywiście masz rację. Ktoś musiał pojechać.

— Dobry chłopiec — uśmiechnął się Morgan. — Przejdźmy się trochę.

Kevin McLain stał w drzwiach holu, przyglądając się obecnym. Po chwili spostrzegł

Derry'ego stojącego samotnie przy wejściu do sali posiedzeń Rady.

— Czy obrady już się rozpoczęły? — zapytał Kevin, podchodząc do młodszego od siebie mężczyzny.

— Nie. Czekają na parę spóźnionych osób. Mam nadzieję, że przybędą b a r d z o późno, pod warunkiem, oczywiście, że nie będzie to ktoś z naszych.

Kevin uśmiechnął się.

— Jestem Kevin McLain, kuzyn Morgana. Daruj sobie formalności, jeśli jesteś przyjacielem Alarica — wyciągnął dłoń i młodszy mężczyzna uściśnął ją.

— Sean Derry, adiutant Morgana.

Kevin skinął głową i rozejrzał się.

— Doszły cię tu jakieś pogłoski? Myślę, że wszyscy w Rhemuth wiedzą już o powrocie Morgana.

— Nie wątpię w to — odparł Derry. — Co o tym sądzisz?

— Co ja o tym sędzę? — zapytał Kevin, wskazując na siebie z niedowierzaniem. —

Mój przyjacielu, myślę, że sytuacja dla nas wszystkich jest bardzo trudna. Czy wiesz, o co oni chcą go oskarżyć?

— Boję się domyślać.

Kevin uniósł jeden palec.

— Po pierwsze: o herezję. A po drugie? — uniósł drugi palec. — O zdradę. Czy chcesz wiedzieć, jaka jest kara za którekolwiek z tych przewinień?

Derry westchnął i spuścił głowę w przygnębieniu.

— Śmierć — szepnął.

Rozdział trzeci

Żadne moce piekielne w swej zawziętości ci nie dorównają kobiecie wzgardzonej lub pogrążonej w żalobie.

Jehana z Gwynedd krytycznie przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze, podczas gdy służąca upinała z tyłu głowy jej długi, kasztanowy warkocz, przymocowując go małymi szpilkami.

Brionowi nie podobałoby się to uczesanie. Było zbyt proste, za surowe dla jej delikatnych rysów. Podkreślało wystające kości policzkowe i nieco kwadratowy podbródek tak, że jedynym żywym akcentem tej pobladłej twarzy były szaro-zielone oczy.

Czerń również nie była odpowiednim dla niej kolorem. Jedwab jej żałobnej sukni, pozbawiony wszelkiej biżuterii, koronki czy haftu, podkreślał kontrast między bielą i czernią, uwydatniał jej bladość, sprawiając, że wyglądała na znacznie więcej niż trzydzieści dwa lata.

Nie, Brion z pewnością by tego nie pochwalił.

Nigdy oczywiście by tego nie powiedział, pomyślała, gdy dłuząca zakładała na jej lśni-

ce włosy delikatny welon z koronki. Nie Brion. Nie, on po prostu sięgnąłby do jej włosów, usunąłby szpilki, pozwalając, by długi warkocz spływał swobodnie po plecach. Potem delikatnie dotknąłby czubkami palców jej podbródka i uniosł jej twarz, by jej wargi spotkały jego...

Palce Jehany zacisnęły się pod wpływem tego nagłego wspomnienia, drżały ukryte w długich obcisłych rękawach jej sukni. Ze złością powstrzymała jakże znane sobie łzy.

Nie wolno teraz myśleć o Brionie. Nie wolno ani przez chwilę wierzyć, że on może znać jej zamiary. Tego właśnie dnia surowy wygląd był uzasadniony. Bo kiedy stanie przed Radą i powie jej członkom o przerażającym niebezpieczeństwie, jakie zagraża Kelsonowi, nikt nie powinien pomyśleć, że jest młoda i głupia. Wciąż pozostanie królową Gwynedd, choćby jej rządy miały się jutro skończyć. Musi zrobić wszystko, by Rada pamiętała o tym fakcie, kiedy zażąda śmierci Morgana.

Jej ręka nieznacznie zadrżała, gdy sięgnęła po leżący przed nią diadem. Zmusiła się jednak, by ze spokojem nałożyć diadem na żałobny welon. To, co postanowiła dziś zrobić, napawało ją niesmakiem. Bez względu na uczucia, jakie sama żywiła do tego przeklętego Morgana i jego diabelskich mocy, człowiek ten był przecież najbliższym przyjacielem i po-wiernikiem Briona. Gdyby Brion wiedział, co zamierza zaraz zrobić...

Poderwała się gwałtownie i zniecierpliwionym gestem odprawiła służące. Brion nie mógł wiedzieć. Chociaż jej sercem szarpał nieznośny ból, musiała przyznać, że on już nie żył, od dwóch prawie tygodni spoczywał w grobie. Wbrew krążącym legendom o wzbudzającej grozę mocy Deryni — mocy tak dziwnej, że nie mogła nawet próbować jej pojąć — nie istniał żaden sposób, by nawet ktoś, kto cieszył się życzliwością Deryni, mógł przywracać życie. A skoro śmierć Morgana jest konieczna, by jej syn mógł rządzić jako zwykły śmiertelnik, bez uciekania się do tych piekielnych mocy, więc należało do niej doprowadzić bez względu na koszty, które trzeba będzie ponieść.

Zdecydowanym krokiem przemierzyła sypialnię i stanęła w drzwiach werandy. W rogu minstrel cicho brzdąkał na lutni z jasnego, wypolerowanego drewna. Wokół niego skupiło się pół tuzina czarno ubranych dam dworu, które słuchając jego żałobnej pieśni, zajmowały się robieniem koronek. Konstrukcję z belek ponad ich głowami oplatały dzikie róże; ich różowe, czerwone i złociste płatki wyraźnie rysowały się tle jesiennego nieba. Poranne słońce rzucało zamazane wzory na kamienną posadzkę i robótki dworek. Gdy zatrzymała się w wejściu, popatrzyły na nią wyczekująco, a minstrel przerwał śpiew.

Jehana dała im znak, by sobie nie przerywali i weszła do środka. Gdy minstrel na nowo podjął swoją grę, wolno przeszła na drugą stronę werandy. Zerwała różę z nisko wiszącej gałązki i znużona opadła na przykrytą czarną draperią ławę, która stała tuż przy różanym krzewie.

Może właśnie tutaj, pośród skąpanych w słońcu róż, które Brion tak kochał, odnajdzie wewnętrzny spokój, tak bardzo jej teraz potrzebny, skoro miała sprostać stojącemu przed nią zadaniu. Może uda jej się zebrać siły i odwagę, by dokonać tego, co powinno zostać dokonane.

Lekki dreszcz wstrząsnął jej delikatnymi ramionami i mocniej wtuliła się w suknię, jakby szukając schronienia przed nieoczekiwanym chłodem.

Nigdy jeszcze nie chciała niczyjej śmierci, nawet kogoś spośród Deryni.

Nigel już po raz piąty usiłował dzwonkiem wezwać kogoś, kto otworzyłby mu drzwi prowadzące do apartamentów królowej. Jego szare oczy błysnęły ze złości. Czuł, że ogarnia go wściekłość. Dobry humor, który mu towarzyszył od czasu krótkiego spaceru z Morganem, zdążył już go opuścić. Jeśli ktoś nie otworzy tych drzwi w ciągu trzech sekund, to...

Właśnie uniósł rękę, by po raz szósty i ostatni szarpnąć sznur dzwonka, gdy zza drzwi dobiegł go jakiś stłumiony szmer. Cofnął się o krok i w drzwiach, na wysokości oczu, odsłonił się otwór. Spoglądało przez niego nieśmiało brązowe oko.

— Kto to? — rozkazującym głosem zapytał Nigel i zbliżył oko do otworu, usiłując coś zobaczyć.

Brązowe oko zniknęło i Nigel ujrzał młodą służącą, cofającą się spod drzwi; jej usta zastygły w bezgłośnym O.

— Młoda damo, jeśli natychmiast nie otworzysz, wyważę drzwi! Lepiej więc otwieraj!

Oczy dziewczyny rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy rozpoznała głos i dopiero wówczas podeszła do drzwi, by je odemknąć. Nigel usłyszał odsuwaną zasuwę i ciężkie drzwi uchyliły się. Bez wahania pchnął je szerzej i znalazł się w środku.

— Gdzie królowa? — zapytał. Jego wprawne oko uchwyciło każdy szczegół pokoju. —

W ogrodzie?

Gdy już dokładnie przyjrzał się wnętrzu, gwałtownym ruchem chwycił dziewczynę za ramię, potrząsnął lekko, wpatrując się w nią szarymi oczami Haldańczyka.

— A więc? Odpowiedz dziecko, nie zrobię ci przecież krzywdy.

Dziewczyna drgnęła, usiłując się wyrwać.

— Pproszę, Wasza Wysokość — wyjąkała. — To boli.

Nigel rozluźnił uścisk, ale nie puścił dziewczyny.

— Czekam — powiedział zniecierpliwiony.

— Ona jest na... na werandzie, Wasza Wysokość — szepnęła. Oczy utkwiała w podłodze.

Nigel skinął z aprobatą głową, uwolnił dziewczynę i ruszył w kierunku zwieńczonego łukiem wejścia do ogrodów królewskich. Wiedział, że weranda łączyła się z apartamentami królowej, ale można było dostać się do niej również od i strony ogrodu.

Szybkim krokiem przemierzył żwirową alejkę wiodącą i do ogrodów, po czym zatrzymał się przed okoloną krzewami róż bramą z kutego żelaza. Sięgnął ręką do zasuwki, jednocześnie starając się coś zobaczyć przez gęstwinę listowia.

Królowa ze zdziwieniem patrzyła na przerażoną służącą, która właśnie wpadła na werandę. Podczas gdy dziewczyna szeptem przekazywała jej wiadomość, Jehana odkładając różę, spojrzała wyczekująco w stronę bramy, przy której stał Nigel.

Działanie z zaskoczenia nie wchodziło już w grę. Zdecydowanym ruchem odsunął

zasuwkę i rozwarł szeroko bramę. Przez ułamek sekundy stał na jej tle. Wreszcie wszedł do środka, by stanąć twarzą w twarz z królową.

— Jehano — pozdrowił ją skinieniem.

Królowa utkwiała wzrok w posadzce, jakby czegoś tam szukała.

— Wolałabym teraz z nikim nie rozmawiać. Czy nie, możemy tego odłożyć na później?

— Nie sędzę. Czy możemy zostać sami?

Wargi Jehany zacisnęły się, gdy uniosła głowę i spojrzała na szwagra, a potem na damy dworu. Spuszczając wzrok, zauważyła, że połamała łodygę trzymanej róży. Zirytowana, rzuciła ją na ziemię. Zanim zdecydowała się odpowiedzieć, starannie ułożyła dłonie na kolanach.

— Nie mam ci nic do powiedzenia, czego nie mogłyby usłyszeć moje towarzyszki.

Proszę cię. Wiesz, co muszę zrobić. Nie czyn tego dla mnie jeszcze trudniejszym.

Gdy milczał, popatrzyła na niego niepewnie. Nie poruszył się. Jego szare oczy błyszczały groźnie spod gęstwiny czarnych włosów. Przypominał Briona, gdy był w ponurym nastroju. Stał

zdecydowany, zagniewany, z kciukami zatkniętymi za pas u miecza, wpatrując się w nią w zupełnej ciszy.

Odwróciła głowę.

— Nigel, czy nie rozumiesz? Nie chcę o tym rozmawiać. Wiem, dlaczego tu przyszedłeś i niczego to nie zmieni. Nie zmienisz już mojej decyzji.

Wyczuła raczej, niż dostrzegła, że przesunął się bliżej niej, a gdy pochylił się, jego płaszcz dotknął jej dłoni.

— Jehana — szepnął tak, że tylko ona go słyszała. — Zamierzam ci to uniemożliwić, jeśli będzie to tylko w ludzkiej mocy. A teraz, jeśli nie odprawisz swoich dam ja będę zmuszony to zrobić. A to może okazać się krępujące dla nas dwojga. Nie sądzę, że n a p r a w d ę chcesz rozmawiać w ich obecności o swoich planach co do Morgana, albo o śmierci Briona.

Poruszyła głowę gwałtownie.

— Nie ośmieliłbyś się!

— Tak sądzisz?

Wytrzymała jego spojrzenie przez kilka chwil, po czym odwróciła się z rezygnacją i ruchem ręki odprawiła swoje damy.

— Zostawcie nas samych.

— Ależ Morganie, nic z tego nie rozumiem. Dlaczego miałyby to zrobić?

Morgan i Kelson spacerowali po obrzeżach labiryntu z bukszpanu. Zbliźali się do szerokiej sadzawki położonej w samym środku ogrodów. W czasie przechadzki Morgan rozglą-

dał się ukradkiem, wypatrując ewentualnych intruzów, ale nikt nie widocznie był zaintereso-wany ich rozmową.

Popatrzył na Kelsona i uśmiechnął się.

— Pytasz, dlaczego kobieta postępuje w taki czy inny sposób, mój książę? Gdybym to naprawdę rozumiał, miałbym władzę, o jakiej nawet mi się nie śniło. Odkąd twoja matka odkryła moje pochodzenie, nigdy już nie dała mi szansy, bym ją przekonał.

— Wiem — westchnął Kelson. — Morganie, o co pokłóciliście się z moją matką?

— Masz na myśli naszą ostatnią kłótnię?

— Tak.

— O ile sobie dobrze przypominam, chodziło o ciebie — odparł Morgan. — Przypomniałem jej, że jesteś już prawie dorosły i że pewnego dnia zostaniesz królem — spuścił

oczy. — Nie sądziłem, że stanie się to tak prędko.

Kelson zachnął się.

— Ona myśli, że wciąż jestem jej małym chłopcem. Jak przekonać matkę, że nie jest się już dzieckiem?

Morgan zamyślił się nad tym pytaniem. Zatrzymali się właśnie nad sadzawką.

— Prawdę mówiąc, nie wiem. Moja matka umarła, gdy miałem cztery lata. A ciotka, która mnie wychowywała, lady Vera McLain, była na tyle rozsądna, by nigdy nie stwarzać takich problemów. Miałem dziewięć lat, kiedy zmarł ojciec, a ja zostałem paziem na dworze Briona. A królewski paź, nawet w tym wieku, nie jest już dzieckiem.

— Zastanawiam się, dlaczego inaczej jest z książętami.

— Może potrzeba im więcej czasu — zauważył Morgan. — W końcu zostają przecież królami.

— Jeśli zdążą dorosnąć — wymamrotał Kelson.

Przygnębiony, usiadł ciężko na gładkiej skale tuż przy sadzawce i zaczął, jeden po drugim, wrzucać kamyki do wody. Za każdym razem, gdy kamyk z pluskiem wpadał do wody, zamyślane szare oczy śledziły powstające koncentrycznie koła, patrzyły, jak rozchodzą się, by wreszcie zniknąć.

Morgan znał ten nastrój, wiedział, że nie należy przeszkadzać. Była to ta sama zaduma i skupienie, które poznał już u Briona, a które były częścią dziedzictwa haldańskiego, tak jak szare oczy, sztuka wojenny, zmysł dyplomacji. To wszystko przypadło w udziale Brionowi, podobnie jak i jego bratu. Gdyby przypadek nie sprawił, że Nigel urodził się drugi, byłby tak-

że silnym władcą. A teraz najmłodszy potomek haldańskiego rodu był gotów upomnieć się o swoje prawa.

Morgan usiadł i cierpliwie czekał. Po długiej, wypełnionej milczeniem chwili, chłopiec uniósł głowę, by w zamyśleniu popatrzeć na przeciwległy kraniec sadzawki.

— Morganie — zaczął cichym głosem. — Znasz mnie od urodzenia. Znałeś mego ojca lepiej niż ktokolwiek inny — wrzucił następny kamyk, po czym odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy. — Czy ty... czy sądzisz, że ja kiedykolwiek zdołam go zastąpić?

Zastąpić go? — zastanowił się Morgan, próbując ukryć ból. Jak moż na wypełnić po kimś lukę w swoim sercu? Jak moż na zastąpić kogoś, kto, odkąd tylko się gasz pamięć cią, był

dla ciebie ojcem i bratem?

Zebrał kilka kamyków i potrzasał nimi w dłoni, starając się znów odsunąć od siebie złe myśli i zając się sprawami, które należało rozwiązać już teraz.

Brion odszedł. Kelson należał do chwili terażniejszej. Teraz musi być ojcem i bratem dla Kelsona, tak samo jak niegdyś Brion był ojcem i bratem dla niego. Brion z pewnością by sobie tego życzył.

Wrzucił kamyk do wody, po czym zwrócił się do swojego... syna.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że możesz z a s t ą p i ć Briona, księżę. Nikt nie może. Ale będziesz dobrym królem, może nawet wielkim królem, jeśli się nie mylę w swoich sądach.

Jego głos przybrał rzeczowy ton.

— Twój ojciec dobrze o ciebie zadbał. Od najmłodszych lat jeździłeś konno. Miałeś najlepszych nauczycieli szermierki w całym królestwie. Twoje umiejętności w posługiwaniu się kopią i łukiem przewyższały umiejętności znacznie od ciebie starszych chłopców.

Studiowałeś historię wojskowości i strategię, poznałeś wiele języków, filozofię, mate-matykę, medycynę. Zetknąłeś się nawet z podstawami wiedzy tajemnej, która kiedyś stanie się ważną częścią twojego życia. Stało się tak, muszę dodać, wbrew życzeniu twojej matki.

Zresztą było to skrzętnie ukrywane przed wszystkimi, którzy mogliby wyrazić sprzeciw.

Twoje wykształcenie miało też bardziej praktyczny charakter. Musisz wiedzieć, że wbrew pozorom, niezwykle mądrym posunięciem okazał się fakt, iż pozwolono małemu, czasem niegrzecznemu księciu siedzieć u boku ojca podczas obrad Rady. Już od wczesnego dzieciństwa, chociaż nie zdawałeś sobie jeszcze z tego sprawy, nabywałeś podstaw nienagannej retoryki i logiki, które były tak samo cechą charakterystyczną Briona, jak jego waleczność i biegłość we władaniu mieczem.

Nauczyłeś się zadawać pytania i słuchać rad z rozważą i pokorą. A dzięki temu wszystkiemu rozumiałeś, że mądry król nie kieruje się gniewem ani nie osądza, zanim nie pozna wszystkich faktów.

Morgan przerwał swoją przemowę i spojrzał na garść kamyków, jakby zdziwiony, że jeszcze je trzyma. Delikatnie przechylił dłoń i kamyki wysypały się na ziemię.

— Może nie powinienem ci jeszcze tego mówić, ale sądzę, że pod wieloma względami jesteś chyba nawet lepiej przygotowany do objęcia tronu aniżeli w swoim czasie Brion. Posiadasz pewną wrażliwość, rozumiesz, hm... a tego Brion nigdy nie posiadał. Nie twierdzę, że to w jakiś sposób umniejszało jego znaczenie. Słuchał przecież zarówno filozofów, jak i wojowników. Ale nigdy nie wiedziałem na pewno, czy ich rozumie. Myślę, że ty jesteś inny.

Kelson utkwiał wzrok w ziemi, z trudem powstrzymując się od łez. W końcu uniósł głowę i popatrzył przed siebie.

— Wiem, że twoje słowa mają mnie podtrzymać na duchu. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Albo raczej nie na to, które zadałem, bo ja nie postawiłem właściwego pytania.

Chciałem dowiedzieć się czegoś o roli, jaką w tym wszystkim odegrała Władczyni Mroku.

Morgan uniósł w przestrodze brew.

— A co ona ma z tym wspólnego? — zapytał, przypominając sobie słowa Nigela.

Kelson westchnął ze zniecierpliwieniem.

— Morganie, jeśli zaczniesz teraz unikać tego tematu, to do niczego nie dojdziemy.

Wiem, że mój ojciec zdobył królestwo i rządził nim częściowo za pomocą magii. Sam mi o tym powiedziałeś. Wiem też, dlaczego byłeś w Cardossie trzy miesiące po tym, gdy został

podpisany nowy traktat,

To ona kryje się za tym wszystkim i nie wiem, dlaczego nikt nie chce tego otwarcie powiedzieć. Nie jestem już dzieckiem.

Morgan poruszył się niespokojnie. To było sedno sprawy. Jeśli chłopiec rzeczywiście zrozumiał, co się stało, nawet teraz jeszcze istniała szansa, by osiągnąć sukces. Ostrożnie spojrzał na Kelsona.

— Czy Brion powiedział ci, że ona jest w to wplątana?

— Nie powiedział tego wprost. Ale też nie zaprzeczył.

— No i? — dopytywał się Morgan.

— I — zaczął Kelson, szukając odpowiednich słów — Morgan, nie wierzę, że mój ojciec po prostu zmarł na atak serca. Przypuszczam, że za tym kryje się coś innego. Myślę, że Władczyni Mroku...

— Mów dalej.

— Myślę, że Władczyni Mroku użyła swej magicznej mocy, by go zabić! — wyrzucił z siebie wreszcie.

Morgan uśmiechnął się powoli i pokiwał głową. Twarz Kelsona pociemniała.

— Ty o tym wiedziałeś? — zapytał chłopiec, a na jego twarzy malowało się zdumienie i oburzenie.

— Podejrzewałem — poprawił Morgan, szukając wygodniejszej pozycji na twardej skale. — Nigel powtórzył mi waszą rozmowę. Sądzę, że masz rację. Opowiedz mi teraz dokładnie, co się stało podczas tego polowania. Nie zapomnij żadnego, nawet najdrobniejszego szczegółu.

Gdy wszystkie damy dworu opuściły werandę, Jehana powoli wstała, a jej oczy napotkały stanowczy wzrok Nigela.

— Igrasz z ogniem — powiedziała cichym głosem. — Chociaż j e s t e ś bratem Briona,

przypominam ci, że ciągle jestem twoją królową.

— A Kelson jest moim królem — odparł spokojnie Nigel. — A to, co chcesz mu zrobić, niszcząc Morgana, niebezpiecznie graniczy ze zdradą.

— Ze zdradą? — powtórzyła. — Sądziłam, że umówiliśmy się, że to określenie dotyczy tylko Morgana. Nie nazywałabym zdradą ochronę mego jedyne go syna.

— Nie przypominam sobie takiej umowy — spokojnie odrzekł. — Tak, zdradą nazywam wszystko, co naraża go na niebezpieczeństwo. Wiesz doskonale, że bez tajemnej mocy Briona Kelson nie ma najmniejszej szansy. Jedy nym człowiekiem, który może mu pomóc odzyskać tę moc, jest Morgan.

— Moc nie uratowała Briona.

— Nie, ale może uratuje Kelsona.

— Widzę to trochę inaczej — odrzekła Jehana, jej ton głosu obniżył się. — Widzę, że Morgan jest tym człowiekiem, który może naprawdę zniszczyć Kelsona. To on może zniszczyć jego duszę. Widzę też, że to właśnie zły wpływ Morgana od samego początku niszczył

Briona. Ta nieczysta moc Deryni, która plugawiła wszystko, czego dotknął Morgan. Nie mogę ze spokojem przypatrywać się, jak to samo dzieje się z moim synem.

— Jehano, na Boga — zaczął Nigel.

Spojrzała na niego lodowato, z zimnym błyskiem w oczach, którego nigdy u niej nie widział.

— Nie waż się mieszać w to Boga! Nie masz prawa wzywać nadaremnie Jego imienia!

Jeśli popierasz Morgana, przymykasz oczy na herezję Deryni. Czy mogę wobec tego ci przypomnieć, drogi bracie, że twoja własna dusza może być w niebezpieczeństwie, gdy zbliżysz się choć trochę do tego człowieka! — odwróciła się gwałtownie.

Nigel przygryzł wargę i zmusił się do opanowania rosnącego w nim gniewu. Rozmowa potoczyła się tak samo, jak zawsze, tyle tylko, że tym razem nie kontrolowane uczucia religijne zapanowały nad zwykłym dla niej poczuciem zdrowego rozsądku. Choć wiedział, że nie ma sensu ciągnąć dalej tej sprzeczki, to jednak musiał ją kontynuować, chociaż z góry znał

rezultat. Może mówienie bez ogródek okaże się lepszą taktyką.

— Nie będę wszczynać z tobą dyskusji na temat teologii — powiedział z naciskiem. —

Ale jest parę spraw tyczących Briona, o których powinnaś wiedzieć, zanim skążesz jego duszę na wieczne potępienie w tym szczególnym piekle, które jest przeznaczone dla wyznawców herezji. Przede wszystkim moc, w której był posiadaniu, należała do niego. Nie otrzymał jej z jakiegoś obcego źródła, od Deryni, czy od kogokolwiek innego. Władza i moc, które miał w sobie, były przekazywane męskim potomkom naszego rodu już od czasów Cambera i Restauracji.

Oczywiście, Morgan pomógł mu je odnaleźć, pokazał mu, jak z nich korzystać. Ale moc była jego, była wrodzona. Każdy potomek rodu haldańskiego przychodzi z nią na świat. I ja mam ją w sobie, moi synowie i Kelson.

— Bzdury — odrzekła Jehana głosem nie znoszącym sprzeciwu. — Taka moc nie może być dziedziczna.

— Nie powiedziałem, że musi być przekazana, a jedynie, że można, ją posiadać. Zdarza się to tylko Haldańczykom.

— Nie, nigdy się na to nie zgodzę.

— Dlaczego nie miałby sam podjąć decyzji?

— Ponieważ jest jeszcze dzieckiem — odrzekła ze zniecierpliwieniem. — Nie wie jeszcze, co dla niego najlepsze.

— Jest królem, a koronacja już jutro w katedrze świętego Jerzego. Czy odbierzesz mu prawo noszenia korony?

— Któż śmiałyby mu je odebrać?

Nigel uśmiechnął się.

— Z pewnością nie ja, Jehano, jeśli to masz na myśli. Zupełnie mi wystarcza tytuł

księcia Carthmoor. Tak sobie zresztą życzył Brion.

— A gdyby się okazało, że to ci nie wystarcza, co wtedy? Czy wola Briona miałaby wówczas jakieś znaczenie?

Znów się uśmiechnął.

— Odnoszę wrażenie, że nic nie rozumiesz. Brion był moim bratem i królem. Nawet gdybym nie przyjął księstwa Carthmooru, pomijając uczucie, jakie do niego żywiłem, to i tak nie miałbym przecież prawa do niczego, wiesz o tym. Brion jako pierworodny dziedziczył

wszystko. Ale nawet gdyby nie wiązałyby mnie miłość braterska, wciąż byłbym związany przysięgą wobec mojego suzerena, by zachować pokój. Kochałem go jako władcę i jako brata, Jehano.

— Ja także go kochałam — broniła się.

— Okazujesz to w dziwny sposób.

— Mogę kochać człowieka, ale nienawidzić jego czyny.

— Czy rzeczywiście? — powątpiewał Nigel. — Obawiam się, że słowo „miłość” ma dla nas zupełnie odmienne znaczenie. W moim rozumieniu jest ona czymś więcej niż tylko jakimś mglistym uczuciem do drugiego człowieka. Jest również akceptacją, akceptacją wszystkiego, co związane jest z kochaną osobą, nawet jeśli z czymś się nie zgadzasz.

Ale na to nigdy nie było cię stać, czyż nie mam racji? Bo gdyby było inaczej, od samego początku wiedziałabyś, że magia Briona była niezwykła, cudowna, i że powinnością króla było spożytkować tę moc, która była mu dana, by zachować pokój na ziemiach, które tak ukochał.

Odwrócił się, by spojrzeć jej w twarz.

— Jeśli się nad tym choć trochę zastanowisz, będziesz musiała przyznać, że twój mąż nigdy nie nadużył tej mocy. Zresztą Morgan również. Nigdy, przez całe dziesięć lat, gdy byli razem, nie posłużyli się nią w innym celu niż tylko w celu czynienia dobra.

— Jehano, gdy Brion uśmiercił Marluka, byłem wówczas u jego boku wraz z Morganem. Czy możesz chociaż przez chwilę wątpić w słuszność ich postępowania? Pomyśl, gdzie bylibyśmy dziś wszyscy, gdyby to Marluk wygrał.

Zaczęła niespokojnie splatać palce, przypominając sobie wszystkie minione lata.

— Brion nigdy mi o tym nie mówił.

— Bo wiedział, co czułaś wobec Morgana — odparł łagodnie. — Mimo to wiele razy próbował ci to powiedzieć — odwrócił jej głowę, by popatrzyła mu prosto w oczy. — Nie pamiętasz tych wszystkich chwil, gdy wspominał o swoim panowaniu, o boskim pochodzeniu swej władzy? Nie była to tylko legenda przekazywana z pokolenia na pokolenie o boskim prawie do władzy.

— Dlaczego nie? — uparcie trwała przy swoim zdaniu. — Inne rody królewskie robią dokładnie to samo. Wszyscy królowie twierdzą, że ich władza pochodzi od Boga.

Nigel uderzył pięścią w otwartą dłoń. Był u kresu wytrzymałości.

— Jehano, czy mogłabyś mnie wysłuchać? Nie zrozumiałaś ani jednego słowa z tego, co powiedziałem. Próbuję ci wytłumaczyć, że nawet jeśli czujesz niechęć do mocy Deryni, jaką posiada Morgan, a nigdy nie robiłaś z tego tajemnicy, to nie ma ona nic wspólnego z Brionem. Jego moc należała tylko do niego!

Nastąpiła długa chwila ciszy. Wreszcie popatrzyła na niego z nieruchomą i chłodną twarzą.

— Nie wierzę ci. Gdybym ci uwierzyła, musiałabym przyznać, że Brion był czymś wię-

cej niż tylko człowiekiem, że zdobył swoją straszliwą moc ze źródeł niedostępnych zwykłym ludziom. A to nie było prawdą. Może przez całe życie był pod złym wpływem tego twojego Morgana, ale sam był bez skazy. Był człowiekiem.

— Jehano...

— Nie! Brion był człowiekiem, był normalny. I pomimo że został skażony przeklętą mocą Deryni, zmarł zwykłą śmiercią, szukając zwykłych radości, a nie ściągając na siebie gniew Wszechmocnego, zajmując się czarną magią Morgana.

— Zwykłą śmiercią? — zareagował gwałtownie. — Zwykłą śmiercią? Opowiedz mi o tym, Jehano. Cóż jest zwykłego w śmierci Briona?

Jehana zamarła, a jej twarz pobladła.

— O czym ty mówisz? — wyszeptała ze strachem. — To jego serce. Jego serce stanęło.

Nigel powoli pokiwał głową.

— Tak, to jest ostateczny powód każdej śmierci, prawda?

— Co przez to rozumiesz? — sprzeciwiła się.

Założył ręce na piersi i popatrzył uważnie na młodą królową. Może to właśnie był ten słaby punkt, którego szukał. Najwidoczniej nie przyszło jej nawet do głowy, że Brion nie zmarł śmiercią naturalną. Skarcił się w duchu za to, że wcześniej nie pomyślał o takiej możliwości. Zaczął bardzo ostrożnie.

— Powiedz mi, Jehano, czy wydaje ci się to całkiem normalne, by mężczyzna w świe-tnej formie fizycznej, w jakiej był Brion, umarł na atak serca? Pamiętaj, że miał tylko trzydzieści dziewięć lat, a nasza rodzina jest znana z długowieczności.

— Ale jego lekarze orzekli...

— Jego lekarze nie są biegli w tej materii.

Zaczęła protestować, ale cierpliwie zniósł jej komentarze z uniesioną dłonią.

— Nie zapytałaś o lorda Ralsona ani o Colina. Nie chcę zmieniać tematu, ale w i e-d z i a ł a ś, że Kelson wysłał ich, by sprowadzili Morgana, prawda?

— Wbrew mojej... — spuściła oczy. — Co się stało?

— Zastawiono na nich zasadzkę w pobliżu Valoret. Wszyscy członkowie wyprawy zostali zabici z wyjątkiem Morgana i młodego lorda Derry.

Dłonią zakryła usta, próbując zdusić krzyk.

Nigel zmrużył oczy.

— Morgan uważa, że osoba lub osoby, które zorganizowały zasadzkę, przyczyniły się także do zabójstwa Briona.

— Zabójstwa! — krzyknęła. — Próbujesz mi wmówić, że ktoś upozorował śmierć Briona tak, by wydawało się, że to atak serca?

— Czy nie widzisz, że dla Władczyni Mroku jest to najlepszy sposób sięgnięcia po władzę? — odparował. — Wiedziała, że nie zdoła pokonać króla w otwartej walce. A jego syn jest jeszcze dzieckiem. Jeśliby jej udało się przeszkodzić Morganowi w dotarciu do Kelsona i uniemożliwić mu przekazanie mocy Briona, wówczas oczywiście Kelson nie stanowił-

by najmniejszego problemu. Bo przecież dzięki tobie jest zupełnie nie wprawiony w tych sprawach.

Jaką szansę ma dziecko w konfrontacji z czarnoksiężniczką Deryni?

— Jesteś szalony! — szepnęła Jehana. Czerń sukni jeszcze bardziej podkreśliła bladość jej twarzy.

— To jakieś złudzenie, które cię opętało pod wpływem smutku i żalu.

— To nie złudzenie, Jehano.

— Wyjdź stąd! Wyjdź, zanim zawołam straż! Jeśli to nie wytwór twojej wyobraźni, to w takim razie kłamstwo celowo sfabrykowane, by wprowadzić jeszcze większe zamieszanie do Rady. A to już graniczy ze zdradą, bracie mego męża! A teraz wynoś się!

— W porządku — odparł Nigel, lekko skinąwszy głową. — Nie sądziłem, że mnie wysłuchasz, jednak musiałem podjąć próbę. Gdy sprawy potoczą się tak, jak się potoczą, przynajmniej nie będziesz mogła mi zarzucić, że nie zostałam ostrzeżona — odwrócił się na pięcie i podszedł do drzwi. — Zaczekam w przedsionku, by cię zaprowadzić na spotkanie Rady. Nie chcesz chyba trzymać katów w niepewności.

Kiedy opuścił pomieszczenie, Jehana westchnęła z ulgą. Usiłowała uspokoić drżące dłonie. Rozmowa jeszcze bardziej umocniła ją w swym postanowieniu. Kelson musi rządzić jako śmiertelnik. Gdyby tylko udało się jej sprowadzić go na spotkanie Rady i powstrzymać od otwartego wobec niej sprzeciwu...

Zdecydowanym ruchem pociągnęła za dzwonek, by przywołać służącą. Należy natychmiast posłać po Kelsona. Nie ma czasu do stracenia.

Kelson przesunął się, by zająć wygodniejszą pozycję na skale. Słońce schowało się za chmurami, a chłodne, wilgotne powietrze zdawało się przenikać go aż do kości.

— A więc nie udało ci się dokonać oględzin ciała? — zapytał Morgan. Przez ostatnie parę minut słuchał dokładnej relacji z dramatycznych wydarzeń, jakie miały miejsce. Jego twarz spochmurniała.

Kelson potrząsnął głową.

— Niestety nie. Ciało było wystawione tylko przez dwa dni i na cały ten czas zaciągnię-

to potrójną wartę honorową. Nikt nie mógł podejść bliżej niż na odległość sześciu metrów.

Nikt, nawet ja. A gdy zapytałem matkę, po co aż takie środki bezpieczeństwa i skąd ten pośpiech, by go pochować — nie odpowiedziała mi. Powiedziała tylko, że tak będzie najlepiej i że pewnego dnia to zrozumie. Pamiętam, że wówczas pomyślałem, że to dlatego, żebyś nie zdążył przybyć na pogrzeb. Wiedziała, że to cię zrani.

— Nie przeczę — zgodził się. — Sądzę jednak, że istniały też i inne powody. Niewykluczone, że mimo wszystko podejrzewała, co rzeczywiście wydarzyło się w Candor Rhea, nawet jeśli sama przed sobą nie mogła się do tego przyznać. To też najprawdopodobniej było powodem, dla którego nie pozwoliła ci posłać po Duncana, który jako jedyny podczas mojej nieobecności mógłby orzec, czy posłużono się magią.

— Czy sądzisz, że królowa wie o tym, iż ojciec Duncan był moim nauczycielem?

— Och, jestem pewien, że tak — odparł Morgan. — Nie powinna się tylko dowiedzieć, czego cię uczył.

Kelson uśmiechnął się.

— To dałoby jej prawdziwy powód do zmartwień, czyż nie?

— Nie wątpię w to — zgodził się Morgan. — Jest jednak jeszcze coś, nad czym powinieneś się zastanowić. To tylko przypuszczenie. Nie chciałem nawet o tym wspominać. Czy sądzisz, że twoja matka była w jakiś sposób zamieszana w to, co się wydarzyło?

— Matka? — Kelson wyprostował się. — Morgan, ty nie sądzisz chyba...

— Prawdę mówiąc, n i e w i e m. Ale w tej chwili ufam tylko trzem osobom. Dwie z nich siedzą teraz tutaj, a trzecią nie jest Jehana. Jeżeli jest w to zamieszana, nawet bez swej wiedzy, sytuacja jest trudniejsza, niż przypuszczaliśmy.

Ja, ja naprawdę nie wiem, co powiedzieć — wykrztusił Kelson. — Ona b y ł a raczej...

— Kelson! Nie ruszaj się!

Morgan zastygł. Wpatrywał się w punkt położony jakieś trzydzieści centymetrów za Kelsonem, gdzie chłopiec podpierał się ramieniem.

— Co... ?

— Ani słowa, nie ruszaj się... — szepnął cicho Morgan. Ręką sięgnął po miecz. — Niecałe pół metra od twojej prawej ręki leży olbrzymi i bardzo trujący wielonożny stwór. Jeśli się poruszysz, zaatakuje cię.

Bezszelestnie wysunął miecz z pochwy, przyklął i ukradkiem uniósł ostrze. Kelson siedział bez ruchu i choć ufał Morganowi, jego oczy zdradzały przerażenie, gdy wędrowały od twarzy Morgana do miecza tuż przy boku. Daremnie usiłował spojrzeć za siebie, nie odwracając głowy.

Błysk stali, ostrze opadło. W tym samym momencie panującą dokoła ciszę przeszył

krzyk kobiety.

Kelson rzucił się w bok, skoczył na równe nogi, dłonią pochwycił sztylet i odzyskał

równowagę. Ale gdy zobaczył spazmatycznie wykręcone i wijące się ciało, stanął oniemiały, podczas gdy miecz Morgana raz po raz wbijał się w potwora.

Przez moment wydawało mu się, że zobaczył coś na kształt pomarańczowego bulwia-stego cielska rozmiaru ludzkiej głowy, w niebieskie plamy, poruszającego niezliczoną ilością kruchych nóżek,

którymi rozpaczliwie przebierał, usiłując wymknąć się spod miecza, jednocześnie wściekle zgrzytając parą szczypiec czy też żadeł — Kelson nie był pewny.

Chwilę potem ciało stwora było już tylko targaną konwulsjami masą czerwonego i pomarańczowego mięsa. Jakakolwiek identyfikacja była niemożliwa. Morgan po raz ostatni pchnął ostrze w rozedrganą masę. Dopiero teraz do uszu Kelsona doszedł krzyk kobiety —

dźwięk, który przez cały ten czas trwał z jednakowym natężeniem.

Otrząsnąwszy się z osłupienia, młody książę ze zdziwieniem ujrzał tuzin uzbrojonych mężczyzn pędzących w jego kierunku przez ogród. Tuż za nimi biegła czarno odziana kobieta. Zostali otoczeni. Morgan, wciąż ciężko dysząc, i opuścił miecz.

— Rzuć broń. Panie! — zawołał kapitan, rozstawiając swoich ludzi. Kobieta, której krzyki ściągnęły straż, ze strachem w oczach chowała się za kapitanem.

— Widziałam go! Widziałam! — wykrzykiwała histerycznie, palcem wskazując Morgana. — Próbował zabić księcia Kelsona! Rzucił na niego urok i miał właśnie go zabić, gdy krzyknęłam!

— Powiedziałem: rzuć broń! — kapitan powtórzył groźnie, wymachując mieczem. —

Książę, proszę! Odsuń się od niego, tylko powoli. Zajmiemy się nim.

Morgan nie poruszył się ani na milimetr, Kelson z rozmysłem stanął przed nim, odwracając się plecami do generała.

— W porządku, kapitanie — powiedział cichym głosem, uspokajając gestem przerażoną tym widokiem straż. — To nie to, co pan myśli. Lady Elwiro, to nieporozumienie.

— Nieporozumienie? — zaskrzeczała z oburzeniem. — Wasza Wysokość musi wciąż jeszcze być pod jego urokiem. Omal cię nie zabił książę, kiedy tu siedziałeś. Jedyne moje krzyki sprawiły, że chybił i...

— Pani — głos Morgana był chłodny i opanowany, gdy uciął potok jej słów. — W co celuję — trafiam. I nigdy i jeszcze histeryczne wrzaski jakiejś kobiety nie sprawiły, bym chybił! — prowokującym gestem wbił ostrze w miękki grunt. Miecz utkwiał w ziemi, jakby akcentując jego słowa.

Podczas tej wymiany zdań niezadowolona z obrotu rzeczy straż opuściła broń, a teraz, na sygnał kapitana, schowała miecze na powrót do pochew.

— Panie, proszę o wybaczenie, ale to wyglądało jakby...

— Wiem, jak to wyglądało — uciął Kelson. — Przeprosiny są niepotrzebne. Pan i pańscy ludzie staraliście się mnie chronić. Jak pan jednak widzi — zrobił krok w bok, by zobaczyć to, co pozostało po jego niedoszłym zabójcy — generał Morgan zabijał jedynie... co to takiego jest, Morganie?

Morgan wyjął z ziemi swój miecz i włożył do pochwy, po czym podszedł do zrujnowanego skrawka trawnika. Strażnicy również podeszli bliżej, jednak wciąż zachowując pewien bezpieczny dystans od człowieka w czerni. Wszyscy doskonale usłyszeli jego imię mimochodem wymienione przez Kelsona i nikt nie palił się, by sprawdzić prawdziwość pogłosek, które o nim krążyły.

— Jest to stenrect pełzacz, mój książę — odparł rzeczowym tonem Morgan, czubkiem buta dźgając martwe ciało. — A gdybym za pierwszym razem r z e c z y w i ś c i e chybił —

spojrzał na kobietę — a zwierzę to ukąsiłoby cię, musiałbym ci odciąć dłoń w nadgarstku. Nie istnieje żadna odtrutka przeciw jego truciznie.

Jego słowa wywołały poruszenie wśród żołnierzy, kilku z nich ukradkiem zrobiło znak krzyża. Powszechnie bowiem wierzono, że stenrect był stworzeniem mitycznym, o nadprzyrodzonym pochodzeniu, zrodzonym z ognia i nienawiści jeszcze przed powstaniem świata. Ze wszystkich stworzeń, zarówno tych prawdziwych jak i baśniowych, to było najniebezpieczniejsze. I chociaż nikt z nich nie widział go wcześniej — z pewnością każdy z nich, gdyby go zapytać, odpowiedziałby, że podobne stworzenie nie istnieje wszyscy znali legendy z nim związane. Nikomu z nich nawet nie przyszło do głowy, jak bliski śmierci był ich młody władca, śmierci poprzedzonej długim cierpieniem.

Kapitan otrząsnął się wreszcie z szoku wywołanego widokiem stenrecta i teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, kim był mężczyzna, który go zabił. Morgan też uchodził za postać legendarną. Kapitan nagle uzmysłowił sobie, że mógł niechcący obrazić potężnego lorda Deryni. A to, jeśli wierzyć pogłoskom, mogło okazać się niebezpieczniejsze od spotkania stenrecta.

Ukloniwszy się ze zdenerwowaniem, zwrócił się do Morgana.

— Zechciej przyjąć moje przeprosiny, Wasza Miłość. Gdybym wiedział, że książę jest pod ochroną twego miecza, Panie, nie pośpieszyłem się tak z własnym. Twoje dobre imię jest nam wszystkim znane — dał swoim ludziom znak, by się rozeszli.

Skrywając uśmiech, Morgan odpowiedział na ukłon.

— Jestem pewien, że tak jest, kapitanie. Rozumiem pańską sytuację.

Kapitan chrząknął z zażenowaniem i zwrócił się do Kelsona.

— Jeszcze raz przepraszam, Panie. Czy mam odprowadzić lady Elwirę do jej komnat?

— Tak, bardzo proszę, kapitanie — odrzekł Kelson, spoglądając z ukosa na damę, o której była mowa. — Pod warunkiem, oczywiście, że dama nie wyraża życzenia, by tu jeszcze pozostać i przez chwilę popatrzeć na stenrecta.

Kobieta pobladła i potrząsając głową, zrobiła kilka kroków do tyłu.

— O nie, Wasza Wysokość! Wybacz, nie chciałam nikomu zaszkodzić. Nie wiedzia-

łam, że to Jego Miłość, a z takiej odległości, ja... — zająknęła się i przerwała.

— Doceniamy twoją troskę, lady Elwiro — odpowiedział szybko Kelson, dając znak, by odeszli.

Dama pośpiesznie dygnęła i przyjęła ofiarowane jej ramię kapitana. Oddalili się razem w stronę łukowo sklepionej bramy. Gdy znikali w głębi pałacu, dama rzuciła ostatnie ukradkowe spojrzenie za siebie. Nietrudno było odgadnąć, jaki będzie następny temat ich rozmowy.

Morgan zaśmiał się po cichu.

— Twoje damy i straż sumiennie cię pilnują, mój książę.

Kelson parsknął.

— Lady Elwira cierpi na nadmiar wyobraźni. Nieraz już ją ostrzegano. A co do moich strażników, to są tak nerwowi, że chcą aresztować wszystko, co się porusza. Właściwie dobrze się stało, że cię najpierw nie poznali. Krążące o tobie pogłoski wcale by im nie pomogły.

— Stopniowo przyzwyczajam się do takich reakcji — odparł Morgan, wykrzywiając twarz w uśmiechu. — Martwi mnie tylko ten stenrect.

Kelson przytaknął.

— To faktycznie on? Zawsze myślałem, że stenrect jest tylko wytworem wyobraźni, mitem, bajką, by straszyć nią dzieci.

— Nie. Jak sam widzisz, istnieje naprawdę. Zastanawia mnie, jak dostał się do twojego ogrodu. Stenrecty pojawiają się tylko nocą. Niełatwo wywołać któregoś z nich w ciągu dnia.

Charissa mogłaby to oczywiście zrobić, ale skoro zamierza wyzwać cię jutro na pojedynek, nie widzę powodu, by dziś uciekała się do takich sposobów.

— Więc nie sądzisz, że chciano mnie zabić?

— Myślę, że tylko nastraszyć, ale nie zabić — stwierdził Morgan. Rozejrzał się wokoło, wziął Kelsona pod ramię i poprowadził ścieżką w kierunku daleko położonej bramy. —

Wątpię jednak, czy jest to odpowiednie miejsce, by roztrząsać dalej tę sprawę. Myślę, że po tej małej przygodzie wolę znacznie bezpieczniejsze zacisze czterech ścian i dachu. Skoro próbowano dokonać zamachu na twoje życie, nieważne, czy poważnie czy nie...

— M n i e nie musisz przekonywać — odparł książę i otworzył bramę, pozwalając wejść najpierw generałowi. — Gdzie teraz idziemy?

— Do Duncana — odpowiedział Morgan, kierując się przez długie foyer na dziedziniec.

— Wielebny ojciec przechowuje dla ciebie pewne rzeczy.

— A więc p o s i a d a s z klucz do mocy mego ojca! — wykrzyknął Kelson. — Dlaczego od razu nie powiedziałaś? Skoro sam nie wspominałeś, bałem się o to zapytać.

— Musiałem najpierw przekonać się, jak dużo sam potrafisz wydedukować — Morgan wyszczerzył w uśmiechu zęby. — Tak się składa...

— Oooo! Wasza Wysokość! — zapiszczał dziewczęcy głosik. — Znalazłam księcia wreszcie!

Morgan zatrzymał się w pół kroku i cofnął. Kelson odwrócił się, by z niedowierzaniem wykrztusić:

— O, nie!

— Kelsonie — wycedził przez zaciśnięte zęby Morgan. — Jeśli powiesz mi, że jest to znowu ta obdarzona wybujałą wyobraźnią lady Elwira, to ja...

— Przykro mi, że muszę cię rozczarować — szepnął Kelson, usiłując nie tracić powagi.

— Ale tym razem jest to płocha i zawsze podekscytowana lady Esther — założył cierpliwie ręce. — O co chodzi, lady Esther?

Morgan odwrócił się w chwili, gdy pulchniutka dama dworu zatrzymała się bez tchu tuż przed nimi i dygnęła.

— Ach, Wasza Książęca Wysokość — zatrzepotała powiekami. — Twoja matka wysłała mnie, by cię odnaleźć. Szukała cię już w s z ę d z i e. Wiesz, że nie lubi, gdy spacerujesz sam. To bardzo n i e b e z p i e c z n e!

— Słyszałeś, Morganie? — zapytał Kelson, spoglądając z ukosa na swego przyjaciela.

— To bardzo niebezpieczne.

— Rzeczywiście — odparł Morgan, unosząc brew. — Nie zauważyłem.

Podczas gdy lady Esther daremnie próbowała zrozumieć coś z tej wymiany zdań, Kelson ponownie zwrócił się do niej.

— Moja lady Esther, czy byłabyś tak dobra i powiedziała królowej, że jestem najzupełniej bezpieczny z generałem Morganem?

Oczy Lady Esther zaokrągliły się, gdy w końcu uprzytomniła sobie, kim był towarzysz Kelsona. Pulchną rączką natychmiast zasłoniła usta, by cichutko wyszeptać:

— Och!

Dygnęła.

— Nie poznałam Waszej Wysokości — szepnęła.

Morgan ściągnął brwi i zwrócił się do Kelsona.

— Do licha, Kelson, czy ja rzeczywiście tak się zmieniam? To już chyba dwudziesta osoba dzisiaj, która twierdzi, że mnie nie poznaje. Na cóż rozgłos, skoro i tak nikt nie wie, kim jestem.

— Może to dlatego, że nie nosisz swoich diabelskich rogów i kopyt — odparł sucho ksiązę.

— Hmm, bez wątpienia. Lady Esther, odpowiedz mi, proszę, na pewne pytanie. Czy nie rozpoznałaś także swojego króla?

— Słucham, Wasza Miłość?

Morgan westchnął i założył ręce na piersi.

— Lady Esther — ciągnął. — Jestem pewny, że już wystarczająco długo przebywasz na dworze królewskim, by wiedzieć, jak należy zwracać się do Króla. Twoje powitanie w żadnym wypadku nie mogłoby być przykładem dobrych manier. Byłoby dobrze, gdybyś w przyszłości okazywała więcej szacunku. Czy wyrażam się dość jasno?

— Tak, Wasza Miłość — szepnęła, przełykając ślinę.

Ksiązę spojrział na Morgana, jakby pytając, czy już skończył. Ten wykonał niemal nie-widoczny ruch głową. W końcu Kelson zwrócił się do zdenerwowanej lady Esther.

— Czy masz zatem jeszcze jakieś inne wiadomości prócz tej, że moja matka martwi się o mnie?

Lady Esther ponownie dygnęła.

— Wysłała mnie, by ci przekazać, że Rada zbierze się w każdej chwili, Wasza Książę..., Wasza Królewska Mość. Prosi, byś się natychmiast tam stawił.

— Morgan? — zerknął pytająco.

— Potem, mój ksiązę. Wzywają nas ważniejsze sprawy. Lady Esther, możesz powiadomić królową, że Jego Królewska Mość przyjdzie później.

A także, że jestem zupełnie bezpieczny — dodał z naciskiem. — Możesz odejść.

Gdy dama złożyła ukłon i oddaliła się, Kelson westchnął głęboko.

— Widzisz, co muszę tu znosić? Nie tylko muszę przekonać matkę, że nie jestem już dzieckiem. Muszę jeszcze wyszkolić całą tę nieszczęsną służbę! — uśmiechnął się szeroko.

— J e s t e m z tobą bezpieczny, prawda?

Morgan uśmiechnął się.

— Przed zabójcami i stenrectami obronię cię zawsze. Nie każ mi tylko zmierzyć się z pozostałymi damami dworu. Nie sądzę, bym mógł z nimi sobie poradzić.

Kelson roześmiał się radośnie.

— A więc to tak! J e s t jednak coś, czego się boisz. Morganie. Nigdy nie sądziłem, że kiedyś to przyznasz.

— Jeśli powtórzysz to komuś, zaprzeczę każdemu słowu! — przysięgał Morgan. —

Chodźmy. Poszukajmy Duncana.

Gdy Jehana, wsparta na ramieniu Nigela, weszła do sali posiedzeń Rady, rozmowy umilkły. Wszyscy siedzący wokół długiego, wypolerowanego stołu, jak jeden mąż zerwali się i wstali. Nigel zaprowadził królową na należne jej miejsce, po czym skierował się w stronę przeciwległego końca stołu. Zauważono, że tych dwoje w ogóle na siebie nie patrzyło, ale nikogo to specjalnie nie zdziwiło. Obecni wiedzieli, iż królowa i królewski brat różnili się zdaniem w sprawie, która była przedmiotem obrad. Posiedzenie Rady zapowiadało się więc nader interesująco, tym bardziej, że żadna ze stron nie miała zamiaru się poddać bez walki.

Dziwnym jednak zdawał się fakt, iż Kelson jeszcze się nie pojawił.

Zasiadając obok pustego tronu Briona, Jehana nerwowo rozejrzała się po sali. Przypomniła sobie szczęśliwsze czasy, gdy ona i Brion wchodzili do sali razem, a twarze wokół

stołu były przyjazne.

Nie czuła się wówczas taka samotna i zagrożona, przesiąknięte wilgocią ciemne ściany nie były wtedy ścianami więzienia, a wysokie, poprzecinane ciemnymi belkami sklepienie pułapu nie wydawało się takie przygnębiające. Nic była to wina pomieszczenia. Wmurowane wzdłuż całej prawej ściany okna wpuszczały światło słoneczne, a po obu stronach długiego stołu umieszczono jeszcze dwa rzędy bogato zdobionych kandelabrow. Mimo to sala zdawała się ponura i wilgotna. Pojawienie się tylu osób ubranych w ciemne kolory żałoby z pewnością też jej nie rozjaśniło.

Królowa patrzyła, jak poza krawędź jednej z grubych świec sączy się stróżka żółtego wosku. Jej palce instynktownie odszukały głęboką bruzdę w blacie stołu pomiędzy miejscem Briona i jej. Była to pamiątka po tym jak król przebił sztyletem pewne rozporządzenie Rady i przybijał je do stołu tak długo, aż oporna Rada nie uznała, że ustawa ta jest pozbawiona sensu. Jehana zmusiła się, by podnieść głowę i przyrzeć się pobladłym, pytającym twarzom, które były w nią wpatrzone.

Wszystkie miejsca przy stole, poza miejscem Briona, jego syna i zmarłego niedawno lorda Ralsona, były zajęte. Z niezadowoleniem zauważyła, że ktoś zajął nawet miejsce Morgana znajdujące się między krzesłami Kelsona i Ralsona. Odgadła, że młodym mężczyzną z bujną czupryną ciemnych włosów był zapewne lord Derry, jego adiutant. Bez wątpienia to Nigel pozwolił, by zastępował Morgana.

Przyglądając się twarzom pomyślała, że to i tak bez znaczenia. Jeśli młody lord Marcher sądził, że będzie mógł głosować w imieniu Morgana, to wkrótce ona wyjaśni mu w czym rzecz. Nie pozwoli, by słudzy Nigela czy Morgana zepsuli akurat to zebranie Rady.

Popatrzyła chłodno na prawo, gdzie siedział unikający jej wzroku Nigel, a także Bran Coris i jak zwykle elegancki lord Ian, dalej lord Rogier i biskup Arilan oraz Ewan. Skinęła głową, witając arcybiskupa Corriganiego siedzącego po jej lewej stronie, następnie jej wzrok spoczął na księciu Jared i jego synu Kevinie.

Tych ostatnich jednak nie pozdrowiła. Siedzący obok Nigela dwaj McLainowie byli chyba najbardziej oddanymi poplecznikami Morgana zasiadającymi w Radzie. Wolałyby tym razem uniknąć starcia z nimi.

Zwróciła się do Ewana.

— Lordzie Ewan — zaczęła. Jej głos brzmiał wyraźnie i stanowczo. — Proszę przywołać Radę do porządku. Mamy do omówienia ważne sprawy i nie możemy dłużej czekać.

Zanim Ewan zdążył wstać, Nigel zerwał się na równe nogi i ruchem ręki kazał mu pozostać na swoim miejscu.

— Wasza Królewska Mość, proszę o chwilę zwłoki. Jego Królewską Wysokość zatrzymały ważne sprawy i prosił, bym w jego imieniu odroczył zebranie Rady. Chciał być obecny podczas przedstawiania Radzie pewnych oskarżeń.

Jehana nie uznała tej prośby i ponownie zwróciła się do Ewana.

— Lordzie Ewan, proszę.

— Chciałbym usłyszeć twoją odpowiedź, Jehano — zażądał Nigel.

— Lordzie Ewan, proszę kontynuować!

Ewan wstał niepewnie i spojrzał na Nigela, na puste miejsce obok niego, w końcu z zażenowaniem chrząknął.

— Wasza Królewska Mość, jeśli taka jest twoja wola, to oczywiście otworzę posiedzenie Rady bez księcia Kelsona. Ale skoro Jego Królewska Wysokość życzył sobie być obecny, zwykła grzeczność wymaga...

— Lordzie Claibourne, zdaje się, że na tym posiedzeniu Rady nie ma miejsca dla zwykłej grzeczności, przynajmniej jeśli chodzi o mego drogiego syna — wtrąciła Jehana. — Książę

z Kelson został wezwany już ponad pół godziny temu. Swoje stawiennictwo uznał więc za nie dość ważne. Zdaje się, że inne sprawy są dla niego ważniejsze niż wypełnienie swojego obowiązku

wobec Rady. Pozostaje mi tylko przeprosić za jego niestosowne i niedojrzałe zachowanie i żywić nadzieję, iż z wiekiem, pod wpływem dobrych doradców zmieni swe postę-

powanie. Dzisiaj jednak jest to posiedzenie Rady Regencyjnej, wobec czego jego obecność nie jest konieczna. Czy są jakieś pytania?

Wokół stołu rozległ się szmer cichych rozmów. Nigel usiadł ciężko, wiedział, że zrobił wszystko, co było w jego mocy. Jehana bardzo ostro zareagowała na nieobecność Kelsona.

Nie był to zbyt udany początek spotkania.

Ewan rozejrzał się bezradnie po twarzach zgromadzonych, w końcu nerwowo zakaszał i skinął głową w stronę królowej.

— Nie ma pytań, Wasza Królewska Wysokość — oświadczył z kamiennym wyrazem twarzy. — Jeśli sprawy mają się tak, jak Wasza Wysokość mówi, nie widzę powodu, by opó-

źniać posiedzenie. Jako Mistrz Ceremonii Królewskiej Rady Gwynedd uważam posiedzenie Rady Regencyjnej za otwarte. Niech sprawiedliwość wspierana łaską oświeca nasze umysły.

Gdy usiadł, mamrocząc coś pod nosem, przez salę przeszedł kolejny pomruk, który przycichł dopiero, gdy Jehana podniosła się ze swojego miejsca.

— Lordowie — zaczęła. W żałobnym stroju jej twarz była zmęczona i blada. — Bardzo martwi mnie fakt, że muszę tu dziś przedstawić pewną sprawę. Jestem przygnębiona, ponieważ zrozumiałam, a teraz muszę to publicznie przyznać, że mój nieżyjący mąż i król nie był

nieomylny, wbrew temu, co zawsze sądziłam.

Król Brion popełnił straszliwy błąd w wyborze jednego z członków Rady. Osoba, którą wyznaczył, była i jest zdrajcą i bluźniercą. Nawet w tej chwili spiskuje przeciwko prawowitemu następcy Briona. Jest to też powód, dla którego książę Kelson nie jest w tej chwili z nami.

Jej zielone oczy pociemniały, gdy wzrokiem przebiegała po osłupiałych twarzach.

Osoba ta jest wam dobrze znana, panowie. Jest to oczywiście książę Corwynu, generał

Alaric Anthony Morgan, w którego żyłach płynie krew Deryni!

Rozdział czwarty

I dam mu gwiazdę poranną . (Ap 2, 28)

Monsignore Duncan McLain patrząc, jak woda wlewa się do marmurowej kąpieli, którą akurat napełniał, myślami błądził daleko, a jego umysł z napięciem badał odległe przestrzenie.

Czasu było coraz mniej. Alaric powinien był tu przybyć już dawno temu. Martwiło go też, że już od wielu miesięcy nie miał żadnych wieści od swego kuzyna. Może w ogóle nie przyjedzie. Niewykluczone, że nie dowiedział się wcale o śmierci Briona, chociaż z drugiej strony było wiadomo, iż wieść ta dotarła do wszystkich zakątków Jedenastu Królestw.

W momencie gdy woda sięgnęła już niemal brzegu kąpielnicy, Duncan na ułamek sekundy znieruchomiał, po czym szybko się wyprostował i postawił naczynie z wodą na posadzce.

Nadjeżdżał Alaric, a z nim młody książę. Z każdą chwilą coraz bardziej odczuwał pośpiech, z jakim przybywali.

Przesunął się w kierunku otwartych drzwi zachodniego portalu. Szybkim, machinalnym ruchem dłoni o smukłych palcach wygładził wymiętą sutannę, następnie wyszedł na zewnątrz, ręką osłaniając oczy przed stojącym w zenicie słońcem.

Na tle muru z piaskowca, tuż za bramą, dostrzegł królewską purpurę Kelsona, wyszywany złotą nicią herb błyszczał w słońcu. U boku księcia kroczył ciemny cień o gładkich złocistych włosach, jego długie nogi z łatwością pokonywały dzielący ich dystans.

Gdy przybysze wspięli się po schodach wiodących do zachodniej kruchty, Duncan wyczuł pewien spokój, który zawsze roztaczał wokół siebie jego znakomity kuzyn. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie mógł ich powitać.

— Na świętego Jerzego i świętego Cambera! Zjawiasz się w ostatniej chwili! — oświadczył Duncan, popychając Morgana i księcia w kierunku ciemnej kruchty. — Dlaczego tak późno? Martwiłem się.

— Potem wyjaśnię — powiedział Morgan, zaglądając z niepokojem do wnętrza kościoła. — Jesteś obserwowany?

Duncan przytaknął.

— Niestety. Od chwili pogrzebu Briona straż królowej codziennie nachodzi bazylikę.

Nie sądzę jednak, by mnie podejrzewali. J e s t e m w końcu spowiednikiem Kelsona, więc mogli przypuszczać, że zjawisz się przede wszystkim tutaj.

Morgan odwrócił się do Duncana i Kelsona i westchnął.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Bo wystarczy tylko domysł, że spełniasz jakąkolwiek inną funkcję poza oficjalną, a wszyscy jesteśmy martwi.

— A więc musimy zachować pozory — stwierdził Duncan, podnosząc naczynie i ruchem ręki dając im znak, by podążyli za nim wzdłuż nawy bocznej. — Jeśli nas ktokolwiek zatrzyma, przyszlście się

wyspowiadać i przyjąć sakrament przed spodziewanym procesem.

Nie sędę, by odważyli się w tym przeszkodzić.

— Dobrze.

Gdy szli wzdłuż nawy, Morgan próbował dyskretnie przyjrzeć się wiernym. Duncan miał całkowitą rację, co do gwardzistów królowej. Pomiędzy wiernymi było ich co najmniej trzech lub czterech. A sądząc ze sposobu, w jaki go obserwowali, nie przywiodło ich tu nagłe pragnienie wyrażenia swej skruchy czy wiary.

Zatrzymali się na końcu nawy, by złożyć ukłon przed głównym ołtarzem. Morgan doło-

żył wszelkich starań, by obserwujący go strażnicy dostrzegli na jego twarzy odpowiedni wyraz pokory. Najwyraźniej okazał się przekonywający, bo nikt nie próbował ich zatrzymać, gdy zniknęli za bocznymi drzwiami.

Kiedy już dotarli do zacisznego pokoju Duncana, Morgan szybkim ruchem dłoni zamknął drzwi na zasuwkę. Podczas gdy Duncan udał się w głąb pokoju, by odłożyć naczynie z wodą, Morgan przez chwilę przyglądał się znajomym przedmiotom.

Był to mały pokój, nie większy niż cztery metry na pięć. Wzdłuż dłuższych ścian ustawione były sięgające do pasa półki z książkami, nad nimi wisiały gobeliny przedstawiające sceny myśliwskie i dworskie. Na przeciwległej ścianie, naprzeciwko drzwi, duże okno było zasłonięte od sufitu do podłogi gęstą, aksamitną kotarą koloru burgundzkiego wina. Ścianę, gdzie znajdowało się wejście, zajmował olbrzymi kominek z piaskowca. Półka nad kominkiem była pusta. Jedyłą ozdobą była para cynowych świeczników z grubymi żółtymi świecami oraz mały obrazek przedstawiający świętego Hilarego, patrona bazyliki.

Na prawo od okna, zwrócony w róg pokoju, stał bogato rzeźbiony klęcznik wyłożony tą samą aksamitną tkaniną, z której uszyto kotary. W rogu ustawiono krucyfiks z kości słoniowej. Po obu jego stronach płonęły świece wotywnne w kielichach z rubinu. Na lewo, naprzeciw okna stało niewielkie biurko z ciemnego polerowanego drewna. Całe było zakryte książ-

kami i papierami.

Jakieś cztery kroki od kominka, na środku pokoju stał solidny dębowy stół. Okrągły, z nogami zakończonymi szponami spoczywał ciężko na marmurowej posadzce. Za stołem ustawiono naprzeciwko siebie dwa odpowiednio dobrane krzesła o wysokich oparciach, a kilka podobnych ustawiono bliżej kominka, tak by siedząc na nich, można było obserwować płomienie. Pomiędzy stołem a kominkiem rozłożono ciężki wzorzysty dywan, który łagodził i chłód i pustkę przenikające pokój.

Morgan odsunął dla Kelsona jedno z krzeseł stojących przy stole, po czym przyniósł

trzecie spod kominka. Tymczasem Duncan odstawił naczynie obok biurka i zaczął rozsuwać kotary.

— Czy myślisz, że to rozsądne? — zapytał Morgan, odrywając na chwilę uwagę od swoich czynności.

Duncan rzucił mu przelotne spojrzenie, po czym popatrzył przez okno wypełnione witrażem o bursztynowej barwie.

— Sądzę, że jesteśmy tu bezpieczni — odrzekł w końcu. — W ciągu dnia nikt nie może zajrzeć do środka, a witraże i tak wszystko zniekształcają — podszedł do stołu i usiadł na jednym z krzeseł. — Poza tym, jeśli pozostawimy kotary rozsunięte, będziemy mogli zobaczyć, czy ktoś nadchodzi. A to nastąpi za jakieś pół godziny, jeśli się nie mylę.

— Tak prędko? — zapytał rzeczowo Morgan, sięgając jednocześnie pod tunikę, by wyjąć stamtąd niewielką, czarną sakiewkę z zamszu. — Nie mamy więc zbyt wiele czasu, prawda?

Rozejrzał się pobieżnie po pokoju, kładąc sakiewkę na stole i rozluźniając rzemienie, którymi była związana.

— Duncanie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę potrzebować trochę więcej światła. A tak przy okazji, odkąd to sam musisz uzupełniać wodę święconą w kropielnicy? Sądzi-

łem, że ktoś, kto posiada tytuł monsiniora, nie ma obowiązku zajmować się podobnymi sprawami.

Duncan parsknął pogardliwie, stawiając na stole wysoki świecznik.

— Bardzo zabawne, kuzynie. Doskonale wiesz, że wszyscy moi asystenci pomagają w przygotowaniach do jutrzejszej koronacji w katedrze — uśmiechnął się do chłopca i zajął

swoje miejsce. — Nie przypuszczam też, bym musiał ci przypominać, gdzie w tej chwili znajduje się nasz szacowny arcybiskup. Musiałem uzyskać specjalną zgodę, by tu dziś zostać na wypadek, gdyby Kelson mnie potrzebował. Jest to akurat prawdą, chociaż arcybiskup miał

co innego na myśli.

Wymienili z kuzynem porozumiewawcze uśmiechy, a Kelson z niecierpliwością szturchnął Morgana w łokieć, wyciągając szyję, by zobaczyć, co zawiera wciąż zasznurowana sakiewka. Morgan uspokoił chłopca uśmiechem, po czym rozwiązał wreszcie rzemyki. Palcami w rękawicy sięgnął do środka sakiewki, ostrożnie wydobyl z niej jakby płomień złotego i purpurowego ognia i położył go na dłoni.

Dostrzegłszy, że ów znajomy widok wywarł na Kelsonie wielkie wrażenie, Morgan z zadumą wyciągnął rękę w kierunku chłopca.

— Poznajesz ten pierścień, mój książę? Nie dotykaj go. Nie jesteś odpowiednio zabezpieczony.

Kelson odetchnął głęboko i cofnął rękę, jego oczy były szeroko otwarte z emocji.

— To jest Pierścień Ognia, pieczęć mocy mego ojca. Skąd go masz?

— Brion mi go dał na przechowanie, zanim wyjechałem do Cardosy — odparł Morgan, delikatnie poruszając dłonią, tak by kamienie połyskiwały.

— Czy mogę? — zapytał Duncan, wyjmując z rękawa jedwabną chusteczkę i sięgając po pierścień.

Morgan skinął głową i wyciągnął dłoń.

Owijając chustkę wokół palców, Duncan ostrożnie ujął pierścień i przysunął go do światła świec. Gdy obracał go w palcach, szkarłatne kamienie rzucały jasne, drobne wzory na patrzących i na zawieszane gobelinami ściany pokoju.

Przyjrząwszy się dokładnie pierścieniowi, położył go na środku stołu w całunie białego jedwabiu.

— Jest prawdziwy — w jego głosie pobrzmiwała nuta ulgi. — Wciąż czuję w nim resztki mocy. Masz pieczęć?

Morgan przytaknął i zaczął ściągać rękawice.

— Obawiam się jednak, że to ty będziesz musiał działać, Duncan. Nie odważę się zbli-

żyć do ołtarza, gdy wokół roi się od szpiegów Jehany — zsunął z palca bogato zdobiony sygnet i ujął go pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. — Nie masz nic przeciw temu?

Kelson pochylił się, by z bliska zbadać pierścień.

— *Szmaragdowy gryf w pozycji stojącej w polu czarnym.* Ależ to jest stary herb Corwynu, czyż nie?

— Zgadza się — odparł Morgan. — Brion kazał zrobić ten pierścień dawno temu.

Ponieważ herb należy do mojej matki z krwi Deryni, uznał, że powinien stanowić klucz do twojej mocy — zwrócił się do Duncana. — Muszę zestroić go z twoją mocą. Jesteś gotów?

— A co z... — Duncan ruchem głowy wskazał Kelsona.

Morgan spojrzał na chłopca i jeszcze raz na kuzyna. Na jego twarzy malował się nikły uśmiech.

— W porządku. Jeśli do tej pory się nie domyślił, to i tak dowie się wszystkiego jutro.

Jestem pewny, że nasza tajemnica pozostanie między nami.

— Dobrze — zgodził się Duncan, po czym uśmiechnął do Kelsona. — Zresztą to wcale nie jest takie tajemnicze. Gryf jest pieczęcią, która odpowiednio użyta, otworzy tajemny schowek w ołtarzu głównym. Już wcześniej jej działanie zostało zharmonizowane z mocą Morgana tak, by gdy nadejdzie pora, Alaric mógł odzyskać przedmioty, które twój ojciec przeznaczył dla ciebie.

Zauważyłeś, że gdy Alaric trzymał w palcach sygnet, inkrustowany gryf promieniował

wewnętrzną energią. Dzięki temu wiemy, że pieczęć wciąż jest zespolona z jego mocą. Nie działałaby, gdyby ktokolwiek inny próbował się nią teraz posłużyć, jak na przykład ja albo ty.

Popatrzył na Morgana, chociaż w dalszym ciągu mówił właściwie do Kelsona.

— Dodam, że można ją dostroić tylko do niektórych osób. Na przykład — do mnie.

Zanim Kelson pojął doniosłość tego stwierdzenia, Morgan uniósł pieczęć między sobą a Duncanem.

— Jesteś gotów? — spytał.

Duncan przytaknął i obaj zaczęli się koncentrować na wizerunku gryfa w centrum pieczęci.

Gdy wpatrywali się w sygnet, urzeczony chłopiec nie mógł oderwać od nich wzroku.

Zamknęli oczy. Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której Kelson odniósł wrażenie, że jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w pokoju, był jego własny chrapliwy oddech. W końcu ręka Duncana powoli zaczęła się zbliżać do sygnetu, choć powieki wciąż miał przymknięte.

Zanim dotknął sygnetu, słaba iskra przecięła powietrze i wówczas Duncan pochwycił

pierścień. W tym momencie i obaj otwarli oczy, a Morgan wypuścił z rąk pierścień. Gryf wciąż żarzył się słabym światłem.

— Zadziałało — szepnął Kelson. Było to zarazem stwierdzenie jak i pytanie.

— Oczywiście — odparł Duncan. — Wyciągnij dłoń i sam zobacz.

Kelson wyciągnął ostrożnie rękę i wzdrygnął się, gdy pierścień spadł do jego otwartej dłoni. Był zimny w dotyku, chociaż powinien być nagrany do temperatury ciała. A gdy spojrzął na pieczęć z wizerunkiem gryfa, w popłochu odłożył pierścień.

— Przestał się żarzyć! Co ja mu zrobiłem?

Duncan strzelił palcami i uśmiechnął się.

— Zapomniałem. Nie jesteś z nim zharmonizowany — wziął pierścień i potrzymał

przed jego oczami. Gryf znów zaczął promieniować. Kelson uśmiechnął się nieśmiało.

Duncan wstał, podrzucił delikatnie pierścień w powietrze i złapał.

— Wkrótce wrócę.

Kelson z lękiem popatrzył za wychodzącym księdzem, po czym zwrócił się do Morgana.

— Morganie, czy dobrze zrozumiałem? Czy w żyłach Duncana także płynie krew Deryni? Jesteście więc spokrewnieni ze strony matki, a nie ojca.

— Właściwie z obydwu — poprawił Morgan. — Ze strony naszych ojców j e s t e ś-

my kuzynami w piątym pokoleniu. Ale matka Duncana i moja były siostrami. Utrzymujemy to oczywiście w tajemnicy. Fakt, że w żyłach osoby na takim stanowisku, jakie w hierarchii kościelnej piastuje Duncan, płynie krew Deryni, mógłby okazać się co najmniej kłopotliwy, jeśli nie kosztowałby go życia. Wszyscy pamiętamy dochodzenia i prześladowania sprzed ponad stu lat. Nie są one tak całkiem odległe, sam wiesz.

— Ale ty nie boisz się przyznać do swego pochodzenia, Morganie — odrzekł książę.

— Ale ja, jak ci wiadomo, jestem wyjątkiem — zaproponował. — Wielu ludziom przy-znanie się do krwi Deryni przekreśla całą przyszłość. W rezultacie większość z nas ukrywa swoje pochodzenie, nawet wtedy, gdy nasza moc mogłaby czynić dobro — odchylił w zadumie głowę — decyzja prowadzi oczywiście do zasadniczego konfliktu. Z jednej strony chcemy posłużyć się naszą wrodzoną mocą, z drugiej powstrzymuje nas od tego poczucie winy, przekleństwo Kościoła i Państwa, jakie na nas ciąży..

— Mimo to podjąłeś decyzję — nie ustępował Kelson.

— Tak. Od początku postanowiłem zrobić użytek z mojej mocy i nie dbam o skutki.

Miałem też wielkie szczęście, bo cieszyłem się przyjaźnią i poparciem twego ojca, zanim jeszcze sam mogłem się, o siebie zatroszczyć — spojrzał na swe dłonie. — Jestem na wpół

Deryni i to pomaga.

— A Duncan? — cichym głosem zapytał Kelson.

Morgan uśmiechnął się.

— Duncan wybrał jeszcze inne rozwiązanie: kapłaństwo.

Duncan zatrzymał się w zakrystii i zerknął przez judasza na nawę główną, w myśli dziękując temu spośród budowniczych bazyliki, który miał wystarczająco dużo wyobraźni, by zadbać o otwór w drzwiach, który umożliwiał dyskretne szpiegowanie. Z pewnością nie o takim przeznaczeniu myślano, jako że judasz miał być pomocny w koordynowaniu czynności podczas mszy i przy podobnych okazjach. Duncan nie sądził jednak, żeby budowniczym mieli mu to za złe.

Z miejsca, w którym stał, widział całą nawę główną: począwszy od pierwszego rzędu aż do znajdujących się w głębi drzwi. A także od jednej nawy bocznej do drugiej. To, co zobaczył, przekonało go, że nie będzie to tak łatwe zadanie, jak przypuszczał.

Straż królowej, o której wspominał Morganowi, wciąż tam była, łącznie z dwoma straż-

nikami, którzy, jak mniemał, przez ostatni tydzień przyglądali się mu w sposób szczególny.

Wiedział, że należeli do osobistego regimentu królowej i nawet przez chwilę zastanowił się, czy

przypadkiem go nie podejrzewają. Nie sądził, by zrobił coś, co mogłoby zwrócić ich szczególną uwagę poza tym, że był spowiednikiem Kelsona i kuzynem Alarica. Nigdy jednak nie można być zanadto pewnym w takich przypadkach.

Z szafki po prawej wyjął brokatową stulę, dotknął jej ustami i udrapował wokół ramion.

Mając wokół całą sforę królewskich szpiegów, nie mógł po prostu wyjść, otworzyć skrytkę w ołtarzu i wyjąć jej zawartość. Wzbudziłby podejrzania w tym samym momencie, w którym wszedłby do sanktuarium. Musi znaleźć więc jakiś pretekst.

Jeszcze raz przyjrzał się osobom znajdującym się w kościele, po czym obmyślił plan działania.

Bardzo dobrze. Niech snują podejrzania. Nie dba o to, że straż królowej postanowiła za wszelką cenę skomplikować całą sprawę. Postanowił uciec się do pewnej kapłańskiej sztuczki, by zamaskować swoje prawdziwe intencje. A jeśli nawet to miałoby zawieść, zawsze może odwołać się do swojego autorytetu w hierarchii kościelnej. Nietrudno było zastraszyć ludzi tego pokroju, szczególnie mając do dyspozycji klątwę.

Zaczerpnąwszy dla uspokojenia głęboki oddech, Duncan otworzył drzwi i wszedł do prezbiterium. Tak jak myślał, jeden ze strażników natychmiast opuścił swoje miejsce i podążył w jego kierunku.

W porządku, pomyślał Duncan, klękając powoli, aby ten zdążył podejść bliżej. Jest sam i na razie nie wyjął broni. Zobaczmy, co zrobi.

Wstał. Wsłuchiwał się w głuche echo kroków nadchodzącego mężczyzny. Sięgnął ręką do pasa, gdzie w przytroczonym do szarfy woreczku znajdował się klucz do tabernakulum. A gdy uznał, że mężczyzna dotarł już prawie do ołtarza, pozwolił, by klucz wysliznął mu się z palców. Z precyzją obmyślona nieudolność, z jaką usiłował pochwycić klucz i zapobiec upadkowi, sprawiła, że klucz odbił się kilka razy na stopniach ołtarza i wylądował tuż pod stopami zaskoczonego strażnika.

Duncan spojrział na mężczyznę niewinnymi oczami, z wyrazem zakłopotania na twarzy.

W końcu, udając wielką troskę, pośpieszył, by podnieść klucz. Jego zachowanie rozbroiło strażnika do tego stopnia, że zanim zdążył zejść po schodach, mężczyzna, nie zdając sobie niemal sprawy z tego, co robi, podniósł klucz. Zmieszany, ostrożnie podał go Duncanowi.

— Dziękuję ci, synu — powiedział ojcowskim tonem Duncan.

Mężczyzna nerwowo skinął głową, ale nie wykonał najdrobniejszego gestu, który by świadczył o tym, że zamierza odejść.

— Czy mogę ci w czymś pomóc? — zapytał Duncan.

Mężczyzna skulił się w sobie.

— Monsignore, muszę zadać pewne pytanie. Czy jest z tobą generał Morgan?

— Pytasz, czy jest u mnie w gabinecie? — zapytał spokojnie Duncan. Był mistrzem niewinności.

Mężczyzna nieznacznie przytaknął.

— Generał Morgan przyszedł tu w charakterze pokutnika, mój synu — wyjaśnił cichym głosem. — Przed procesem pragnie przyjąć Sakrament. Zarówno on, jak i książe Kelson. Czy jest w tym coś złego?

Wyjaśnienie, jakie uzyskał, zaskoczyło mężczyznę. Najwidoczniej nigdy nie przyszło mu do głowy, że Morgan może być kimś innym niż tylko poganinem i niewiernym. Nie spodziewał się usłyszeć takiego wytłumaczenia. A kim był on, by móc ingerować w sprawy religii i zbawienia, szczególnie w przypadku kogoś, kto tego tak bardzo potrzebował jak Alaric Morgan?

Przekonany, że zakłócił coś, co jest zupełnie naturalne a zarazem święte, strażnik potrząsnął z zakłopotaniem głową i kłaniając się w pas, zaczął się powoli wycofywać. Gdy Duncan odwrócił się do ołtarza, mężczyzna pośpiesznie udał się w kierunku ławki, w której kłę-

czeli jego koledzy. Przyłączył się do nich i zabobonnie przeżegnał.

Duncan z ulgą podszedł do ołtarza. Wiedział, że mężczyzna ciągle go obserwuje i był

pewien, że mimo iż wszyscy zdawali się pogrążeni w modlitwie, uważnie słuchają relacji z zaistniałych wypadków. Wątpił, by usiłowali mu teraz przeszkodzić, pod warunkiem jednak, że jego zachowanie nie wyda im się dziwne i podejrzanе. Było rzeczą oczywistą, że gdy tylko się oddali, któryś z nich opuści bazylikę, by powiadomić Jehanę o miejscu pobytu Alarica i Kelsona. Temu jednak nie mógł w żaden sposób zaradzić.

Duncan uklonił się nieznacznie przed tabernakulum. Następnie rozsunął zielone jedwabne draperie, które przesłaniały złote drzwiczki tabernakulum. Podczas gdy prawą ręką otwierał zamek, lewą ujął sygnet z wizerunkiem gryfa.

A gdy wyjmował przykryty zielonym jedwabiem kielich, wystarczyło już tylko dotknąć ołtarza trzymanym w drugiej ręce sygnetem.

W tym momencie naprzeciw niego w ścianie ołtarza powstał zarys kwadratu o piętnastocentymetrowym boku, by po chwili wysunąć się, ukazując czarną płaską szkatułkę. Starając się działać jak najszybciej, Duncan wyjął dwa dalsze kielichy i z namaszczeniem celebrował próbę pomieszczenia zawartości trzech kielichów w dwóch. Potem zamiast po prostu zakryć pusty kielich ozdobioną klejnotami materią, położył na nim czarną skrzynkę i dopiero wówczas przykrył wszystko zielonym jedwabiem.

Gdy już to zrobił, odstawił pozostałe dwa kielichy na swoje miejsce, z przesadną dokładnością zamknął drzwiczki tabernakulum i przekręcił kluczyk w zamku. Tymczasem drugą ręką zamknął tajemny schowek. Następnie ujął oburącz kielich, na którym spoczywała szkatuła, uklonił się i opuścił sanktuarium. Cała ta operacja zajęła mniej niż dwie minuty.

Znalazłszy się z powrotem w zakrystii, zrzucił z ramion stulę i popatrzył przez otwór w drzwiach.

Tak jak przewidywał, jeden ze strażników już wychodził z bazyliki, by z pewnością powiadomić królową. Najwyraźniej jednak nie wzbudził żadnych podejrzeń. Nikt bowiem nie wykazywał najmniejszego zainteresowania tym, dokąd Duncan zamierzał się teraz udać.

Pozostała straż nie ruszyła się z miejsc.

Duncan zatknął czarną płaską skrzynkę za szarfę, a pusty kielich umieścił obok kilku innych. Wreszcie wrócił do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

— Jakież trudności? — zapytał Morgan, gdy kapłan wyjął skrzynkę i położył na stole.

— Żadnych — odparł Duncan. Wsunął Morganowi do ręki pieczęć z gryfem i usiadł. —

Tyle tylko, że w drodze jest kurier z wiadomością dla Jehany o waszym miejscu pobytu.

Morgan wzruszył ramionami.

— Tego należało się spodziewać. Zobaczmy, co tu mamy — podniósł skrzynkę.

— Czy pieczęć z wizerunkiem gryfa otwiera również tę szkatułkę? — dopytywał z niecierpliwością Kelson, przysuwając swoje krzesło bliżej Morgana. — Spójrz. Na wieczku także widnieje gryf.

Morgan dotknął pieczęcią wizerunku i wieczko przy dźwiękach kuranta otwarło się.

Wewnątrz leżał zwinięty pergamin, a także mniejsze puzderko, pokryte czerwonym aksamitem, na tle którego widniał złoty lew. Gdy Duncan wyjął pergamin, Morgan przyjrzał się dokładnie pudełku.

— Aby je otworzyć, będzie nam potrzebna inna pieczęć — stwierdził i położył je obok Pierścienia Ognia.

— Czy to są nasze instrukcje?

— Zdaje się, że tak — odrzekł Duncan, wygładzając wymięty pergamin i przysuwając go do światła.

— Zobaczmy:

Kiedy Syn zmieni bieg rzeczy?

Orę downik Nieskoń czonoś ci musi prowadzić

Dłoń Opiekuna, by przelać krew,

Która rozpali Oko Rom o zmięzchu.

Ta sama krew musi nakarmić Pierś cień Ognia.

Strzeż się ! Nie zbudź Gniewu Demona!

Jeś li twa rę ka skala dziewiczą obrą czkę , Spadnie na ciebie klą twa sprawiedliwa.

Teraz, gdy Oko Rom ujrzało ś wiatło,

Uwolnij Purpurowego Lwa nocą .

Niech lewa rę ka się nie ugnie, Za b Lwa Musi przeniknąć ciało i nadać Moc.

Tak Oko, Ogień oraz Lew piją do pełna.

Uś piłeś wojowniczą moc Zła.

Nowy dzień . Założ pierś cień .

Znak Obroń cy przypieczę tuje Twą Moc.

Piekielna Siła nie sprzeciwi się twej woli!

Morgan oparł się wygodnie w krześle i cicho gwizdnął.

— Czy to Brion napisał?

— Niewątpliwie jest to jego charakter pisma — odparł Duncan, odkładając pergamin na stół i wskazując nań palem. — Sam zobacz.

Morgan pochylił się nad stołem i przebiegł oczami linijki, starając się je zapamiętać.

Wreszcie opadł na krzesło i westchnął.

— A myśmy sądzili, że rytuał związany z przekazaniem mocy Brionowi był zawity...

Gdyby się nieco nad nim zastanowił, dopiero mógłby uczynić go trudnym.

Kelson, który dotąd przysłuchiwał się tej wymianie zdań z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, nie mógł już dłużej milczeć.

— Czy to znaczy, że to nie jest ten sam rytuał?

Duncan potrząsnął przecząco głową.

— Rytuał zmienia się z każdym pokoleniem. Jest to gwarancją, by wiedza tajemna nie dostała się w niepowołane ręce. Gdyby tak się stało, ktoś mógłby teoretycznie poznać całą procedurę, zdobyć wszystkie niezbędne rekwizyty rytuału i sięgnąć po władzę. Ściśle mó-

wiąc, moc ma zostać przekazana prawowitemu następcy, ale i tak zawsze znajdują się sposoby obejścia pewnych szczegółów technicznych.

— Och — głos Kelsona był cichy i niepewny. — A więc od czego powinniśmy zacząć?

— ostrożnie ujął w palce pergamin, jakby był to jakiś na wpół martwy stwór, który może jeszcze niespodziewanie ugryźć, przyjrzał mu się podejrzliwie, w końcu odłożył go z powrotem na stół.

— Alaric? — zapytał Duncan.

— Ty zaczynaj. Wiesz więcej o tych sprawach niż ja.

Chrzękając nerwowo, Duncan przysunął do siebie pergamin i rzucił nań okiem, po czym spojrzał na Kelsona.

— W porządku. Analizując taki wiersz jak ten, należy go najpierw rozłożyć na możliwie najprostsze składniki: tutaj na podstawowe elementy rytuału. W tym przypadku mamy dwa tria i kwartet. Trzy osoby: Syn, Orędownik Nieskończoności i Opiekun. Czyli ty, ja i Alaric. Wszyscy są wymienieni w pierwszej strofie i składają się na czynnik ludzki.

— Może nie c a ł k i e m tak, kuzynie — powiedział półgłosem Morgan, łącząc czubki pa-ców obu rąk i patrząc na Duncana z chytrym uśmieszkiem.

Duncan uniósł znacząco brew.

— Trzy osoby — powtórzył Kelson, szturchając niecierpliwie Duncana. — Dalej, ojcie Duncanie. Proszę, nie przerywaj.

Duncan przytaknął.

— Mamy też trzy przedmioty: Oko Rom, Pierścień Ognia i Purpurowego Lwa. Są to nasze...

— Zaczekaj — wtrącił Morgan, nagle prostując się na krześle. — Przypomniałem sobie o czymś strasznym. Kelson, gdzie jest Oko Rom?

Młody książę zmieszał się.

— Nie wiem. Powiedz mi, co to takiego, a może wówczas będę ci mógł powiedzieć, gdzie to jest.

Duncan spojrzał na Morgana.

— Jest to ciemny rubin wielkości mojego małego paznokcia. Brion zawsze go nosił w prawym uchu. Musiałeś już go widzieć.

Oczy chłopca rozszerzyły się gwałtownie. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

— To niemożliwe, ojcie Duncanie. Jeśli to jest to, o czym myślę, to zostało pogrzebane z moim ojcem. Nic wiedziałem, że to takie ważne.

Morgan zacisnął wargi. Opuszkami palców badał wieczko pudierka, na którym widniał złoty lew. Wreszcie z rezygnacją spojrzał na Duncana.

— Będziemy musieli otworzyć grobowiec.

— Nie mamy wyboru.

— Otworzyć grobowiec? — powtórzył Kelson. — Ależ nie możecie! Morganie, wy nie możecie tego zrobić!

— Obawiam się, że jest to konieczne — cichym głosem odparł Duncan. — Albo zdobę-

dziemy Oko Rom, albo rytuał się nie odbędzie — spuścił oczy. — Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy to zrobić. Jeśli Charissa ma rzeczywiście coś wspólnego z tą śmiercią, a mamy dowody, by tak właśnie sądzić, to niewykluczone, że Brion nie jest całkiem wolny.

Oczy Kelsona jeszcze bardziej się zaokrągliły, a jego twarz pobladła.

— To znaczy, że jego dusza jest...

— Gdzie został pochowany? — zapytał ostro Morgan, przerywając Kelsonowi i zmieniając tok rozmowy, zanim przerażenie chłopca zupełnie wymknie im się spod kontroli. —

Jeśli mamy w ogóle coś osiągnąć, musimy mieć jakiś plan działania.

Został pochowany w krypcie katedralnej — odrzekł Duncan. — Jak zdążyłem się zorientować, przez cały czas wejścia pilnują czterech strażników. Mają rozkaz, by nikogo nie wpuszczać do środka. A z zewnątrz nie widać nawet grobowca.

Morgan zmrużył oczy. Bawił się pierścieniem.

— Mówisz, że widziałeś czterech strażników, tak? Nocą jest ich na pewno mniej, jak myślisz? Po zamknięciu drzwi katedry po komplecie tak liczna warta nie jest nikomu potrzebna. A wówczas już sobie z nimi poradzimy.

Kelson wpatrywał się z niedowierzaniem w Morgana, jego twarz z wolna nabierała rumieńców.

— Morganie, czy rzeczywiście zamierzasz otworzyć trumnę?

Odpowiedź przerwał tętent końskich kopyt. Duncan zerwał się na równe nogi i rzucił do okna. Pośpiesznie zaciągnął kotary.

Morgan natychmiast znalazł się przy jego boku, patrząc przez szparę pomiędzy kotarami.

— Kto to jest? Rozpoznajesz ich?

— Arcybiskup Loris — odrzekł Duncan. — Sądząc po liczbie osób, jakie mu towarzyszą, trudno odgadnąć, czy przybył dopiero do miasta, czy też przyjechał, żeby cię aresztować.

— Przyjechał po mnie. Spójrz, jak porozstawiał swoich ludzi. Wie, że tu jesteśmy. W

ciągu kilku sekund zostaniemy otoczeni.

Kelson również podszedł do okna, z konsternacją na twarzy.

— Co teraz zrobimy?

— Muszę się poddać — powiedział spokojnie Morgan.

— Poddać się? Nie, to niemożliwe! — krzyknął Kelson.

— Ależ tak! — sprzeciwił się Duncan, prowadząc chłopca z powrotem do stołu. — Jeśli Alaric nie posłucha wezwania Rady, t w o j e j Rady, sprzeniewierzy się prawu wbrew przysiędze, którą złożył jako jej członek — posadził chłopca na krześle. — Ty również sprzenie-wierzysz się prawu, jeśli jako głowa Rady zaniedbasz swoje obowiązki.

— Ale to nie moja Rada — próbował sprzeczać się Kelson. — To jest Rada mojej matki. Ona chce zabić Morgana.

Duncan zabrał Pierścień Ognia, pergamin i pudełko z czerwonego aksamitu i udał się z nimi w stronę kłęcznika.

— Nie, Kelsonie, to jest ciągle twoja Rada. Ale musisz im o tym przypomnieć — nacisnął palcem ukryty guzik i obok w ścianie otwarł się schowek.

— Poza tym i tak nie możemy za wiele zrobić aż do zapadnięcia zmroku. A im dłużej zdołasz przeciągnąć posiedzenie Rady, tym większa szansa, że nie użyją znów jakiegoś podstępu. Sądzę, że kilku twoich największych wrogów zasiada w tej chwili w Radzie, ale jeśli wszyscy będą obecni, przynajmniej będziesz wiedzieć, gdzie akurat przebywają i co robią —

włożył cenne przedmioty do schowka i zamknął go. — Tam będą bezpieczne.

Kelson nie był przekonany.

— Przypuśćmy, że orzekną o winie Morgana. Może nawet już to zrobili. Nie mogę przyglądać się biernie, jak skazują go na śmierć.

— Jeśli do tego dojdzie, nie masz wyjścia — oświadczył Morgan, ściskając ramię chłopca dla dodania mu otuchy. — Ale pamiętaj, nie jestem jeszcze skazany. Deryni nawet nieuzbrojony nie jest całkowicie bezbronny, zawsze może się posłużyć swoją wiedzą tajemną.

— Ale...

— Żadnych sprzeciwów, mój książę — upomniał go Morgan. Zaprowadził chłopca do drzwi. — Musisz mi zaufać.

Kelson zwiesił głowę.

— Chyba masz rację.

Duncan otworzył drzwi.

— Spotykamy się tutaj po komplecie?

Morgan przytaknął.

— Przyślę do ciebie gońca z wieściami.

— Ja i tak będę wiedzieć — Duncan uśmiechnął się. — Niech cię Bóg prowadzi, kuzynie!

Morgan podziękował i poprowadził wciąż opierającego się chłopca przed sobą. Gdy przechodzili wąskim gankiem na dziedziniec zewnętrzny, usłyszał, jak zamykają się za nimi drzwi gabinetu i poczuł uspokajające działanie błogosławieństwa wypowiedzianego przez Duncana. Dobrze było wiedzieć, że zawsze mógł na nim polegać.

Wyszli na pełne słońce i natychmiast zostali otoczeni przez uzbrojonych żołnierzy.

Kelson obdarzył ich pełnym wściekłości spojrzeniem. Rozpoznawszy go, opuścili szable.

Morgan jednak uważał, by trzymać ręce przy sobie i nawet nie dotykać broni. W złą godzinę dobytą szablą przez spełniającego swój obowiązek a porywczego żołnierza, przekreśliłaby jakiegokolwiek szanse Kelsona na przeżycie, nie wspominając o samym Morganie. Zauważył, że księżę stoi blisko przy jego boku, blady, ale gotów na wszystko, czekając, aż arcybiskup Loris do nich podejdzie.

Arcybiskup Valoret ciągle miał na sobie strój jeździecki, czarna opończa poplamiona i wymięta, nosiła na sobie ślady długiej podróży. Ale nawet po takiej podróży i w takim stroju, arcybiskup nie był osobą, którą można by lekceważyć. Chociaż Morgan doskonale pamiętał, jaką krzywdę człowiek ten wyrządził jego przyjaciółom z północy, musiał przyznać, że Loris był jedną z tych nielicznych indywidualności, które otaczała aura władzy i godności, należącej tak wysokiemu stanowisku w hierarchii kościelnej.

Jasnobłękitne oczy płonęły ogniem religijnego fanatyzmu, a za jego dumną głową, miękkie siwe włosy tworzyły coś w rodzaju wiotkiej aureoli. W lewej ręce dzierżył zwój mlecznobiałego pergaminu, do którego dołączono kilka pieczęci z czerwonego i zielonego wosku. Na palcu prawej ręki błyszczał sygnet z ametystem - znak władzy kościelnej.

Podchodząc do Kelsona, nieznacznie się uklonił i wykonał gest, jakby chciał podsunąć mu pierścień. Księżę jednak niedwuznacznie go zignorował. Loris z irytacją cofnął rękę i popatrzył na Morgana, jemu jednak nawet nie próbował podsuwać pierścienia.

— Wasza Królewska Wysokość — odezwał się, nie spuszczając oka z generała. —

Ufam, że czujesz się dobrze.

— Czuję się dobrze, zanim ty, arcybiskupie się tu nie zjawiłeś — odpowiedział zwię-

źle. — Czego sobie życzysz?

Loris uklonił się ponownie i całą swą uwagę poświęcił Kelsonowi.

— Gdybyś Wasza Wysokość był na posiedzeniu Rady, jak ci nakazuje obowiązek, nie musiałbyś zadawać tego pytania — zripostował. — Niczego jednak nie osiągniemy, drażąc dalej ten temat. Mam nakaz aresztowania Jego Wysokości, generała Alarica Anthony Morgana, księcia Corwynu. Sądzę, że to właśnie on jest w twoim towarzystwie.

Morgan uśmiechnął się od niechcienia i założył ręce na piersi.

— Sądzę, że to więcej niż oczywiste, szanowny lordzie arcybiskupie. Jeśli masz do mnie jakąś sprawę, proponuję, żebyś zwrócił się z tym do mnie bezpośrednio. Nie udawaj, że mnie tu nie ma, tylko dlatego, że wolałbyś, bym był nieobecny.

Loris spojrzał na niego ze złością.

— Generale Morgan, przynoszę ze sobą pismo wydane przez królową i członków Rady nakazujące ci natychmiast się stawić i odpowiedzieć na pewne zarzuty.

— Rozumiem — odpowiedział cichym głosem. — A jakie stawia mi się zarzuty, lordzie arcybiskupie?

— Zarzuca ci się herezję oraz zdradę króla — odpowiedział z naciskiem Loris. — Czy chcesz je zakwestionować?

— Owszem, chcę — odparł Morgan. Sięgnął po pergamin i zamarł w bezruchu, gdy w jego gardło skierowano tuzin szabli. Uśmiechnął się z pobłażaniem. — Czy mogę zobaczyć nakaz?

Na znak Lorisa żołnierze opuścili broń. Morgan wziął do ręki podany przez arcybiskupa nakaz, szybko go przejrzał, trzymając go tak, by i Kelson mógł go przeczytać. W końcu zrolował go i zwrócił.

— Pod względem prawnym nakaz jest bez zarzutu — stwierdził spokojnym głosem. —

Jednakże mam poważne wątpliwości co do sposobu przedstawienia faktów. Wobec czego zakwestionuję oczywiście stawiane mi zarzuty — sięgnął do pasa i dobył miecza. — Ponieważ jednak nakaz stawienia się przed Radą jest zgodny z prawem, uczynię mu zadość i dobrowolnie oddaję się pod jurysdykcję Rady.

Wręczył zaskoczonemu arcybiskupowi swój miecz, a potem wyciągnął obie ręce.

— Czy chcesz mnie związać? Czy też wystarczy moje słowo?

Loris cofnął się podejrzliwie, z przestraczem zacisnął lewą rękę na wiszącym na piersi pektorale.

— Morgan, jeśli jest to jakaś sztuczka Deryni — zasyczał, robiąc znak krzyża. —

Ostrzegam cię...

— To nie są żadne sztuczki — oświadczył łagodnym tonem Morgan, pokazując otwarte dłonie. — Oddam ci nawet ukrytą broń na dowód, że moje intencje są czyste.

Jego lewy nadgarstek drgnął i nagle znalazł się w dłoni sztylet. Zanim Loris i jego straż zdążyli zareagować, podał go Kelsonowi.

— Książę?

Bez słowa Kelson przejął wąski sztylet i z groźnym wyrazem twarzy zatknął go za pas.

Loris wreszcie otrząsnął się z osłupienia.

— Morgan! To nie są jakieś żarty, albo zabawa. Jeśli sądzisz, że możesz...

— Arcybiskupie — przerwał Kelson. — Nie chcę słyszeć żadnych gróźb ani od ciebie, ani od niego. Generał Morgan dowiódł swoich dobrych intencji, myślę, że czas już, żebyś i ty pokazał swoje. Pozwolisz, że zwrócę twoją uwagę na pewien drobny szczegół: sztylet ten mógł z taką samą łatwością znaleźć się w twojej piersi, z jaką znalazł się w mojej dłoni.

Loris wyprostował się.

— Nie ośmieliłby się!

Kelson wzruszył ramionami.

— Skoro tak mówisz. A teraz kontynuujmy tę farsę. Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia.

— Takie jak przestawanie z wysłannikami Szatana, Wasza Wysokość? — zasyczał

Loris.

— Twoje rozumienie pewnych pojęć pozostawia wiele do życzenia, arcybiskupie — odciął się książę.

Loris z trudem się opanował. Głęboko wciągnął powietrze.

— Cała sprawa została przeprowadzona zgodnie z literą prawa, Wasza Wysokość. Nie sądzę, by tym razem udało mu się ujść sprawiedliwej karze.

— To tylko słowa, arcybiskupie — odparł Morgan.

Loris parę razy zacisnął pięści, w końcu przywołał straż.

— Zwiążcie go.

Żołnierze posłuchali rozkazu. Znów zwrócił się do Kelsona.

— Wasza Wysokość, wiem, że przez ostatnie tygodnie żyłeś w znacznym napięciu i dlatego też jestem skłonny puścić w niepamięć słowa, które tu usłyszałem. A jeśli życzysz sobie udać się teraz do pałacu i odpocząć przez jakiś czas, jestem pewny, że Rada zrozumie powstałe okoliczności.

Księżę wpadł w gniew.

— Jakie okoliczności, arcybiskupie? Czy naprawdę sądzisz, że zostawię Morgana zdanego na twoją łaskę albo na łaskę mojej *matki*? Pomijając zresztą moje osobiste uczucia w tej sprawie, uważam, że przyszły król Gwynedd powinien być obecny na tak ważnym posiedzeniu. Czyż nie mam racji, arcybiskupie?

Oczy Lorisa błysnęły gniewem, ale zrozumiał wreszcie, że nie ma sensu przeciągać tej dyskusji. W końcu uświadomił sobie, że chłopiec, który przed nim stał, rzeczywiście był

przyszłym królem Gwynedd, bez względu na jego obecne kontrowersyjne przekonania.

Skłonił się głęboko, ale w jego oczach widać było wyzwanie i opór.

— Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość — powiedział półgłosem.

Rozdział piąty

O Boże, przekaz Twój sąd i Twoją sprawiedliwość

synowi królewskiemu. (Ps 72, 1)

Kiedy Kelson i Morgan przybyli, w sali posiedzeń panowało wielkie zamieszanie.

Oprócz członków Rady w sali znajdowało się kilkadziesiąt innych osób. Zgodę na uczestnictwo w naradzie niektórych spośród doradców, a także ze świąty Briona wydała Jehana, ażeby móc ostatecznie rozprawić się z Morganem. Po każdej stronie stołu ustawiono dodatkowy rząd krzeseł, które przeważnie stały teraz puste. Osoby, które powinny były je zajmować, kotłowały się na środku sali, prowadząc głośne dyskusje i kłótnie, i wzajemnie się przekrzykując. Chociaż ci ludzie nie mieli prawa głosu, niemniej jednak uważali, że wiedzą najlepiej, jak należy postąpić z wszechmocnym lordem Deryni, który był przedmiotem ich dyskusji.

Jakiegolwiek byłyby uczucia, które lord Alaric Morgan wzbudzał w ludziach, z pewnością nie należało do nich uczucie obojętności.

Na honorowym miejscu przy stole siedziała Jehana, próbując za wszelką cenę robić wrażenie osoby opanowanej. Od czasu do czasu spoglądała na białe dłonie, spoczywające na kolanach i dotykała szerokiej, bogato zdobionej, złotej bransolety na lewej ręce.

Przez większość czasu starała się nie zwracać uwagi na usilne prośby siedzącego z prawej strony biskupa Arilana. Nauczona długim doświadczeniem wiedziała, że ten młody prałat potrafił być

niezwykle przekonujący, szczególnie w przypadku, gdy w grę wchodzi-

ło coś, czemu postanowił poświęcić się bez reszty. Już podczas głosowania wyraźnie się opowiedział, po czyjej jest stronie. W rzeczy samej, Morgan miał niewielu popleczników, którzy by bronili jego sprawy z podobnym entuzjazmem i energią.

Z chwilą gdy Kelson, a za nim Loris i jego straż weszli do sali, wszelkie rozmowy natychmiast ucichły. Siedzący powstali z szacunkiem z miejsc i kłaniali się przechodzącemu Kelsonowi, a pozostali pośpiesznie odnaleźli opuszczone przez siebie krzesła. Księżę zajął

miejsce obok swego wuja Nigela, a Loris wolnym krokiem powędrował w kierunku Jehany.

Jednakże, jak się okazało, ani Kelson, ani Loris nie byli dziś tymi, którzy przyciągnęli największą uwagę. Bowiem w chwili, gdy w drzwiach pojawił się Morgan w asyście czterech żołnierzy Loris, wszystkie oczy natychmiast zwróciły się ku niemu. Gdy zauważono, że jest związany, rozległy się szepty. A widząc, że posadzono go nieco z tyłu przy prawym boku Kelsona, natychmiast zaczęto wymieniać podejrzliwe spojrzenia. Twarz księcia była ponura.

Gdy zajmowano miejsca, Loris złożył Jehanie ukłon, po czym położył przed nią królewskie rozporządzenie.

Pieczecie głucho uderzyły o blat stołu. Był to jedyny dźwięk j w całej sali.

— Zgodnie z wolą Waszej Królewskiej Wysokości przedstawiłem podejrzanemu nakaz aresztowania i przyprowadziłem go — oświadczył. Odwrócił się do swego adiutanta i odebrał

od niego miecz Morgana. — Składam teraz na twoje ręce, Wasza Królewska Wysokość miecz więźnia na dowód jego poddania się sprawiedliwemu nakazowi...

— Arcybiskupie! — głos Kelsona przeszył panującą w sali ciszę.

Loris zamarł, po czym powoli odwrócił się w jego kierunku, za nim podążyły wszystkie oczy. Kelson wstał.

— Wasza Wysokość? — zapytał ostrożnie Loris.

— Przyniesiesz ten miecz do m n i e, arcybiskupie — odpowiedział spokojnie Kelson.

— Morgan jest m o i m więźniem.

Głos Kelsona przybrał tak bardzo charakterystyczny dla Briona ton stanowczości, że zanim zdążył pomyśleć, Loris zaczął wykonywać rozkaz. Po chwili jednak ocknął się i chrząknął nerwowo.

— Wasza Królewska Mość? — zwrócił się pytająco do Jehany.

Jehana popatrzyła ostro na syna.

— Kelsonie, jeśli sądzisz...

— Jego Ekscelencja, arcybiskup Loris m n i e przyniesie miecz, matko — przerwał

Kelson. — To mój przywilej zgodnie z prawem i panującym obyczajem. Ciągle jestem jeszcze głową Rady, nawet gdy tylko formalnie.

— Jak sobie życzysz — odparła Jehana, z błyskiem złości w oczach. — Ale to i tak go nie uratuje, wiesz o tym dobrze.

— Przekonamy się — zagadkowo odrzekł Kelson i zajął na powrót miejsce.

Loris podszedł do niego z mieczem i położył go przed nim, kłaniając się z kurtuazją.

Gdy arcybiskup wracał na swoje miejsce obok Jehany i Corrigana, Kelson ukradkiem spojrzął na Morgana.

Przez cały ten czas, odkąd wszedł do sali, Morgan nie odezwał się ani słowem, choć z aprobatą przysłuchiwał się owej wymianie zdań. Zachował niewzruszony wyraz twarzy, gdy tymczasem radni rozsiedli się w oczekiwaniu na następny krok Kelsona. Niełatwo będzie wpłynąć na ich osąd. Działając zgodnie z prawem nie uda im się odnieść szybkiego zwycię-

stwa, a w tej chwili nie było innego wyjścia.

Wzruszył w myślach ramionami i rozluźnił rzemienie krępujące mu nadgarstki. Ciekawy był, czy Kelsonowi uda się jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

Księżę rozejrzał się po sali, widać było jego wzburzenie. Złączył czubki palców tak, że tworzyły wieżę, był to gest charakterystyczny dla Briona, ilekroć był szczególnie zirytowany.

Oczy Kelsona badawczo przyglądały się każdej twarzy, wreszcie jego wzrok spoczął na matce, która siedziała na przeciwległym końcu stołu.

— Nigel — zaczął, nie spuszczając z niej oczu. — Jak sądzę, otrzymałeś dokładne instrukcje, by przesunąć posiedzenie Rady do czasu, gdy przyjadę. Czy mógłbyś wobec tego wyjaśnić, co się stało?

Zapytany popatrzył prosto w oczy Jehanie. Był pewien, że Kelson doskonale wiedział o jego wysiłkach. To co teraz powie, będzie wyłącznie skierowane do osób zasiadających w Radzie.

— Tak, mogę, Wasza Królewska Wysokość — odpowiedział spokojnym głosem. —

Próbowałem poinformować Radę o twojej prośbie przełożenia posiedzenia, jednak znalazły się osoby, które postanowiły ją zignorować. Jej Królewska Wysokość oznajmiła, że jesteś za-jęty ważniejszymi sprawami. Nalegała, żeby otworzyć posiedzenie bez ciebie.

Jehana spuściła oczy, gdy Kelson zmarszczył brwi.

— Czy to prawda, matko?

— Oczywiście, że tak! — rzuciła oschle, wstając gwałtownie. — Były pewne sprawy, które należało uporządkować, sprawy, które powinny były zostać załatwione już dawno.

Przynajmniej twoja Rada wykazała się zdrowym rozsądkiem. Twój drogi zdrajca Morgan został uznany winnym stosunkiem głosów pięć do czterech!

Kelson już chciał ostro odpowiedzieć, ale po chwili zmienił zdanie i przyjął inną taktykę. Poczł, jak poruszył się siedzący obok niego generał i jak płaszcz jego ociera się o jego kolano. Spróbował się rozluźnić i jeszcze raz zmierzył wzrokiem pełne napięcia twarze.

— W porządku, panowie — usłyszeli jego opanowany głos. — Widzę, że cokolwiek powiem, nie zmieni to waszego zdania w tej kwestii — kątem oka dostrzegł Jehanę, która z triumfem zajęła swoje miejsce. — Zanim wydam w tej sprawie wyrok, mam do was jeszcze jedną prośbę. Mianowicie proszę, by każdy z was ponownie oddał swój głos, tak jak to uczynił przedtem — w jego oczach można było dostrzec wyzwanie, gdy przyglądał się twarzom członków Rady. — Jeśli dobrze zrozumiałem, podajecie w wątpliwość lojalność Morgana wobec Korony i Kościoła. Chciałbym się dowiedzieć, kto wierzy w to wierutne kłamstwo.

Lord Rogier wstał niepewnie i zwrócił się do księcia.

— Czy chcesz podważyć werdykt prawomocnie ukonstytuowanej Rady, Wasza Wysokość?

— Absolutnie nie — pośpieszył z odpowiedzią. — Chcę jedynie upewnić się, że wyrok zapadł zgodnie z prawem. Proszę, panowie, marnujemy cenny czas. Jakie jest wasze zdanie?

Czy Morgan rzeczywiście jest zdrajcą i heretykiem? Nigel?

Nigel wstał.

— Lord Alaric jest niewinny zarzucanych mu zbrodni, Wasza Królewska Wysokość.

— Dziękuję ci, wuju — Kelson skinął głową i Nigel zajął swoje miejsce. — A ty, lordzie Bran?

— Winny, Wasza Wysokość.

— Lord Ian?

— Winny, Wasza Wysokość.

— Rogier?

— Winny, Panie.

Kelson spochmurniał.

— Lordzie Biskupie Arilan, jakie jest twoje zdanie?

— Jest niewinny, Wasza Królewska Mość — pewnym siebie głosem odparł Arilan, lekceważąc wściekle spojrzenia rzucone mu przez Corrigan i Lorisa.

— Dziękuję, Wasza Ekscelencjo — skinął głową. — A ty, Ewan?

Ewan nie mógł spojrzeć mu w oczy. Nigdy nie żywił specjalnej urazy wobec Morgana, ale widział umierającego Briona. Jeśli pogłoski były prawdą...

— A więc?

— Winny, Wasza Królewska Wysokość — oświadczył półgłosem.

Kelson z wyrozumiałością skinął głową i pomijając matkę, zadał to samo pytanie arcybiskupowi Corriganowi. Nie miał jednak wątpliwości, co odpowie prałat.

— Lordzie arcybiskupie?

Corrigan spojrział mu prosto w oczy.

— Winny, Wasza Królewska Wysokość. Nawet jeszcze nie z a c z ę l i ś m y sporządzać listy grzechów, jakich dopuścili się Deryni!

— Zwykle „winny” wystarczy, arcybiskupie — uciął oschle. — Nie sądzimy tu całego pokolenia Deryni, ale tylko jedną osobę. Osobę, chciałem zauważyć, która wiele zrobiła dla Gwynedd.

— Która wiele s z k ó d wyrządziła Gwynedd! — wtrącił Corrigan.

— Wystarczy, arcybiskupie! — uciął Kelson. Zmierzył prałata lodowatym wzrokiem, po czym przeszedł do McLainów, wdzięczny, że może zwrócić się do przyjaciół. — Księżę Jared?

— Niewinny, Panie — odparł stary księżę.

— Lord Kevin?

— Niewinny, Wasza Królewska Wysokość.

Kelson skinął głową. W myśli podliczył głosy.

— Wiem, że Lord Derry również głosował za uniewinnieniem, a więc głosy rozkładają się równo: pięć do pięciu — popatrzył na siedzącą na przeciwległym krańcu stołu matkę. —

Nie sądzę, żeby była to podstawa oskarżenia, matko.

Jehana zarumieniła się.

— Lord Derry nie ma prawa głosu, Kelsonie. Nie jest członkiem tej Rady.

Jego oczy niebezpiecznie się zwęziły i kilku spośród członków Rady skuliło się ze strachu. Dobrze znali to spojrzenie, którego nauczyli się bać i szanować u ojca chłopca. Czy to możliwe, że młody książę podaży śladami swego ojca? Niegdyś spojrzenie to oznaczało nadchodzącą burzę.

Kelson wolno skinął głową.

— Bardzo dobrze. Moim życzeniem było, by Derry głosował pod nieobecność Morgana. Ale skoro Morgan jest z nami, może zrobić to sam. Sądzę, że nikt nie ma wątpliwości, co odpowie.

— Morgan nie może głosować! — zaprotestowała Jehana. — On jest sądzony!

— Niemniej, aż do chwili, gdy zostanie formalnie oskarżony, nadal pozostaje członkiem Rady. Nie możesz pozbawić go prawa głosu, zanim nie zadecyduje o tym prawo, tym bardziej, że nie pozwolono mu nawet powiedzieć nic na swoją obronę.

Jehana zerwała się na równe nogi, a jej twarz była czerwona ze złości.

— Skoro j e m u nie odmawiasz prawa głosu, nie możesz też mnie zabronić głosować!

Skoro zdecydowałeś się w końcu uczestniczyć w posiedzeniu i przejąć prowadzenie obrad, nie muszę już pełnić tej funkcji i mam prawo głosu. Oświadczam więc, że jest winny, co oczywiście daje nam wynik głosowania sześć do pięciu. Twój wspaniały Morgan przegrał, Kelsonie! Co ty na to?

Kelson, oszołomiony, opadł na krzesło. Pobladł, zdruzgotany słowami matki. Nie potrafił zmusić się, by popatrzeć na wysoką postać stojącą nieruchomo po prawej stronie. Nie mógł

spotkać spojrzenia tych szarych oczu i uznać swoją porażkę. Zdesperowany, jeszcze raz po-wiódł oczyma po twarzach siedzących wokół stołu radnych. A gdy przeniósł wzrok z twarzy Derry'ego na stojące obok niego krzesło — miejsce, na którym zasiadał lord Ralson — w jego głowie zarysował się pewien plan.

Oderwał wzrok od owego pustego miejsca i przyjrzał się kolejnym twarzom, starając się nie okazywać, że żywi jeszcze nadzieję. Nie może pozwolić, by odgadli, że ma jakiś pomysł.

Dzwony nie wybiły jeszcze trzeciej po południu, a zanim to nastąpi, musi za wszelką cenę stosować taktykę wymijającą.

Usiadł i założył z rezygnacją ręce, na jego twarzy malował się wyraz zmęczenia.

Panowie — zaczął, pozwalając, by do jego głosu zakradło się znużenie. — Zdaje się, że przegraliśmy — ruchem ręki wskazał, że ma na myśli Morgana i Nigela. — Zanim wydam wyrok, proszę was jednak o cierpliwość w jeszcze jednej sprawie. Proszę, by najpierw zostały odczytane wszystkie oskarżenia wysuwane wobec generała Morgana. Czy jest jakiś sprzeciw?

Jehana z trudem powstrzymała zwycięski uśmiech i ponownie usiadła.

— Oczywiście, że nikt nie wyraża sprzeciwu, Kelsonie — oświadczyła i podała Ewanowi pismo. — Lordzie Ewan, proszę o odczytanie pełnego tekstu oskarżenia.

Ewan przełknął ślinę i skinął głową, po czym wstał i odchrząknął.

— Do wiadomości Jego Wysokości, lorda Alarica Anthony Morgana, księcia Corwynu i generała Armii Królewskiej od królowej i lordów zasiadających w Radzie Regencyjnej na sesji w dwunastym dniu panowania Kelsona Cinhil Rhys Anthony Haldańczyka, króla Gwynedd, księcia Meary i władcy Purpurowej Marchii.

Wasza Wysokość, zostałeś wezwany do stawienia się przed Radą Królewską Gwynedd, by odpowiedzieć na stawiane ci zarzuty w związku z twoim postępowaniem wobec Korony.

Mianowicie...

Gdy Ewan zaczął odczytywać oskarżenia, Kelson odważył się wreszcie spojrzeć na Morgana. Przez cały czas trwania obrad zastanawiał się, dlaczego generał nawet nie próbował

się oczyścić ze stawianych mu zarzutów, ale doszedł teraz do wniosku, że każda obrona, jakkolwiek zręczna i inteligentnie poprowadzona, byłaby daremna, biorąc pod uwagę nastrój, jaki tu panował. Nie istniało nic, co Deryni mógłby powiedzieć czy zrobić, a co przekonałoby ich o jego niewinności.

Teraz jego głowa była pochylona, a oczy przesłonięte długimi, gęstymi rzęsami.

Natychmiast zauważył, że generał dostrzegł jego ciężkie położenie. Nawet w tej chwili najprawdopodobniej buduje jakieś fantastyczne plany ucieczki, przywołuje całą przerażającą moc Deryni, by odzyskać swą wolność, wolność, która była bezcenna, jeśli miał w jakiś sposób pomóc młodemu królowi. Nie mógł przecież wiedzieć, że Kelson ma już pewien pomysł.

Uświadomił sobie, że musi teraz prowadzić grę na dwa fronty. Jeśli Morgan uczyni ja-kiś krok przed nim, a Kelson musiał czekać, aż dzwony wybiją trzecią, wówczas jakakolwiek nadzieja na rozwiązanie tej sprawy zgodnie z prawem będzie stracona.

Bardzo ostrożnie przesunął stopę w bok, do stopy Morgana brakowało tylko pięć centymetrów. Wreszcie, gdy Ewan zaczął odczytywać ostatnie paragrafy pisma, Kelson poruszył się w krześle, trącając Morgana butem.

Morgan popatrzył na chłopca, dostrzegł niemal niezauważalne potrząśnięcie głowy i sam skinął na znak, że się zgadza. Chłopiec miał jakiś plan. Pozwoli mu go wypróbować.

... został mi przedstawiony dzisiejszego dnia, *Jehana Regina et Domini Consilium*. —

głos zamilkł. Ewan z wyczekującym wyrazem twarzy zajął swoje miejsce. Gdy siadał, dzwony bazyliki i katedry zaczęły wybijać pełną godzinę.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

Kelson wsłuchiwał się w uderzenia dzwonów i skarcił się w duchu, gdy usłyszał czwarte uderzenie. Była czwarta po południu. Czekał na trzecią, a dawno już minęła. Już dawno mógł zacząć działać.

Wstał w milczeniu, wciąż zachowując nieprzeniknione oblicze.

— Lordowie, Wasza Królewska Wysokość — zaczął oficjalnie, lekko skłonił się w stronę matki. — Wysłuchaliśmy zarzutów wysuwanych wobec naszego generała — zauważył na twarzy Jehany nagłe podejrzenie, gdy usłyszała, że Kelson posłużył się królewskim zaimkiem

„my”.

Ruchem ręki wskazał siedzącego po prawej stronie Morgana.

— Usłyszeliśmy również życzenie albo właściwie żądanie Rady w tej sprawie. Jednakże zanim wydamy wyrok, zamierzamy rozpatrzyć jeszcze jeden punkt obrad.

Rozległy się pytania, a Kelson zauważył wzrok matki, w którym nie udało się ukryć zdziwienia i strachu.

— Uświadomiliśmy sobie — ciągnął Kelson tym samym tonem — że nasze szeregi zostały ciężko doświadczone stratą naszego dobrego i wiernego sługi, lorda Ralsona Evering

— gestem wskazał puste miejsce i zrobił znak krzyża. Pozostali zrobili to samo, zastanawiając się wszakże, do czego zmierza młody książę.

— Dlatego też — kontynuował — postanowiliśmy na jego miejsce powołać nowego członka Rady.

— Nie możesz tego zrobić! — krzyknęła Jehana, zrywając się z miejsca.

— Zdajemy sobie oczywiście sprawę — nie przerywał Kelson, ucinając protesty — że lord Derry nigdy nie zastąpi lorda Ralsona, ale jesteśmy przekonani, że zajmując zaszczytne miejsce członka Rady, wniesie tu swój własny wkład. Sean lord Derry.

Gdy wśród członków Rady zawrzało, Kelson dał Derry'emu znak, by wstał. Młodzieniec spojrział na Morgana, by u niego szukać potwierdzenia, jednakże nawet on wydawał się zaskoczony.

Kelson ruchem ręki nakazał milczenie, w końcu, gdy hałas nie ustawał, rękojeścią szpady zaczął uderzać w stół. Jehana, nie zważając na nic, z drugiego końca sali usiłowała prze-krzyczeć kłótnie.

— Kelsonie! Nie możesz tego zrobić! — krzyczała, jej głos zdołał wreszcie przebić się przez panujący wokół hałas. — Nie masz prawa! *Wiesz* przecież, że nie możesz powołać nowego członka Rady bez zgody Regentów. Nie jesteś pełnoletni!

Oczy Kelson stały się zimne jak stal, gdy powiódł nimi po twarzach obecnych. Sala nagle ucichła.

— Szanowni Lordowie, moja matka najwyraźniej zapomniała, że godzinę temu upłynę-

Io dokładnie czternaście lat, odkąd w innej sali tego pałacu, wydała na świat syna, któremu nadano imię Kelsona Cinhil Rhys Anthony Haldańczyka. Gdy poród się skończył i królewscy lekarze położyli mnie w jej ramionach, dzwony wybiły trzecią po południu.

Ze spopielającą twarzą Jehana opadła na krzesło, skinęła kilka razy głową, jej oczy zaszyły mgłą, była oszołomiona.

— Wy, lordowie, także zapominacie, dlaczego koronacja została przełożona na jutro.

Jak wam wiadomo, prawo królewskie mówi, że król Gwynedd nie może zostać koronowany przed dojściem do pełnoletności. Ponieważ miałem osiągnąć pełnoletność dopiero o trzeciej po południu, a to jest pora, jak sami przyznajecie, zbyt późna na koronację, wobec czego ceremonię tę przesunięto na jutro. Ale rządę już dzisiaj!

Nikt się nie poruszył ani nie odezwał, gdy Kelson skończył przemawiać. Wszyscy zaniemówili i tylko patrzyli, jak dał Derry'emu znak, by się zbliżył. Gdy Derry stanął u jego boku, Kelson uniósł miecz Morgana rękojeścią w górę.

— Seanie lordzie Derry, czy przysięgasz na ten krzyż, że będziesz wiernie i z oddaniem służyć Radzie Królewskiej?

Derry ukląkł i położył dłoń na rękojeści miecza.

— Przysięgam, Panie.

Kelson opuścił miecz i Derry powstał.

— A jakie jest twoje zdanie w omawianej tu sprawie, lordzie Derry? — zapytał Kelson.

— Morgan jest winny czy nie?

Derry popatrzył z triumfem na Morgana, po czym zwrócił się do Kelsona. Jego głos był spokojny i wyraźny.

— Lord Alaric jest niewinny, Wasza Królewska Wysokość!

— Niewinny — powtórzył Kelson, rozkoszując się tym słowem. — Ogłaszam wobec tego wynik głosowania: sześć do sześciu. Głosowanie nie zostało więc rozstrzygnięte —

popatrzył na swoją matkę, która ciągle siedziała skulona na krześle. — Niniejszym ogłaszam lorda Alarica Anthony Morgana, księcia Corwynu i generała Królewskiej Armii niewinnym stawianych mu zarzutów. Jeśli w przyszłości ktoś będzie sobie życzył ponownie wrócić do sprawy i będzie w stanie przedstawić niezbite dowody, przychylę się do ich rozpatrzenia.

Tymczasem kończę dzisiejsze posiedzenie Rady.

Wyjął zza pasa sztylet Morgana i rozciął rzemienie, którymi był związany generał.

Następnie oddał mu jego miecz, skłonił szorstko oniemiałej Radzie i szybko wyszedł z sali, a Morgan i Derry podążyli za nim.

Cisza trwała tylko do chwili, kiedy drzwi zamknęły się za Kelsonem i jego towarzyszami. Chwilę potem wybuchły dyskusje i kłótnie. Nie ulegało wątpliwości, że to, co zrobił

Kelson, było jak najbardziej legalne, niemniej nikt nie mógł tego przewidzieć. Dla członków Rady i pozostałych notablów był to wyczyn godny Briona z czasów największej świetności.

Mieli mieszane uczucia, czy to dobrze wróżyło na przyszłość; wielu z nich gorzko płakało pod rządami Briona.

Dla Jehany również wszystko było jasne. To, co miało być pewnym zwycięstwem nad tym porywczym członkiem rodu Deryni, obróciło się wniwecz. Wszystko, o czym marzyła dla Kelsona, poniosło druzgocącą klęskę.

Zaciskając w przerażeniu palce, nie zauważyła, jak jej paznokcie pozostawiają po wewnętrznej stronie dłoni ślady w kształcie półksiężyców.

Morgan był wolny.

A co gorsze, Kelson sprzeciwił się jej w obecności Rady. Nie wysunął wobec niej jakichś śmiesznych zarzutów czy też dziecińczych gróźb, ale postąpił jak dorosły. Na taki rozwój wydarzeń nie była przygotowana, a to gnębiło ją bardziej aniżeli uwolnienie Morgana.

Gdyby tylko Kelson okazał niezdecydowanie, gdyby choć przez chwilę zwątpił w tego dumnego Deryni, którego z takim poświęceniem bronił, istniałaby może jeszcze szansa dotarcia do niego. Ale teraz, gdy Kelson był królem, o czym świadczyło nie tylko jego pochodzenie, ale i czyny - coś, czego nigdy nie brała pod uwagę — czy była jakaś możliwość ochrony go przed zgubnym wpływem Morgana?

Z przeciwległego końca sali Ian z zainteresowaniem przyglądał się powstałemu zamieszaniu. Z chaosu, jaki zapanował po burzliwym wyjściu Kelsona, trudno było wywnioskować o prawdziwych nastrojach, jednakże odniósł wrażenie, że chłopiec podbił serca również tych, którzy wcześniej mu się sprzeciwiali. Nawet w pełnych oburzenia uwagach Rogiera i Brana Corisa słychać było poważanie. A tak być nie może. Chociaż tym razem był zmuszony oddać palmę zwycięstwa Kelsonowi i temu dumnemu mieszkańcowi, w żadnym jednak razie nie zamierzał przegrać całej wojny.

Ian właściwie nie łudził się, że wygra tę rundę. Z chwilą, gdy ujrzał wprowadzanego na salę obrad Morgana, zrodziło się w nim podejrzenie, że ma jakiś plan. Nigdy przecież nie pozwoliłby się aresztować, gdyby nawet przez chwilę wątpił w powodzenie swojej ucieczki.

Nie sądził jednak, że pojedynek rozegrał się dokładnie w sposób, jaki przewidział generał. Był prawie pewny, że mistrzowskie posunięcie Kelsona było zupełnie spontaniczne. Bo przecież nawet ten przedwcześnie dojrzały chłopiec w roli króla nie mógł oczekiwać, że znajdzie tak dobre wyjście

z sytuacji, i że Morgan będzie mógł zupełnie legalnie opuścić tę salę jako człowiek wolny.

Tak, nie było co do tego wątpliwości. Kelson nie działał według z góry ustalonego planu, a mogła to potwierdzić dokładna obserwacja. Nie należało go pod żadnym pozorem lekceważyć. Tymczasem miał mnóstwo rzeczy do zrobienia. Skoro Morgan znów był wolny, nie zaszkodzi nadal go oczernić, było to zresztą zajęcie, któremu z przyjemnością się oddawał.

Trzeba też poinformować Charissę o popołudniowych zajęciach.

Pozostawiając Brana Corisa i Rogiera samym sobie, Ian wymknął się z sali obrad, w której wciąż toczyły się głośne spory oraz dyskusje, i udał się w kierunku koszar położonych na pałacowym dziedzińcu. Miał przed sobą dużo pracy i dalsza zwłoka nie miała sensu.

Morgan klasnął z radością w ręce, gdy on, Kelson i Derry podążali wewnętrznym dziedzińcem w kierunku apartamentów królewskich.

— Kelsonie, byłeś wspaniały! — oświadczył, otaczając chłopca przyjaźnie ramieniem.

— Twoje zachowanie było godne Briona z jego najświetniejszego okresu. Myślę, że udało ci się zaskoczyć nawet *m n i e*.

- Naprawdę? — Kelson zapytał z zachwytem. Uśmiechał się od ucha do ucha, gdy odwracał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi, a potem musiał biec kilka kroków, by nie pozostawać w tyle. Kilku strażników rzeczywiście obserwoowało ich z niejakim zainteresowaniem, ale o ile zdążył się zorientować, nikt za nimi nie szedł.

— Nie wiem jak ty — ciągnął chłopiec — ale ja byłem przerażony. Serce mi niemal stanęło, gdy dzwony wybiły czwartą zamiast trzeciej.

Morgan parsknął śmiechem.

— Ciesz się, że nie było odwrotnie. Pomyśl, jakbyś głupio się czuł, gdyby dzwony wybiły dopiero *d r u g ą*.

Kelson wyrócił oczy.

— Myślałem już o tym.

— I jeszcze jedno — ciągnął Morgan. — Nie chcę umniejszać powołania Derry'ego, ale skoro już oświadczyłeś, że jesteś pełnoletni, nie musiałeś uciekać się do sztuczek z powoływaniem nowego członka Rady i przeliczaniem głosów. Mogłeś po prostu uchylić ich wniosek.

— Wiem — odparł Kelson. — Ale tym sposobem zachowali twarz, nie sądzisz? Przynajmniej nie mogą teraz powiedzieć, że podjąłem arbitralną decyzję. Nie wykroczyliśmy poza zwykłe procedury legislacyjne.

— Roztropne posunięcie — zgodził się generał. — A w sumie rzecz biorąc i tak było dość emocji,

by zaspokoić nawet mój gust. Ryzyko w życiu jest dobrą rzeczą, ale...

— Jeśli o mnie chodzi — wtrącił Derry — to wystarczyłoby mi dużo mniej emocji. Byłbym znacznie szczęśliwszy, gdybym od samego początku wiedział, że wszystko dobrze się skończy.

Kelson roześmiał się, gdy ruszyli schodami w górę do jego apartamentów.

— Obawiam się, że muszę przyznać rację Derry'emu, Wcale nie byłem pewny zwycięstwa — spojrzał z ukosa na Morgana. — A przy okazji, nie sądzisz, że powinniśmy przesłać dobre wieści Ojcu Duncanowi? Obiecałeś, że powiadomisz go o tym, co zaszło.

— Tak, obiecałem — przytaknął Morgan. — Derry, czy mógłbyś pójść do bazyliki św.

Hilarego i przekazać Duncanowi najświeższe wiadomości? Powiedz mu, że wszystko w porządku, ale teraz chcemy się trochę przespać.

— Tak, Panie — odpowiedział Derry. — Czy mam tu potem wrócić?

Morgan skinął głową.

— Ale ty też odpocznij. Chcę, żebyś pilnował strażników pod drzwiami Kelsona przez całą noc. Wiem, że mogę ci zaufać.

— Jestem do usług, Panie — odparł Derry z szerokim uśmiechem. — A ty postaraj się pozostać wśród żywych, zanim nie wrócę, by móc cię strzec.

Morgan uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową, gdy Derry zniknął z pola widzenia.

Ian dotarł już niemal do swego celu w samym sercu pałacu. Przebył kilka kondygnacji schodów, minął podziemną kryptę, w której ćwiczono szermierkę, przeszedł korytarzem obok zbrojowni i podążył w kierunku magazynów. Skradał się niczym kot, płynnie i bezszelestnie.

Jego oczy błyszczały ciemnym i groźnym blaskiem, gdy przez nikogo nie zatrzymywany, mijając kolejne stráže. Był tu wszystkim dobrze znany.

W końcu zatrzymał się w pobliżu miejsca, gdzie korytarz przecinał inny, mniejszy.

Położył dłoń na rękojeści szpady i krok po kroku przesuwał się wzdłuż ściany, by wreszcie zajrzeć za róg.

Świetnie. Tak jak przewidywał, strażnik był na swoim miejscu.

Z ponurym uśmiechem minął róg i podszedł do strażnika. Mężczyzna zauważył go dopiero w chwili, gdy dzieliło ich już tylko pół metra. Przestraszył się.

— Panie! Czy coś się stało?

— Nie, oczywiście, że nie — odparł Ian, unosząc brew w udanym zdziwieniu. — A powinno było?

Strażnik rozluźnił się nieco, wreszcie uśmiechnął.

— Nie, Panie — odpowiedział z zakłopotaniem. — Przestraszyłeś mnie tylko. Nikt zazwyczaj nie pojawia się tutaj, chyba że r z e c z y w i ś c i e dzieje się coś złego.

Ian uśmiechnął się.

— Tak, chyba masz rację — odrzekł. Uniósł palec wskazujący prawej dłoni. — Jak ci na imię?

Oczy mężczyzny bezwiednie spojrzały na palec, strażnik zająknął się.

— Michael DeForest, Panie.

— Michael DeForest — skinął głową Ian i powoli przesunął palec w stronę jego twarzy.

— Czy widzisz mój palec?

— Tttak, panie — wyjąkał Michael. Jego oczy wodziły za palcem, nie mogąc się od niego oderwać.

— Panie, ja... Co ty robisz?

— Patrz tylko na mój palec, Michaelu — powiedział Ian, jego głos był niski i groźny w panującej dokoła głuchoj ciszy. — Zapadasz powoli w sen.

Gdy wymawiał słowo „sen”, jego palec musnął czoło mężczyzny. Powieki zaczęły się przymykać. Wymawiane przyciszonym głosem słowa pogłębiły trans. W końcu sięgnął po włącznik strażnika, wyjął mu ją z rąk i oparł o mur.

Upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie było, przesunął mężczyznę o kilka kroków do tyłu, tak że i on opierał się o ścianę. Położył opuszki palców na skroniach mężczyzny i zamknął mu oczy.

Wkrótce wokół Iana zaczęły pojawiać się jasne błyskawice, które najpierw objęły głowę, po czym stopniowo rozprzestrzeniały się na resztę ciała. Po chwili ogarnęły swym zasię-

giem głowę strażnika. Gdy iskrząca powłoka świetlna dotknęła czoła mężczyzny, targnął nim dreszcz, jakby ostatnim wysiłkiem woli chciał zrzucić z siebie zacieśniające się więzy. Rozprężył się, gdy iskrzenie objęło całą jego postać. Gdy obu mężczyzn pochłaniał blady ogień, Ian przemówił.

— Charissa?

Przez dłuższą chwilę słyhać było jedynie ich oddechy, Ian oddychał równomiernie bez wysiłku, natomiast oddech strażnika był urywany, płytki i ciężki. Potem usta mężczyzny zaczęły drżeć.

— Charisso, słyszysz mnie?

Głos mężczyzny wyszeptał:

— Słyszę.

Ian nieznacznie się uśmiechnął i zaczął mówić tonem człowieka prowadzącego zwyczajną rozmowę, oczy miał ciągle przymknięte.

— Dobrze. Obawiam się, że mam dla ciebie złe wieści, moja droga. Jak można się było spodziewać, spisek, jaki zawiązaliśmy w Radzie, zawiódł. Kelson ogłosił swoją pełnoletność, na miejsce Ralsona powołał nowego członka Rady, po czym na mocy królewskiej prerogatywy rozstrzygnął głosowanie na korzyść Morgana. Nic nie mogłem na to poradzić. Jestem pewny, że wiesz już o porażce ze stenrectem.

— Słyszałam, jak umiera — odparł głos mężczyzny. — Co zrobimy z Morganem?

Ian zacisnął wargi.

— Nie wiem. Na razie udał się z Kelsonem do królewskich apartamentów na noc. Nasz młody książę nie zamierza ryzykować utraty swego mistrza. Na wszelki jednak wypadek, by nie wpadło im nic do głowy, przygotowałem dla nich kilka niespodzianek, które z pewnością zajmą im nieco cennego czasu i energii, zanim nastanie ranek. Zgoda?

— Bardzo dobrze — szepnął głos mężczyzny.

— Nie zapytasz nawet, co mam na myśli? — nalegał Ian.

Po raz pierwszy w głosie mężczyzny zabrzmiała nuta emocji.

— Chciałbyś, żebym to zrobiła, prawda? — odpowiedź Charissy nie była pozbawiona sarkazmu. — Bez wątpienia, byłaby to kolejna okazja do pochwalenia się swoją pomysłowo-

ścią — nastąpiła pauza. — Zresztą, to bez znaczenia. Skoro masz jeszcze coś do zrobienia, lepiej będzie jeśli skończymy tę rozmowę, zanim zmęczysz siebie i wyczerpiesz siły twojego medium do tego stopnia, że nie będzie można już go ocucić. Jak wiesz, on ma tylko ograni-czone możliwości.

Ian ponownie się uśmiechnął.

— Jak sobie życzysz, kochanie — odpowiedział spokojnie. — Chociaż nie sędzę, by twoja troska mogła pomóc naszemu medium. Mam wobec niego inne plany. Życzę ci udanych łowów, Charisso.

— Wzajemnie — odparł głos.

W tym momencie światło otaczające obu mężczyzn wygasło. Ian opuścił ręce, lekko potrząsnął głową i otworzył oczy. Strażnik osunął się nieco, gdy został uwolniony, ale wciąż nie umiał otworzyć oczu. Ian nadal nad nim panował.

Ian rozejrzał się, wziął go pod ramię i zaprowadził na posterunek.

— Panie, ja... — wymamrotał mężczyzna, potrząsając głową i próbując się ocknąć. —

Co się stało? Co ty...?

— Nie przejmuj się, Michael — odrzekł Ian, sięgając do buta, po znajdujący się tam sztylet. — Nic nie poczujesz.

Na widok stali mężczyzna zebrał resztki sił, próbując się wyrwać z uścisku Iana. Na próżno. Nie mógł się sprzeciwić. Stał oniemiały w miejscu, w którym go ustawiono i przyglą-

dał się bezradnie zbliżającemu się sztyletowi.

Ian rozpiął skórzany kaftan mężczyzny i z obojętnością przyłożył ostrze sztyletu do jego piersi. Błyskawicznym ruchem wbił sztylet, zręcznie wsuwając jego ostrze między dwa żebra tak, by przebić serce.

Gdy wyjął sztylet, oczy mężczyzny zasły mgłą. Ze stłumionym jękiem osunął się na posadzkę. Z rany trysnął strumień krwi, tworząc na podłodze wciąż powiększającą się kałużę.

Serce nie przestawało bić, płuca wciąż pompowały powietrze, przedłużając agonię.

Ian zmarszczył brwi. Nie był precyzyjny — błąd, którego Morgan nigdy by nie popełnił. Gorzej, bo będzie musiał teraz go dobić.

Przygryzł wargę w zamyśleniu, przyglądając się ofierze, po czym ponownie wbił sztylet w ranę i wwiercił się głębiej w serce. Tym razem, gdy wyjął ostrze, bicie serca ustało. Płuca przestały oddychać. Mężczyzna nie żył.

Z pomrukiem zadowolenia wytarł narzędzie zbrodni w ubranie strażnika, po czym ostrożnie przewrócił ciało na bok, starannie omijając rosnącą kałużę krwi. Następnie chwycił

rękę mężczyzny, umoczył jego palce we krwi i na posadzce przy głowie zmarłego szybkimi ruchami namalował sylwetkę gryfa.

Wstał, by przyrzeć się swemu dziełu i z aprobatą pokiwał głową. Wsunął sztylet do ukrytej w bucie pochwy i sprawdził, czy na ubraniu nie ma śladów, które by jednoznacznie wskazywały na to, czego właśnie dokonał. Następnie położył włócznię nieżyjącego strażnika obok jego ciała, omiół wzrokiem całość, odwrócił się i oddalił.

Nie wątpił, co pomyślą o tym jacyś wasale Morgana, którzy przypadkowo tej nocy trafią na ciało zabitego. Dokonane z zimną krwią morderstwo powinno, w świetle wszystkich innych oskarżeń skierowanych przeciwko Morganowi, wystarczyć, by sprowokować wywołanie rebelii przeciwko lennemu władcy. A sam już dopilnuje, by odpowiedni ludzie znaleźli ciało.

A jeśli zdarzy się, że i Kelson zginie w starciu, które niewątpliwie nastąpi? Ian wzruszył

z satysfakcją ramionami. Cóż, będzie to tylko bardzo nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Rozdział szósty

A głos przemówi z legendy.

Ustało odległe bicie dzwonów wzywające wiernych na wieczorną modlitwę. Morgan gwałtownie się przebudził, był zupełnie świadomy zarówno miejsca jak i czasu — choć było znacznie później, niż planował — a także panującego w pokoju chłodu. W kominku tliły się tylko resztki nie dopalonego drewna, a rzut oka w lewo potwierdził jego przypuszczenia: drzwi balkonowe były otwarte, a nadciągała burza. Nic dziwnego, że w pokoju było zimno.

Wstał z wymoszczonego poduszkami krzesła, które przez ostatnie trzy godziny służyło mu jako łóżko i pomrukując, powłóczył nogami w kierunku balkonu. Na zewnątrz panowała zupełna cisza, było całkiem ciemno jak na wczesny wieczór. W powietrzu wisiała burza. Z

pewnością jeszcze przed północą spadnie deszcz, a może nawet śnieg. Czego zresztą należało się spodziewać w noc taką jak ta, kiedy miał tyle do zrobienia?

Znużony, zamknął przeszklone drzwi, przez chwilę jego palce zamarły na zasuwie, oparł czoło o drzwi, przymknął powieki.

Był taki zmęczony! Boże, jakież był zmęczony! Parogodzinny sen nie był w stanie usunąć znużenia wywołanego całotygodniową jazdą, ani też zmniejszyć napięcia powstałego pod wpływem wydarzeń tego popołudnia. Wciąż tyle pozostawało do zrobienia, a czasu tak niewiele! Już od dawna powinien być w bibliotece i szukać jakiejś wskazówki, która uczyniłaby stojące przed nimi zadanie znośniejszym.

Tak naprawdę nie spodziewał się, że uda mu się cokolwiek znaleźć. Brion był zbyt ostrożny, by pozostawić coś o istotnym znaczeniu w miejscu, do którego każdy miał dostęp.

Może jednak znajdzie tam jakiś znaczący ślad. Koniecznie powinien to sprawdzić. Zanim wyruszy na poszukiwania, musi zapewnić Kelsonowi bezpieczeństwo w czasie swojej nieobecności.

Prostując się z wysiłkiem, utkwiał przez chwilę wzrok w zamkniętych drzwiach balkonu, jakby próbując zebrać siły. Przetarł lekko lewą dłońią oczy, siłą woli odsuwając od siebie zmęczenie. Zabieg i tym razem zadziałał, Morgan wiedział jednak, że nie może postępować w ten sposób w nieskończoność. Wcześniej czy później będzie musiał trochę się przespać, bo inaczej nie zdziała niczego. Może uda mu się skraść parę godzin snu jeszcze tej nocy, gdy już będzie po wszystkim.

Zaciągnął błękitne kotary z satyny, po czym szybkim krokiem podszedł do kominka i dorzucił kilka polan, by na nowo rozpalić ogień. Po kilku minutach, gdy ogień płonął równym płomieniem, rozejrzał się po słabo oświetlonym pokoju. Po chwili dojrzał to, czego szukał.

Na ścianie obok drzwi wisiały jego skórzane torby, które zawsze miał przytroczone do siodła, a teraz przyniesione po posiedzeniu Rady przez Derry'ego. Przyciągnął torby do kominka i pośpiesznie zaczął rozpinać lżejszą. Pod palcami poczuł gładki dotyk bogato tłoczonej skóry.

Jeśli Derry włożył je po prostu tam, gdzie je znalazł, nie będzie w stanie go przekonać, że sześciany nie były jedynie nieco odmiennymi kośćmi do gry.

— Aha!

Szybkie przetrząśnięcie dna kieszeni upewniło go, że szkatuła z czerwonej skóry wraz ze swoją zawartością wciąż jest na swoim miejscu.

Nie poświęcając jej większej uwagi, Morgan odłożył szkatułę na krzesło, po czym podszedł do szafy Kelsona, by znaleźć coś odpowiedniego dla siebie do ubrania. Wciąż było mu zimno. A skoro miał zamiar spacerować po pałacu w taką pogodę, nie miał ochoty niepotrzebnie marznąć.

W końcu znalazł togę z błękitnej wełny, której szal i mankiety podszyte były futrem.

Narzucił ją na siebie wracając do kominka. Rękawy zakrywały jedynie łokcie, a toga sięgała tylko do kolan, niemniej zdecydował, że to mu w zupełności wystarczy.

Z półki nad kominkiem wziął lichtarz z grubą żółtą świecą, zapalił ją ogniem z kominka, wreszcie sięgnął po skórzaną szkatułę i podszedł do łóżka Kelsona.

Chłopiec był pogrążony w głębokim śnie. Leżał na brzuchu rozłożony po przekątnej szerokiego łóża, jego twarz była ukryta w zgięciu lewego ramienia. W nogach łóżka leżały dodatkowe koce. Morgan delikatnie wysunął jeden spod nóg chłopca. Lichtarz i szkatułę postawił na podłodze przy łóżku, rozwinął koc i przykrył nim chłopca. Następnie przykląkł, otworzył szkatułę i wysypał jej zawartość na posłanie.

W sumie było osiem sześcianów, albo „wartowni”, jak je określano w terminologii magii: cztery białe i cztery czarne. Każdy nie większy niż koniuszek jego małego palca.

Zręcznie ułożył je we właściwy wzór: cztery białe tworzyły kwadrat, a na każdym z czterech rogów ustawił jeden czarny, krawędzie sześcianów nie stykały się ze sobą. Następnie, poczynając od białego sześcianu w górnym lewym rogu, zaczął kolejno dotykać każdego, wyznaczając mu jednocześnie funkcję obronną, jaką będzie pełnić w wartowni, którą budował.

Prime — pierwszy biały sześcian zaczął się żarzyć bladym światłem.

Seconde — dotknął sześcianu w górnym prawym rogu i on również zajaśniał mleczno-białą poświatą.

Tierce. Quarte — blade światło rozświetliło pozostałe białe sześciany, tworząc biały kwadrat, który żarzył się upiornym bladym światłem.

Następnie czarne:

Quinte. Sixte. Septime. Octave — w głębi czarnych sześcianów zapłonął zielono-czarny ogień.

Prawdziwy problem stanowiło jednak połączenie białych i czarnych sześcianów tak, by utworzyły Wielką Wartownię; wartownię, która raz wprawiona w ruch dokoła śpiącego Kelsona chroniłaby chłopca przed każdym grożącym mu niebezpieczeństwem.

Morgan potarł dłońmi koc z każdej strony stworzonego przez siebie wzoru, po czym podniósł sześcian, który nazwał Prime. Ostrożnie dotknął nim Quinte, który był jego czarnym odpowiednikiem.

— *Primus!*

Nastąpił stłumiony trzask i oba sześciany połączyły się, tworząc podłużny element, który przy blasku świecy płonął srebrzystoszarym światłem.

Morgan nerwowo zwilżył językiem wargi, podniósł Seconde i złączył go z Sixte.

— *Secundus!*

Ponowny trzask i srebrzysta poświata.

Wykonał powolny wdech i wydech, zbierając siły, by móc przystąpić do kolejnej sekwencji. Czynności te wyczerpywały jego już i tak nadszarpnięte rezerwy energii. Nie miał

jednak wyboru, skoro chciał przeszukać bibliotekę. Nie mógł przecież pozostawić Kelsona bez ochrony. Podniósł Tierce i dotknął nim Septime.

— *Tertius!*

Gdy powstała całość zaczęła płonąć nowym blaskiem, Kelson nagle poruszył się i z przerażeniem otworzył oczy.

— Co ty, Morgan, co ty robisz? — uniósł się na łokciach i popatrzył na niego.

Morgan uniósł ze zdziwieniem brew, po czym z rezygnacją oparł podbródek na dłoni.

— Myślałem, że śpisz — w jego głosie brzmiała nuta oskarżenia.

Kelson zamrugał powiekami, nie całkiem jeszcze rozbudzony. Z wahaniem sięgnął lewą ręką do pozostałych dwóch sześcianów.

— Nie dotykaj! — zakazał Morgan, zagradzając mu drogę wyciągniętą ręką. — Przyglądaj się tylko.

Biorąc głęboki oddech, połączył ostatnie dwa sześciany.

— *Quartus!*

Następnie umieścił nowy element obok trzech wcześniejszych i westchnął.

— A teraz mi powiedz — popatrzył na chłopca — dlaczego nie śpisz?

Kelson usiadł.

— Słyszałem, jak mamrocześ po łacinie prosto w moje ucho. O co tu właściwie chodzi?

— spojrział z podejrzliwością na żarzące się prostokąty.

— To są elementy Wielkiej Wartowni — wyjaśnił wstając. — Muszę na chwilę wyjść i nie chciałem cię zostawić bez ochrony. Gdy całość zostanie wprawiona w ruch, tylko ja będę mógł złamać ich moc. Będziesz zupełnie bezpieczny.

Pochylił się i wziął wszystkie elementy, by następnie rozmieścić je w każdym z rogów posłania.

— Zaczekaj chwilę — Kelson zaczął przesuwać się w kierunku krawędzi łóżka. —

Gdzie idziesz? Pójdę z tobą.

— W żadnym wypadku — Morgan pchnął chłopca z powrotem na poduszkę. — Ty tu zostaniesz, a ja pójdę do biblioteki twojego ojca, by poszukać jakichś wskazówek. Wierz mi, gdyby istniało inne wyjście, też bym jeszcze spał. Ty natomiast musisz wypocząć przed zbli-

żającą się nocą.

— Ale może mógłbym ci pomóc — próbował jeszcze protestować, jakby zdziwiony, że znów się położył. — Poza tym, nie będę mógł już teraz zasnąć.

— Och, to akurat nie stanowi większego problemu — uśmiechnął się Morgan, kładąc lekko dłoń na czole chłopca. — Odpręż się, Kelsonie. Odpręż i śpij. Zapomnij o niebezpieczeństwach. Zapomnij o obawach. Odpręż się. Zaśnij. Śnij o lepszych czasach. Śpij mocno, mój książę.

Gdy wymawiał te słowa, powieki Kelsona zamrugały, a potem zamknęły się. Chłopiec zaczął oddychać wolno i równo jak człowiek pogrążony w głębokim śnie. Morgan uśmiechnął

się i pogładził jego zmierzwione czarne włosy, potem wyprostował się i po kolei wywoływał wartownie.

— *Primus, secundus, tertius, et quartus, fiat lux!*

Wartownie natychmiast ożyły, po czym utworzyły wokół śpiącego Kelsona płomienny kokon mglistej luminescencji. Morgan pokiwał z zadowoleniem głową i ruszył do drzwi. A teraz trzeba zdobyć parę pożytecznych informacji...

Pół godziny później Morgan wciąż bez powodzenia myszkował po bibliotece. Przewertował każdą książkę z prywatnej kolekcji Briona, a także większość pozycji ogólnych ze zbiorów udostępnianych szerszej publiczności. Poszukiwania okazały się bezowocne.

Gdyby tylko znalazł jakąś wskazówkę: wyraźnie zaznaczony ustęp, jakieś notatki, które

naprowadziłyby go na ślad skąd Brion zaczerpnął słowa rytuału, jakaś drobna aluzja, jak należy podejść do tego zagadnienia. Niewykluczone, oczywiście, że uda im się rozwiązać zagadkę bez jakiegokolwiek pomocy. W sprawach tak ważnych jak ta należało jednak mieć stuprocentową pewność.

Nie mogą zaprzepaścić szansy, jaką im dawał rytuał. W przeciwnym bowiem razie, Kelson będzie zgubiony, a Morgan i Duncan wraz z nim. Kelson musiał stoczyć samotną walkę. Nie mogli zrobić tego za niego. Zabraniała tego praktyka okultystyczna.

Gdyby tylko mógł sobie coś więcej przypomnieć na temat książek, które czytał Brion, to na pewno by mu w jakiś sposób pomogło. Wiedział, że jakaś wskazówka z pewnością istnieje. Brion musiał zostawić coś, jakiś ślad dla przyjaciela, o którym przecież wiedział, że przyjdzie tu, by właśnie czegoś takiego szukać, coś, co stanowiłoby chociażby tylko potwierdzenie jego przypuszczeń. A może wskazówka istnieje w samych słowach rytuału?

Zmęczony, usiadł za stolikiem, który służył Brionowi do czytania i wsparł się na łokciach. Gdzieś na pewno znajdzie jakiś znak. Wiedział, że on istnieje.

Gdy rozglądał się po pokoju, uwagę jego przyciągnął wizerunek gryfa znajdujący się na sygnecie nałożonym na palec wskazujący lewej ręki. Czytał kiedyś o pewnym Deryni, które-mu podobny pierścień posłużył jako punkt głębokiej koncentracji — była to tak zwana technika Thuryna, nazwana tak na cześć Rhysa Thuryna, który jako pierwszy włączył ją do arsenału Deryni. Morgan już kilka razy wykorzystał tę technikę, chociaż nigdy w podobnym celu. Jak dotąd nigdy się na niej nie zawiódł.

Skupiając całą uwagę na pierścieniu, zaczął się koncentrować, oczyszczając umysł z wszelkich niepokojów i odprężając się, nie dopuszczając do siebie żadnych przygodnych dźwięków, obrazów, wrażeń. Gdy opadły mu powieki, oddech stał się wolniejszy, płytszy.

Napreżone palce rozluźniły się.

Koncentrując się, pozwolił, by w jego myślach powstał obraz twarzy Briona, próbował samemu weń wniknąć, przejrzeć jego myśli i znaleźć to, czego sam teraz poszukiwał.

Nagle, obraz Briona zniknął, a jego miejsce zajęła zawrotnie wirująca ciemność. Zobaczył przez ułamek sekundy twarz mężczyzny otoczoną czarnym kapturem, obcą, a jednocze-

śnie dziwnie znajomą, o spojrzeniu natarczywym, a zarazem wzbudzającym zaufanie — po chwili obraz zniknął. Pozostał jedynie oszołomiony, młody mężczyzna, który wyglądał trochę głupio, gdy tak siedział z przymkniętymi powiekami za stolikiem w bibliotece.

Morgan otworzył momentalnie oczy i rozejrzał się. W pokoju nikogo nie było.

Khadasa! obraz był prawdziwy, póki trwał. Nigdy dotąd nie udało mu się osiągnąć niczego podobnego, posługując metodą Thuryna. W żaden sposób nie umiał sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przedtem widział tę dziwną twarz. Dostyc miał już techniki Thuryna jak na jeden

wieczór.

Roztargniony, podszedł do półki, na której Brion przechowywał zbiór swoich ulubionych książek i wyciągnął pierwszą z brzegu.

Talbot, *Żywoty Świętych* — odczytał półgłosem.

Przekartkował zniszczone strony, aż natknął się na miejsce zaznaczone pergaminem.

Pergamin był zapisany ręką Briona, fakt ten nie miał jednak znaczenia w porównaniu z tym, co zobaczył. Na lewej stronie widniał portret mężczyzny, którego Morgan przed chwilą zobaczył w swoich myślach.

Pełen obaw pochylił się nad książką, by móc odczytać tego imię. Zmrużył oczy i przesunął ją bliżej płomienia. Przeczytał:

Święty Camber z Culdi, Patron Sztuki Magicznej Deryni.

Morgan obejrzał się za siebie nerwowo i odłożył książkę, to było niemożliwe, a jednak nie ulegało wątpliwości, że była to ta sama twarz, którą zobaczył w transie.

Śmieszne. Nie wierzył w świętych albo przynajmniej nie sądził, że wierzy. W końcu Camber nie żył już od prawie dwustu lat, a co więcej, jego beatyfikacja została unieważniona.

Ale co sprawiło, że pomyślał o Camberze akurat teraz? Czyżby Brion wspomniiał o nim kiedyś, a jego słowa utkwiły w pamięci Morgana aż do teraz i zostały przywołano pod wpływem takiego a nie innego splotu wydarzeń? Pytanie: Co naprawdę wie o świętym Camberze z Culdi? Odpowiedź: Niezbyt wiele. Do tej pory podobna wiedza nie była mu potrzebna.

Poirytowany, bo uświadomił sobie, że powinien wiedzieć więcej, sięgnął ponownie po tom i zbliżył się do świecy, w roztargnieniu chowając do kieszeni znaleziony strzęp pergaminu.

Zaczął czytać:

Święty Camber z Culdi 846-905(?). Legendarny hrabia Culdi, pełnej krwi Deryni, żyją - cy w latach Interregnum. Pod koniec tego okresu odkrył, że w ścisłych określonych warunkach wybrane istoty ludzkie mogą osiąść pełną moc Deryni. On też pomógł potomkom dawnych władców nabyć tę moc, a w końcu stanął na czele rewolty, która ostatecznie zakończyła okres Interregnum Deryni.

Morgan niecierpliwie przewrócił stronę. Wszystko to już wiedział. Fakty te były znane każdemu z historii powszechnej. Teraz potrzebne mu były fakty dotyczące życia duchowego Cambera, albo coś, co mogłoby rzucić światło na wydarzenia sprzed paru minut. Czytał dalej: *W tych czasach sztuka magii spotykała się z większą tolerancją niż ma to miejsce dzisiaj. W uznaniu jego zasług dla ludzkości Synod Biskupów ogłosił go świętym. Ten stan rzeczy jednak nie przetrwał. Mniej więcej piętnaście lat później nastąpiły krwawe prześladowania Deryni. Wkrótce potem imię*

Cambera z Culdi zostało wykreślone z rejestru świętych. Synod w Ramos obalił niektóre z dekretów wcześniejszych Synodów. Jednym z nich było postanowienie o beatyfikacji Cambera z Culdi.

Camber był czczony jako patron sztuk tajemnych i obrońca ludzkości. Z chwilą jednak, gdy Synod w Ramos wyrzekł się Cambera, obrzucono też klątwą wszelkie sztuki okultystyczne.

Imię Cambera stało się symbolem zła. Wszelkie okrucieństwa popełnione przez Władców Interregnum zostały przypisane błędnie temu, a ludzie wymawiali jego imię tylko po to, by go przekląć.

Z biegiem lat spory dotyczące jego osoby umilkły. Trudno przez dwieście lat podtrzymywać kłamliwe teorie. Jednakże istnieją pogłoski, które nadal wzbudzają niepokój. Utrzymuje się, że śmierć w 905 roku nigdy nie nastąpiła, że Camber jedynie się ukrył, by kiedyś powrócić

i dalej uprawiać sztuki magiczne. Nie wiemy, czy domniemania te są prawdą i nie są dziwne, by najbliższa przyszłość odpowiedziała nam na to pytanie. Wiadomo, że pozostało jeszcze przy życiu paru lordów Deryni, jak również, że wbrew obowiązu cemu prawu praktykują oni nadal magię. Jest jednak mało prawdopodobne, by Camber z nimi nadal przebywał. Nawet Deryni nie może pozostać przy życiu przez ponad dwieście lat. Pogłoski jednak nie ustają.

A ci nieliczni, którzy mogą znać prawdę, wstrzymują się od udzielenia odpowiedzi.

Skończywszy czytać ten fragment, Morgan przewrócił z powrotem stronę, by jeszcze raz przyjrzeć się portretowi. Cambera z Culdi. Niewiarygodne. Był pewny, że nigdy nie widział tego portretu. Ani też nie czytał tej notki o jego życiu. Był przekonany, że z pewnością by to zapamiętał, ponieważ nic, co dotychczas czytał na ten temat, nie było tak szczegółowe.

Ale czego właściwie dowiedział się z tego ustępu? I jak mogłoby się to przyczynić do rozwiązania jego problemu? I dlaczego ta twarz wydała mu się tak dziwnie znajoma, chociaż był pewien, że nigdy przedtem jej nie widział?

Gdy zamykał księgę, usłyszał, że ktoś delikatnie otwiera drzwi biblioteki. Obrócił się ostrożnie i dostrzegł tam postać zakradającą się do pokoju z zewnętrznego korytarza.

Była to kobieta. A gdy odwróciła się do drzwi, by je za sobą bezszelestnie zamknąć, rozpoznał Charissę!

Zadowolony z siebie uśmiechnął się i rozparł na krześle, by zobaczyć, kiedy wreszcie zauważy jego obecność. Patrzył, jak rozgląda się po pokoju i w końcu widzi blady płomień jego świecy.

— Dobry wieczór, Charisso — powiedział cicho, nie ruszając się z miejsca. — Szukasz kogoś lub czegoś?

Charissa wzdrygnęła się, próbując ukryć zdziwienie, minęła ostrożnie róg i podeszła do stolika, za którym siedział Morgan. Gdy znalazła się w kręgu światła, skinął jej na powitanie głową. Charissa nie była jednak zachwycona jego obecnością.

— Co ty tu robisz? — zapytała. W panującej dokoła ciszy jej głos był niski i spięty.

Wstał niedbale, przeciągnął się i ziewnął.

— Szukałem właśnie czegoś do czytania, skoro już musisz wiedzieć. Chociaż powinienem chyba być zmęczony zdarzeniami paru ostatnich tygodni, które zresztą nie obyły się bez twego udziału, to jednak okazuje się, że i tak nie mogę zasnąć. Dziwne, prawda?

— Tak, z całą pewnością — odpowiedziała, ostrożnie ważąc słowa. Chwila niepewności minęła. — Ale dlaczego sądzisz, że mam coś wspólnego z twoją bezsennością?

Morgan zaprotestował, unosząc dłoń.

— Och, nie z bezsennością, moja droga. Raczej z moim zmęczeniem. Dostyc dobrze orientuję się w twoich ostatnich poczynaniach: szerzyłaś o mnie ohydne plotki, nastawiłaś przeciwko mnie członków Rady, urządziłaś zasadzkę na moją eskortę. Podejrzewam, że przyczyniłaś się także do śmierci Briona. Nie mogę oczywiście na razie niczego udowodnić —

machnął z dezaprobatą ręką.

Charissa zmrużyła oczy, próbując ocenić, ile z tego jest zwykłą błagą i przechwałką.

— Sądzę, że stoi przed tobą trudne zadanie udowodnienia tych zarzutów, drogi Morganie. I myślę, że jeśli spróbujesz kogokolwiek zapytać, dowiesz się, że wszystko, o co mnie oskarżasz, zostało już przypisane tobie.

Morgan wzruszył wymijająco ramionami.

— A jeśli podejrzewasz, że miałam coś wspólnego ze śmiercią Briona — ciągnęła — to jest to absurd. Wszyscy doskonale wiedzą, że Brion zmarł na atak serca.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł zwięźle. — Ja nic takiego nie wiem. Wiem natomiast, że tego dnia rano ktoś z jego ludzi otrzymał butelkę wina. Dziwne, ale osoba, która ją podarowała, została opisana jako piękna dama o jasnych włosach. Z butelki tej pił tylko Brion i Colin.

— A więc? — odparowała. — Oskarżasz mnie o otrucie Briona? Przestań. Stać cię na więcej.

— Z pewnością — odrzekł. — Tak się składa, że wiem również, iż parę lat temu wynalazłaś *merashę*, truciznę, która odurza umysł, a działa tylko na tych, w żyłach których płynie krew Deryni, bądź, tak jak Brion, posiadają moc Deryni.

— Zmyślasz, drogi Morganie.

— Czyżby? Wiedziałaś, że Brion nie był na nią odporny i że jako śmiertelnik nie będzie mógł jej wykryć w swoim organizmie aż do chwili, gdy będzie już za późno — stał wyprostowany, w słabym świetle świecy zdawał się niezwykle groźny i wysoki. — Dlaczego nie wyzwalaś go na honorowy pojedynek? Mogłaś nawet wygrać. Był przecież tylko śmiertelnikiem.

— I zaryzykować moją reputację, moją moc w walce ze zwykłym śmiertelnikiem?

— Ale przecież zamierzasz jutro walczyć ze „zwykłym śmiertelnikiem”, czyż nie?

Uśmiechnęła się powoli i leniwie.

— Tak, ale to co innego. Nie przegram z Kelsonem. To tylko chłopiec, a do tego nie jest biegły w rzemiośle swego ojca. A ty nie będziesz mógł mu pomóc, jak pomogłeś piętna-

ście lat temu jemu ojcu.

— Nie bądź taka pewna — odparł. — Jest w nim wiele z ojca. Sytuacja poza tym jest inna. Jestem tu i nie pozwolę ci użyć żadnego podstępu.

— Co ty opowiadasz? Naprawdę sądzisz, że będę sobie tym zawracać głowę? Oczywiście,

zajrzałam już do twojego małego księcia...

Morgan zamienił się w słuch.

— Tym razem jest bezpieczny. Dziś wieczór żadna moc na świecie mu nie zagraża.

— Najprawdopodobniej masz rację — zgodziła się. — Bardzo skutecznie ułożyłeś wartownie. Nawet ja jestem pod wrażeniem twoich zdolności. Sądziłam, że tylko pełnej krwi Deryni posiadają tak wielkie możliwości.

Morgan z trudem zapanował nad wzbierającym w nim gniewem.

— Jeśli ma się cel, wszystko jest łatwiejsze. Postanowiłem, że z t y m Haldańczykiem nie wygrasz.

— Cóż to? Brzmi to jak wyzwanie, mój drogi — wyniosłym tonem oznajmiła Charissa.

— Niemniej dodaje mi to odwagi — spojrzała na swoje paznokcie. — No cóż, możesz być pewny, że jutrzejsza walka będzie zacięta. Kto wie, może nawet nastąpi to jeszcze tej nocy.

Ostrzegam cię: nie będzie żadnych ustępstw, żadnej litości — zmrużyła oczy. — Zapłacisz mi za to, co zrobiłeś mojemu ojcu. A dokonam tego, niszcząc wszystkich, których kochasz, po kolei, bez pośpiechu. A ty, drogi Morganie, nie będziesz mógł w żaden sposób temu zapobiec, w żaden sposób.

Milczał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w tę nieprawdopodobnie piękną i złą kobietę w szarej sukni.

— Zobaczymy — szepnął. — Zobaczymy.

Gdy kierował się do drzwi, obserwując każde drgnienie jej powiek, każdy szelest sukni, uśmiechnęła się do niego ospale.

— Zapamiętaj moje słowa, Morganie. Żadnych ustępstw. A skoro tak, radzę ci pilnować swojego księcia. Wkrótce może cię potrzebować.

Powoli otworzył drzwi i wyszedł, ani na chwilę nie spuszczać z oczu tej przerażającej kobiety w szarej sukni. Gdy wreszcie drzwi się za nim zamknęły, Charissa powoli podeszła do miejsca, gdzie przed chwilą siedział i podniosła książkę, którą czytał.

Niedbale przerzuciła kartki.

Żywoty Ś wię tych.

Co mogło zainteresować go w podobnej książce?

Nic nie przychodziło jej do głowy, zmarszczyła więc brwi. Nie bez powodu przeglądał

ten tom. Tego była pewna. Ale dlaczego?

Książka nie pasowała do całości. Charissa nie przewidziała, że tej nocy jej przeciwnik znajdzie czas na lekturę. I to ją niepokoiło.

Nie lubiła, gdy coś było nie po jej myśli.

Rozdział siódmy

„*Orę downik Nieskoń czonoś ci musi prowadzić ...*” Gdy był już blisko sypialni Kelsona, poczuł lęk. A jeśli Charissa tylko udawała, a w rzeczywistości znalazł» sposób, by pokonać jego zabezpieczenie? A jeśli go zabiła?

Derry dowodził strażą tego wieczoru. Gdy Morgan dotarł do drzwi Kelsona, adiutant znalazł się u jego boku.

— Czy coś się stało, Panie?

— Nie wiem jeszcze — odparł niskim głosem, dając jednocześnie znak dwóm strażnikom, by pozostali na swoich miejscach. — Czy pojawił się tu ktoś pod moją nieobecność?

— Nie, Panie. Zablokowałem całe skrzydło — patrzył, jak Morgan kładzie dłoń na zasuwie. — Czy chcesz, żebym wszedł z tobą, Panie?

Morgan potrząsnął przecząco głową.

— To nie będzie konieczne.

Bardzo ostrożnie otworzył drzwi na tyle, by się wśliznąć do środka, po czym delikatnie zamknął je za sobą. Zaryglował je, a potem, stanął plecami do nich, usiłując jednocześnie dojrzeć w ciemnościach, czy Kelson był bezpieczny.

Niepotrzebnie się martwił. Tego wieczoru, zgodnie z jego przypuszczeniami, Warto-wnia była nie do pokonania. Zbliżając się do królewskiego łóża, dostrzegł bladą lunę, która wciąż chroniła młodego władcę. Gdyby tylko się skoncentrował, jego świadomość mogłaby odebrać niczym niezakłócone obrazy snu Kelsona.

Nie zrobił tego jednak. Wystarczyło mu, że chłopcu nic się nie stało. Zmęczony, opadł

na krzesło koło kominka. Bogato zdobionym pogrzebaczem przesunął trzeszczące polana.

Gdy ogień znów zapłonął równym płomieniem, wstał bezszelestnie i przeciągnął się.

Dzwony wkrótce oznajmią kompletę, a przed nim i Kelsonem była jeszcze krótka przechadzka. Nie chciał się śpieszyć. Pośpiech jest złym doradcą, a na to dzisiejszej nocy nie mogli sobie pozwolić.

Zrzucił z siebie wełniane odzienie i przewiesił je przez krzesło. Potem nałożył na ramiona swój ciężki płaszcz. Zatrzask zamknął się z głośnym brzękiem metalu. Podeszedł do łóżka Kelsona i przyklęknął. Gruba żółta świeca, którą zostawił na podłodze, nadal oświetlała swym bladym blaskiem śpiącą postać.

Morgan z satysfakcją spojrział na swoją Wielką Wartownię. Nie będzie mógł z niej sko-rzystać przez jakieś parę następnych tygodni, jako że sześciany muszą się ponownie naładować, ale to akurat nie miało znaczenia. Posłużył się nią w celach ochronnych w momencie, gdy było to niezbędne, a nie

zamierzał pozostawić Kelsona samego nawet przez minutę aż do chwili, gdy nastąpi koronacja.

Wstał i rozpostarł nad śpiącym ręce dłońmi w górę. Zaczął wypowiadać słowa, które miały odczynić zaklęcie. Jednocześnie powoli odwracał dłonie. W miarę jak wymawiał

formułkę, blask wartowni wygaszał, aż wreszcie sześciany utraciły swą moc. Pozostało jedynie osiem małych sześciaków, cztery białe i cztery czarne, które, niczym w jakiejś dziwnej grze w kości, zostały parami rzucone w cztery rogi łoża.

W chwili, gdy pochylał się, by je pozbierać, Kelson otworzył oczy i rozejrzał się.

— Chyba zasnąłem — powiedział, podnosząc się na łokciu. — Czy już czas?

Morgan uśmiechnął się i włożył kostki do szkatuły z czerwonej skóry.

— Prawie — odrzekł, podnosząc lichtarz i wracając do swojego miejsca przy kominku.

— Spałeś dobrze?

Kelson usiadł, przetarł oczy, po czym wstał i również podszedł do kominka.

— Myślę, że tak. Ale bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak to zrobiłeś.

— Jak co zrobiłem, mój książę? — zapytał z roztargnieniem Morgan, siadając na swoim zydlu przy kominku.

— Jak to zrobiłeś, że zasnąłem? — odpowiedział chłopiec. Usiadł ciężko na skórze roz-

łożonej przy kominku i zaczął wkładać buty. — Ja naprawdę chciałem z tobą pójść. Ale kiedy dotknąłeś ręką mojego czoła, oczy same mi się zamknęły.

Morgan uśmiechnął się i zmierzwił jego lśniące włosy.

— Byłeś bardzo zmęczony, mój książę — odpowiedział zagadkowo.

Kelson włożył buty, wstał i zaczął przetrząsać szafę w poszukiwaniu cieplejszego płaszcza. Znacznie się ochłodziło i Morgan wyraźnie słyszał hulający za oknem lodowaty wiatr.

Kelson znalazł podszyty futrem purpurowy płaszcz z kapturem i włożył go. Następnie wziął miecz, który podał mu generał i zawiesił go u pasa. Morgan podniósł się i wsunął do pochwy własny miecz.

— Jesteś gotowy, książę?

Kelson przytaknął i skierował się do drzwi.

— Nie tędy — powstrzymał go Morgan i ruchem ręki wskazał, by podszedł z powrotem do kominka.

Kelson był zaskoczony, jednak wrócił, gdzie mu wskazano i zaczął przyglądać się Morganowi, który

odmierzył dokładną odległość od ściany na lewo do kominka, a następnie palcem wskazującym nakreślił w powietrzu zawity rysunek. Fragment ściany cofnął się, odsłaniając ciemną spiralę schodów zawieszonych w zimnym nocnym powietrzu. Chłopiec patrzył z niedowierzaniem.

— Jak one się tu znalazły?

— Wyobrażam sobie, że ktoś je zbudował, mój książę — odparł Morgan, zdejmując z półki nad kominkiem świecę i dając Kelsonowi znak, by wszedł do środka. — Naprawdę nie wiedziałeś o ich istnieniu?

Chłopiec potrząsnął przecząco głową. Morgan wyciągnął przed siebie rękę ze świecą i podążył za nim ciemnym przejściem. Drzwi za nimi zamknęły się cicho, a stłumiony dźwięk ich kroków odbijał się głuchym echem na wilgotnych, kamiennych schodach.

Gdy schodzili, Kelson trzymał się blisko Morgana, usiłując przeniknąć wzrokiem panujące dokoła ciemności. Niewielki krąg światła rzucony przez świecę był słabą pociechą w panującym wszędzie chłodziu i wilgoci. Nie odważył się odezwać aż do momentu, gdy dotarli na półpiętro, a nawet wtedy jego głos był przytłumiony.

— Dużo jest tu takich tajemnych przejść? — zapytał w chwili, gdy minęli róg i dotarli do końca ślepego korytarza. Zatrzymali się i Morgan podał mu świecę.

— Wystarczająco dużo, by pozostając niezauważonym, dotrzeć do każdego miejsca w pałacu, jeśli oczywiście wiesz, dokąd idziesz. Przygotuj się, by zgasić świecę. Dotarliśmy do końca. Tędy przedostaniemy się na zewnątrz i znajdziemy się na placu po drugiej stronie bazyliki.

Morgan nacisnął ukrytą we wgłębieniu ściany kławkę. Na wysokości oczu, w ścianie ukazał się niewielki kwadratowy otwór. Morgan przyłożył do niego na chwilę oko, w końcu ponownie nacisnął kławkę.

— W porządku. Zgasz świecę i postaw ją na podłodze po prawej stronie.

Kelson posłuchał i w pomieszczeniu zapanowała zupełna ciemność. Dało się słyszeć jakby ciche westchnienie, a po chwili chłopiec poczuł na twarzy zimny i wilgotny podmuch powietrza. Potem ujrzał przed sobą jaśniejszy nieco prostokąt. Morgan ujął go za ramię i wyprowadził na zewnątrz, ściana za nimi zasunęła się bezszelestnie. W powietrzu unosiła się delikatna i lodowata mgiełka, jej chłód w mgnieniu oka przenikał nawet najgrubsze odzienie.

Gdy czekali w ukryciu, Kelson nałożył na głowę kaptur i skulił się jeszcze bardziej w ciemności.

Dziedziniec był prawie pusty. Masywne kształty bazyliki majaczyły ponuro na tle ciemnego nieba. W oddali dzwony katedralne oznajmiły kompletę, ostatnią z godzin kanonicznych. Ostatni maruderzy wynurzali się z jaśniejszego prostokąta drzwi bazyliki. Tu i tam żołnierze parami bądź trójkami przemierzali dziedziniec; niektórzy nieśli trzeszczące w mżawce pochodnie, większość jednak śpieszyła się, chcąc jak najszybciej znaleźć się w przytulnym miejscu, pozostawiając ziab i deszcz

na zewnątrz.

Czekali niemal pięć minut, dopóki dziedziniec całkowicie nie opustoszał. Wreszcie Morgan ujął ramię Kelsona i poprowadził go wokół dziedzińca aż do portyku bazyliki. Tam się zatrzymali. Kelsonowi wydawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim zdecydowali się bocznym wejściem wśliznąć do kruchty.

Pogrążony w ciszy kościół był teraz pusty. Ciemności rozświetlały jedynie na wpół

wypalone świece wotywnie z jasnego wosku, które rzucały rubinowe i szafirowe blaski na posadzkę i ciemne witraże.

Na honorowym miejscu w sanktuarium płonęła wieczna lampka, oświetlając swym czerwonym płomieniem niemal całe prezbiterium. Gdy skradali się nawą boczną, samotna, czarno odziana postać wyłoniła się z półmroku, pochyliła przed ołtarzem głównym i pośpieszyła w ich kierunku.

— Czy coś się stało? — szepnął Duncan. Zaprowadził ich do swojego pokoju i zamknął za nimi drzwi.

— Nic, o czym warto by wspominać — odparł Morgan. Podszedł do zasłoniętego okna, przez chwilę bacznie obserwował dziedziniec, po czym wrócił i usiadł za stołem. Kelson zrobił to samo i z niepokojem zaczął się im przyglądać. Duncan nie usiadł, tylko zdjął z krzesła przy biurku grubą wełnianą płaszcz i zarzucił go sobie na ramiona.

— Rozgoście się na parę chwil. Aby przedostać się stąd do katedry, wykorzystamy dawny Portal Transferowy Deryni, który pochodzi jeszcze z czasów, gdy zajmowanie się sprawami Deryni było ogólnie szanowanym zajęciem — przez chwilę mocował się z zatraskiem u płaszcza, aż wreszcie go zapiął. — Zanim wyruszymy, chcę sprawdzić, czy wszystko w po-rządku. Z naszym niezwykłym szczęściem na pewno na kogoś natrafimy w zakrystii. A wówczas nie wyobrażam sobie, jak ta historia może się zakończyć.

Podszedł do stojącego w rogu klęcznika i dotknął szeregu ukrytych przycisków. Część ściany rozsunała się na szerokość stu dwudziestu centymetrów i głębokość sześćdziesięciu.

tak że bez trudu mieścił się w środku wysoki mężczyzna.

Pomachawszy im ręką, Duncan wszedł do środka i zniknął.

Kelson nie wierzył własnym oczom.

— Jak on to zrobił? Przysięgam, że nie spuszczałem z niego oczu. A co to takiego ten Portal Transferowy?

Morgan uśmiechnął się i rozparł na krześle.

Właśnie miałeś okazję zobaczyć w praktyce już niemal zapomnianą sztukę transferu —

a mianowicie przenoszenia się z miejsca na miejsce. Gdy poznasz naszego Duncana bliżej, przekonasz się, że jest osobą niezmiernie utalentowaną. Zdołał przełamać w sobie sprzecznność, o której mówiliśmy wcześniej. Swoją moc traktuje jako dar boży, z którego należy korzystać dla dobra ludzkości.

— I to dlatego został księdzem?

Morgan wzruszył ramionami.

— Na swój sposób Duncan jest osobą bardzo religijną. Znasz teraz jakieś lepsze miejsce dla kogoś, kto wywodzi się częściowo z krwi Deryni?

Gdy Duncan znalazł się w zakrystii katedry świętego Jerzego, dokładnie rozejrzał się dokoła. Oprócz nikłego światła świecy, która paliła się w odległym kącie, w pomieszczeniu panowała ciemność. A jak zdążył się już zorientować, świątynia była pusta.

Właśnie chciał odetchnąć z ulgą, po czym sprowadzić tu Morgana i Kelsona, gdy spod ukrytych w cieniu drzwi dobiegł go jakiś hałas. Ktoś zapytał:

— Kto tam?

Duncan powoli odwrócił się w stronę, skąd pochodził głos, niepewny, co go teraz czeka. Gdy jego oczy przywykły do przyćmionego światła, udało mu się dostrzec pochyloną postać mężczyzny w ciemnym ubraniu.

— Myślałem, że wszyscy już wyszli — ciągnął dalej głos. Obcy zapalił wąską, białą świecę i podniósł ją wysoko.

— Ach, to Monsignor McLain. Ja jestem brat Jerome, zakrystian. Pamiętasz mnie?

Duncan odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu, to rzeczywiście był brat Jerome! Wiekowy mnich był już prawie niewidomy i nieco zgrzybiały. Jeśli nawet coś zauważył w tym nikłym świetle, to i tak nikt mu nie uwierzy. Duncan podszedł do niego ze szczerym uśmiechem na twarzy.

— Brat Jerome mnie przestraszył — strofował go łagodnie. — Na kogo się tu brat czai w środku nocy?

Staruszek zachichotał.

— Chyba cię rzeczywiście przestraszyłem, chłopcze, Gdy zawołałem, omal nie wyskoczyłeś ze skóry! — Zaśmiał się jeszcze raz, jakby do siebie. Duncan zastanowił się, czy staruszek zobaczył więcej, niż mówił, czy też był już rzeczywiście dziecinnieśny.

— Zaskoczył mnie brat — wyjaśnił Duncan. — Sądziłem, że jestem tu sam. Wróciłem, by sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane na jutrzejszą koronację. Dziś byłem dosyć zajęty. Jego Wysokość potrzebował mnie przez całe popołudnie.

Brat Jerome szurając nogami podszedł do komody, gdzie przechowywano szaty liturgiczne przeznaczone na szczególnie uroczyste okazje i poklepał dłonią blat.

— Ach, niepotrzebnie się martwiłeś, chłopcze. Wszystko utrzymuję w najwyższym porządku, tak jak to robiłem przez ostatnie czterdzieści pięć lat. Nie będziecie jutro koronowali byle jakiego króla, jeśli wolno mi coś powiedzieć. Nasz młody pan będzie królem jak się patrzy, jeśli oczywiście dożyje do rana.

Duncan zamarł. Poczł, jak włos jeży mu się na głowie.

— Co masz na myśli, mówiąc „jeśli dożyje do rana”?

— Cóż to, chłopcze, nie wiesz, co powiadają? Krąży pogłoska, jakoby tej nocy po ulicach Rhemuth miały grasować wszystkie diabelskie moce. A ich celem jest młody książę Kelson. Niech Bóg ma go w swej opiece! — Jerome przeżegnał się nabożnie. — Mówią, że czary Deryni prowadzą je wprost do sypialni księcia.

— Czary Deryni? — powtórzył Duncan. — Kto ci coś takiego naopowiadał, bracie Jerome? Deryni zawsze byli przyjaciółmi haldańskiego rodu.

— Nie w s z y s c y Deryni — zaprotestował stary mnich. — Niektórzy mówią, że to duch zmarłego czarnoksiężnika Deryni, którego ojciec chłopca, Panie świeć nad jego duszą, zabił w tym strasznym pojedynku, że to on powrócił, by się zemścić, inni mówią, że to córka czarnoksiężnika, Charissa, Władczyni Mroku z Północy, chce zabić naszego księcia, by sama mogła zasiąść na tronie Gwynedd.

A jeszcze inni mówią, że wszystkie moce piekielne sprzysiężyły się, by zniszczyć naszego księcia i ograbić jego królestwo, bo przestaliśmy oddawać cześć Mocom Zła.

Ale ja myślę - i są tacy, którzy się ze mną zgodzą że to wszystko jest winą tego Morgana, krew Deryni w końcu w nim zwyciężyła. Pamiętaj, to o n jest tym, którego należy się strzec!

Duncan uśmiechnął się z przymusem, chociaż to, co usłyszał, bardzo go zmartwiło. Bo jeśli nawet staruszek mówił bez związku i fakty plątały mu się ze zmyśleniem, to jednak to, co mówił, nie było pozbawione sensu. Charissa miała w tym wszystkim swój udział, a duch jej ojca również, jeśli wierzyć, że rodzice żyją nadal w swoich dzieciach. Nie miał wątpliwo-

ści, iż moce ciemności są stale czujne, gotowe zaatakować cały świat, gdy już padnie potężne królestwo Gwynedd.

A co do opowieści dotyczących Morgana, słyszał już niejedną. Pogłoski te były oczywi-

ście zupełnym nonsensem. Przynajmniej w tej sprawie spróbuje wyprowadzić brata Jerome z błędu.

Podszedł do staruszka i oparł się o komodę.

— Brat Jerome tak naprawdę nie wierzy chyba w te plotki o Morganie?

— Ależ chłopcze, to wszystko święta prawda.

Duncan potrząsnął z dezaprobatą głową.

— Obawiam się, że jesteś w błędzie. Mogę cię na przykład z całym przekonaniem zapewnić, że lord Alaric nic jest tym, za kogo go bierzesz. Widziałem go nie dalej niż dziś po południu, i wierz mi, jego jedynym celem jest dobro księcia Kelsona.

Jerome zmrużył oczy.

— Czy możesz to udowodnić, chłopcze?

— Nie bez pogwałcenia moich ślubów kapłańskich — odparł spokojnie Duncan.

Na twarzy mnicha pojawił się wyraz zadowolenia.

— Ach tak, rozumiem. Jesteś więc jego spowiednikiem — przerwał, najwyraźniej głęboko zamyślony. — Ale jesteś pewny, że on nie kłamie?

Duncan uśmiechnął się.

— Jestem. Znam go od bardzo dawna, bracie.

Jerome wzruszył ramionami, po czym szurając nogami ruszył w stronę drzwi.

— Jeśli ktokolwiek może być pewny, to chyba tylko ty, chłopcze. Ale coś musi być w tych plotkach. No cóż, teraz i tak nie rozwiążemy tego problemu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to już sobie pójdę. Strażnicy cię wypuszczą, gdy będziesz chciał wyjść.

Duncan wziął do ręki świecę, którą zapalił brat Jerome, i podążył za nim do drzwi.

— W porządku, bracie Jerome. Ale jest jeszcze jedno.

— Tak? — starzec zatrzymał się przy drzwiach, rękę położył na zasuwie.

Duncan wręczył mnichowi zapaloną świecę i położył dłoń na jego dłoni.

— Widzisz tę świecę, bracie Jerome?

Oczy mnicha powędrowały we wskazanym kierunku i zatrzymały się na świecy.

— Tak — szepnął.

Głos Duncana stał się niski, łagodny, a oczy mu błyszczały.

— Lepiej weź tę świecę ze sobą. Na dworze jest ciemno. Nikogo tu nie ma prócz ciebie, więc nie chcesz zostawiać tu zapalanej świecy. Może przecież spłonąć od niej cała katedra. A to byłoby

straszne, czyż nie?

Jerome wyszeptał:

— Tak.

— I nikogo tu dziś wieczór nie spotkałeś. Nikt prócz ciebie nie był w zakrystii. Z nikim nie rozmawiałeś. Rozumiesz?

Stary mnich skinął głową i Duncan odsunął rękę.

— Idź już teraz. Wszystko w porządku. Spełniłeś swój obowiązek. I pamiętaj, nie widziałeś mnie tu dziś wieczorem. Idź już.

Jerome bez słowa odwrócił się, otworzył drzwi, wysliznął się po cichu, po czym zamknął je za sobą. Nie było teraz żadnego ryzyka, by kiedykolwiek powiedział komuś o tym, co tu zaszło.

Duncan pokiwał głową, po czym wrócił na to samo miejsce, w którym się tu zjawił.

Zawahał się tylko przez chwilę, by pozbierać myśli, po czym wrócił do gabinetu.

Gdy Duncan pojawił się w niszy swojego gabinetu, Kelson w osłupieniu rozejrzał się po pokoju, a potem zerwał się z krzesła, na którym siedział i podbiegł do młodego księdza.

— Czy wszystko w porządku, ojcie Duncanie? Tak długo cię nie było, byliśmy pewni, że stało się coś złego.

Podszedł do nich Morgan.

— Kelson trochę przesadza, ale rzeczywiście długo cię nie było. Coś nie tak?

— Nie — odparł Duncan, potrząsając przecząco głową i uśmiechając się. — Właśnie spotkałem starego znajomego. Brat Jerome był w zakrystii, upewniając się, czy wszystko jest przygotowane. Nie sądzę jednak, by widział, jak się pojawiłem. Jest zbyt stary i zgrzybiały, by się domyślić, że nie wszedłem zwykłym wejściem. Miał parę ciekawych informacji na temat tego, co się dzieje. Przypomnijcie mi, bym wam o tym potem opowiedział.

Wszedł znów do niszy i ruchem ręki wskazał, by Morgan i Kelson uczynili to samo. W

środku nie było dużo miejsca, zdołali jednak jakoś się zmieścić. Morgan i Duncan położyli ręce na ramionach Kelsona.

— Gotowi? — zapytał Duncan.

Morgan przytaknął.

— Kelsonie, chcę, żebyś się odprężył i uwolnił od wszelkich myśli. Nie potrafisz jeszcze sam

korzystać z takich portali, więc przeniesiemy cię między nami, jakbyś był workiem ziemniaków.

— Bardzo proszę — odparł Kelson.

Duncan ostro popatrzył na chłopca i zrozumiał nagle, że Kelson zupełnie nieświadomie przemówił niczym król, który łaskawie udziela zgody, chociaż o jej udzielenie nikt go nie prosił. Zastanawiał się, czy Alaric też to zauważył.

Kelson zamknął powieki, starając się o niczym nie myśleć. Próbował wyobrazić sobie zupełną ciemność i oderwać swój umysł od świadomości. Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że Morgan ściska jego ramię. Potem poczuł w żołądku przyprawiający o mdłości ucisk, przelotne wrażenie spadania, zawrót głowy.

Gdy otworzył oczy, wokół niego panowała ciemność. Nie byli już w gabinecie.

Duncan rozejrzał się ostrożnie. W zakrystii nic się nie zmieniło — było mroczno i pusto. Dał swym towarzyszom znak, by szli za nim, prześliznął się przez pokój, otworzył nieznacznie drzwi i zajrzał do wnętrza katedry. Wszystko było opustoszałe.

Morgan również zajrzał do środka przez jego ramię, po czym wskazał na znajdującą się przed nimi nawę.

— Pójdziemy naokoło? — spytał ledwo słyszalnym szeptem.

Duncan przytaknął i wskazał na tył nawy, tam, gdzie drzwi prowadzące do krypty królewskiej stanowiły jedyną jasną plamę w panującym dokoła mroku.

— Ja zajmę się tym z prawej, a ty tym z lewej.

Morgan skinął głową i cała trójka ruszyła w kierunku drzwi. Gdy dotarli już niemal do celu, Duncan przesunął się na prawo i zniknął w mroku. Kelson zajął miejsce tuż przy wejściu do krypty, skąd mógł obserwować Morgana, który właśnie zbliżał się do ledwo widocznych strażników.

Morgan poruszał się niczym zjawą, przemykając z jednego zacienionego miejsca w drugie, robiąc kilka kroków do przodu, kilka do tyłu, jednak z każdym krokiem zbliżając się do upatrzonego celu. Wkrótce tylko parę metrów dzieliło go od niczego nie podejrzewającego strażnika.

Ostrożnie, tak by nawet najmniejszym hałasem nie wzbudzić jego czujności, podszedł

zupełnie blisko, wyciągając jednocześnie ramiona i delikatnie opuszkami palców dotykając karku mężczyzny.

Pod wpływem dotyku strażnik zeszywniał, potem rozluźnił się, jego oczy stały się szkliste i patrzyły prosto przed siebie — niczego nieświadome, bezradne, nie pamiętające.

Morgan przez kilka sekund przyglądał się zahipnotyzowanemu mężczyźnie. Upewniwszy się, że ma

nad nim całkowitą kontrolę, ruchem ręki przywołał Kelsona. Gdy dołączył do nich Duncan, Kelson z podziwem przyglądał się obu mężczyznom.

— W porządku? — cichym głosem zapytał Morgan.

Duncan skinął głową.

— Niczego nie będzie pamiętać.

— Chodźmy — powiedział Morgan, ruszając w stronę wrót prowadzących do krypty.

Wrota były masywne, tak zaprojektowane, by chronić grobowiec przed intruzami, a jednocześnie by wytyczać granicę pomiędzy światem umarłych a światem żywych. Wysoką na dwa i pół metra bramę tworzyły setki potężnych, choć misternie kutych mosiężnych sztab powleczonej cienką warstwą złota. Od lat stały na straży królewskich grobów.

Morgan ledwo dotknął dłońmi bramy, zaglądając jednocześnie przez kratę do środka.

Na końcu krótkiego korytarza, naprzeciw bramy, prosty ołtarz miał zapewne służyć królewskim żałobnikom, którzy w krypcie składali ciała swych zmarłych. Korytarz skręcał ostrym łukiem w lewo, prowadząc do samej krypty. Zza zakrętu rząd świec rzucał blask na wypolerowaną marmurową posadzkę i ołtarz. Za zakrętem znajdowały się również grobowce królewskie — cel ich nocnej wyprawy.

Morgan dotknął z lekka mechanizmu zamka, a potem przyklęknął, by zbadać go dokładnie. Duncan postanowił jeszcze raz przyjrzeć się strażnikom. Gdy odszedł, Kelson przysunął

się do Morgana, z zafascynowaniem spoglądając przez jego ramię.

— Potrafisz to otworzyć? — zapytał szeptem, rozglądając się nerwowo.

Morgan położył palec na ustach, nakazując mu milczenie, opuszkami palców dotykał

skomplikowanego mechanizmu, jego twarz była skupiona, gdy w myślach tworzył obraz każdej części zamka. Kelson wstrzymał oddech, usłyszał delikatny szcęk metalu, potem drugi.

Morgan otworzył półprzymknięte powieki, po czym delikatnie pchnął bramę. Rozwarła się z łatwością.

Morgan wstał i jednym, nieprzerwanym ruchem otworzył bramę. Gdy odwrócił się, by zobaczyć, czy nadchodzi Duncan, nagle zamarł i położył rękę na ramieniu Kelsona.

— Dobry wieczór, Rogier — powiedział cichym głosem, a jego palce zacieśniły uchwyt, gdy przerażony chłopiec odwrócił się gwałtownie.

Rogier stał groźnie tuż przy zewnętrznym wejściu do krypty, z wyrazem niedowierzania i oburzenia

na twarzy. Ciemnozielony aksamitny płaszcz otaczał go niczym złowróźbny obłok, rzucając na jego twarz i włosy niesamowity blask. Światło umocowanych w ścianie płonących pochodni jeszcze bardziej podkreślało upiorny efekt. A oburzenie i odraza Rogiera były niemal namacalne.

— Ty! — wycedził Rogier, w panującej wokół martwej ciszy jego głos był niski i nie-ludzki. — Co do diabła tu robisz?

Morgan wzruszył niedbale ramionami.

— Nie mogłem zasnąć. Kelson też. Więc pomyśleliśmy, że odwiedzimy Briona. Wiesz, że nie widziałem go od ponad trzech miesięcy. Pomyślałem nawet, że odmówię jedną albo dwie modlitwy. Przyłączysz się do nas?

Rogier zmrużył oczy i sięgnął po miecz.

— Jak śmiesz! — zasyczał, cedząc każde słowo przez wąskie usta. — Jak śmiesz! Po tym, jak dziś zdeptałeś i wystawiłeś na pośmiewisko prawo, po tym, jak w całym królestwie szerzysz swoje kłamstwa, masz czelność przyprowadzać Jego Wysokość właśnie tu i tylko sam diabeł wie z jakiego powodu. Mógłbym...

Gdy Rogier sięgnął ręką do broni, oczy Morgana dostrzegły jakieś poruszenie. Cofnął

się o krok, by dać Duncanowi trochę czasu. W chwili, gdy miecz Rogiera błysnął w półmroku, palce Duncana lekko ujęły jego kark. Pod wpływem tego dotknięcia Rogier zamarł na ułamek sekundy, po czym bezwładne ciało osunęło się na ziemię. Morgan sięgnął po jego miecz, by z łoskotem nie upadł na kamienną posadzkę. Duncan tymczasem oparł nieprzytomnego o ścianę w pozycji półsiedzącej.

Wyprostowując się, Duncan starannie otrzepał ręce.

— Co on tu robił? — wykrztusił Kelson, spoglądając na nieprzytomnego Rogiera z podejrzliwością i narastającym obrzydzeniem. — Sądziś, że *o n a* go tu przysłała?

Morgan zrobił kilka kroków w kierunku krypty królewskiej, dając pozostałym znak, by podążyli za nim.

— Masz na myśli Charisę, czy też twoją matkę? — zapytał Morgan, zamykając za nimi bramę. — Sądzę raczej, że Rogier dowodzi dziś strażą. Nie będzie żadnych kłopotów, niczego nie będzie pamiętać. Ani on, ani straż. Chodźmy.

Kilka stopni zaprowadziło ich do końca korytarzyka, Minęli rodzinny ołtarz. Znaleźli się pomiędzy grobowcami Haldańczyków.

Krypta była olbrzymia, wyższa niż dwaj wysocy, ustawieni jeden na drugim mężczyźni.

Została wyrębana w litej skale, która stanowiła fundament katedry. W ścianach wydrążono nisze wielkości trumien. W każdej z nich spoczywały okryte .butwiejącym całunem kości dalekich przodków Kelsona, puste oczodoły wpatrywały się w kamienne sklepienia. W pozostałej części

krypty w uporządkowanych rzędach znajdowały się grobowce królów i królowych z ostatnich czterystu lat, jeden od drugiego wspanialej rzeźbiony, a każdy opatrzony imieniem i latami panowania królewskiego syna czy córki, których prochy spoczywały we-wnętrz. Po lewej stronie stał nowszy grobowiec oświetlony płomieniami niezliczonych świec ustawionych w rzędach wzdłuż każdego boku. Kelson zatrzymał się i przez dłuższą chwilę spoglądał w tym kierunku, po czym poprowadził Morgana i Duncana na miejsce spoczynku swego ojca.

Gdy już prawie tam dotarli, Morgan kładąc dłoń na piersi Duncana, zatrzymał ich, a sam udał się dalej. Kelson i Duncan patrzyli za nim w milczeniu.

Morgan przez kilka chwil stał bez słowa, a potem delikatnie położył dłoń na sarkofagu.

Bardzo niedobrze się stało, że życie Briona tak się skończyło. Żył zbyt krótko; uczynił wiele dobrego, ale jego życie zostało za wcześnie przerwane. Dlaczego? Dlaczego musiał umrzeć w taki sposób?

Byłeś dla mnie ojcem i bratem, pomyślał Morgan. Gdybym tylko był tamtego dnia u twego boku, mógłbym cię ocalić przed tą zniewagą, tą niepotrzebną śmiercią. Teraz, gdy cię

już nie ma...

Wziął się w garść, zdjął rękę z sarkofagu i skinął w stronę Duncana i Kelsona, by podeszli bliżej. Kiedyś panowała radość, przyjaźń i miłość. Może kiedyś znów tak będzie.

Teraz jednak musi uporać się ze stojącym przed nim zadaniem.

Ostrożnie uniósł z Duncanem wieko sarkofagu, lekko je podważając, by złamać pło-mbę, następnie przesunął je w stronę stóp, odsłaniając wnętrze sarkofagu. Wewnątrz upiorne, okryte całunem ciało leżało zimne i nieruchome.

Morgan zaczekał, aż Kelson przysunie bliżej kandelabr, wreszcie zdecydowanym ruchem odsunął jedwabny całun zakrywający twarz.

To, co ukazało się jego oczom, wstrząsnęło całym jego światem, zmroziło mu krew w żyłach, przeniknęło chłodem całe ciało. Gdy tak z niedowierzaniem wpatrywał się w trumnę, zbliżył się do niego Kelson i zajrzał do środka. Chłopiec przełknął z trudnością ślinę.

— O mój Boże! — wykrztusił.

Porażony Duncan odzyskawszy w końcu władzę w członkach, zrobił znak krzyża.

Ciało w sarkofagu nie było ciałem Briona!

Rozdział ósmy

Rzeczy nie są tym, czym się zdają.

Nie wierząc własnym oczom Morgan pochylił się, by z bliska przyjrzeć się obcej twarzy. Już na

pierwszy rzut oka było wiadomo, że nie jest to ciało Briona. Twarz, którą odsłonili, była twarzą bardzo starego człowieka o siwych włosach i z długą brodą. Było to ciało dawno zmarłego króla albo krewnego, ale z pewnością nie Briona. Wstrząśnięty Morgan z powrotem założył jedwabny całun, po czym łokciami wsparł się na krawędzi sarkofagu i potrzą-

snął głową. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

— No cóż — odezwał się w końcu bezbarwnym głosem. — To, co właśnie zobaczyliśmy, wydaje się niemożliwe, ale jest prawdą. Kelsonie, jesteś pewny, że właśnie tu złożono ciało twojego ojca?

Chłopiec pokiwał wolno głową.

— Widziałem, jak zamykano je właśnie w tym sarkofagu. To jest ten właściwy.

Duncan w zamyśleniu założył ręce, po chwili potarł czoło.

— Zdaje się, że musimy pogodzić się z faktem, iż jest to ciało kogoś innego. Czy rozpoznajecie tego mężczyznę?

Obaj zaprzeczyli.

— No dobrze — myślał głośno. — Spróbujmy więc podejść do tego z innej strony.

Wiemy, że Kelson widział, jak ciało Briona zamykano w tym właśnie sarkofagu, teraz jednak okazuje się, że nie jest to ciało, którego szukamy. Wiemy też, że od chwili pogrzebu zacią-

gnięto całodobową straż przy wejściu do krypty. Wysuwam wobec tego następującą hipotezę: niezwykle trudno byłoby w podobnych okolicznościach niepostrzeżenie usunąć ciało z krypty. Czy macie więc jakieś propozycje?

Morgan pokiwał głową.

— Widzę, do czego zmierzasz. Nasuwa się więc wniosek: ciało Briona jest najprawdopodobniej nadal w krypcie, ale zostało ukryte, może w innym sarkofagu, albo w którejś niszy.

Musimy je znaleźć.

Kelson przez cały czas przysłuchiwał się w skupieniu, teraz jednak poruszył się niespokojnie.

— Nie chcę być pesymistą, ale przypuśćmy, że ktoś wyniósł jednak ciało. Skoro nam udało się tu wejść i nikt się o tym nie dowie, może kto inny zrobił już to przed nami.

— On ma rację — westchnął Duncan, oparłszy się o stojący za nim sarkofag. — Jeśli to sprawa Charissy, to ona rzeczywiście mogła to zrobić. A jeśli tak się stało, to wiesz, czym to grozi.

Morgan zacisnął w skupieniu usta, w końcu pokręcił głową.

— Nie, myślę, że Charissa nie ma z tym nic wspólnego. Nie ma powodu przypuszczać, że ciało jest dla nas w jakiś sposób ważne. Nawet m y nie wiedzieliśmy o tym aż do dzisiejszego popołudnia. Jednak inaczej mają się sprawy z Jehaną. Ona do tego stopnia zamartwia się moim rzekomym wpływem na Briona, że niewykluczone, iż kazała usunąć ciało, sądząc, że będę próbował na niego wpłynąć nawet po jego śmierci. Muszę przyznać, że znacznie przecenia moje możliwości.

— A więc myślisz, że ciało nadal jest gdzieś w krypcie? — zapytał Duncan.

— Sądzę, że będziemy musieli działać tak, jakby to było prawdą — odparł Morgan. —

Nie mamy innego wyjścia. Proponuję więc zabrać się do pracy.

Duncan przytaknął; Morgan wziął z przyniesionego przez Kelsona kandelabru zapaloną świecę i podał ją chłopcu. Duncan wziął inną i poszedł w głąb krypty, by tam zacząć przeszukiwanie sarkofagów, a Kelson udał się w stronę niszy. Morgan jeszcze raz spojrzął na zakryte jedwabiem ciało w sarkofagu Briona, po czym wziął jedną ze świec i zaczął przeszukiwać sarkofagi po swojej stronie krypty.

Nie było to przyjemne zajęcie. W miarę jak otwierał po kolei pokrywy sarkofagów, znajdując w nich jedynie próchniejące kości i butwiejące szczątki materiału, zdawał sobie sprawę, że Duncan doświadcza dokładnie tego samego. Wiedział, że dla Kelsona, który krążył na obrzeżach krypty, gdzieś na granicy nikłego światła świec, poszukiwania te były równie przykre.

Wystarczyło tylko rzucić okiem na chłopca, by potwierdzić przypuszczenia. Trzymając mocno świecę w spoczonej dłoni, sprawdzał sumiennie każdą otwartą niszę; jednak jego ruchy zdradzały zdenerwowanie, a rozbiegane oczy z przestachem błędziły za każdym drżącym cieniem rzucanym przez migoczący płomień świecy.

Morgan zamknął kolejną pokrywę. Był zły, że chłopcu przypadło najohydniejsze zadanie — zagładanie do otwartych niszy. Nie było jednak innego wyjścia. Kelson nie miał tyle siły, by poradzić sobie z ciężkimi pokrywami sarkofagów. Właściwie nawet Morgan miał trudności z niektórymi z nich.

Rzut oka do wnętrza ostatniego z otwartych sarkofagów wystarczył, by się przekonać, że to nie Brion leżał w środku. Zamknął kolejną pokrywę. Otwarli już niemal jedną trzecią sarkofagów. Wszystko wskazywało na to, iż przeszukanie pozostałych okaże się tak samo bezowocne.

Czy to możliwe, by ktoś jednak usunął ciało? Gdzie jeszcze można było ukryć ciało w tej jaskini rozkładu, jeśli nie w tych oczywistych miejscach? Może Charissa jednak tu była.

Ale skąd mogła wiedzieć o tym, jak ważne było dla nich znalezienie ciała Briona? Może zrobiła to ze zwykłej chęci dokuczenia im? A skoro tak, to odpowiedź mogła być prostsza, niż przypuszczał. Może ciało Briona nigdy nie zostało usunięte?

Zaświtało mu w głowie pewne podejrzenie. Popędził z powrotem do sarkofagu, w którym powinno było znajdować się ciało Briona i ściągnął jedwabny całun.

— Duncan! Kelson! — zawołał ponagląjąco, przyglądając się obcej twarzy w sarkofagu. — Chodźcie. Chyba wiem, gdzie jest Brion!

Duncan i chłopiec posłuchali natychmiast.

— O czym ty mówisz? — dopytywał się Duncan.

— Myślę, że przez cały czas był dokładnie pod naszym nosem — odrzekł Morgan, nie zdejmując wzroku z leżącego przed nim ciała. — Nikt go nie ruszał. Myślę, że jest właśnie tu.

— Ale to nie jest... — zaprotestował Kelson.

— Cicho, Kelson — przerwał Duncan, jego wątpliwości powoli zniknęły. — Myślisz, że nastąpiła zmiana postaci, że to iluzja?

Morgan przytaknął.

— Sam popatrz. Jestem pewny, że to Brion.

Duncan zmarszczył brwi i wstawił świecę z powrotem do kandelabru, a następnie wytarł ręce w sutannę. Trzymając dłonie zaledwie centymetr od ciała, zaczął je badać, jego oczy były półprzymknięte. Po chwili oderwał dłonie, otworzył oczy i westchnął głęboko.

— No i? — zapytał Morgan. — Co o tym myślisz?

Duncan pokiwał głową.

— Masz rację. To j e s t Brion. Zmiana postaci została dokonana po mistrzowsku. Wy-czuwam jakąś dziwną emanację, która nosi wyraźne znamiona złych mocy — potrząsnął lekko głową. — Jestem raczej pewny, że można sobie z tym poradzić. Chcesz sam odczynić zaklęcie, czy ja mam to zrobić?

Morgan jeszcze raz spojrział na ciało i pokręcił głową.

— Ty to zrób. Myślę, że to zadanie wymaga ręki księdza.

Duncan zaczerpnął głęboko powietrza, po czym zaczął je powoli wypuszczać, w końcu położył dłonie na czole trupa. Po paru sekundach przymknął oczy, a jego oddech stał się płytszy i dziwnie chrapliwy w panującym dokoła mroku.

Kelson, który z przerażeniem przysłuchiwał się niezrozumiałej rozmowie tych dwóch mężów Deryni, spojrział z ukosa na Morgana, a ciałem wstrząsnął dreszcz, gdy jego uwaga skupiła się znów na księdzu. Nie był pewny, czy to, co tu widział, rzeczywiście mu się podobało, i wyczekiwał chwili, gdy wszystko się skończy.

Oddech Duncana stał się jeszcze szybszy, a na jego dłoniach i czole pojawiły się krople potu, pomimo panującego w krypcie zimna. Na oczach jego towarzyszy rysy twarzy leżącego pod dłońmi

Duncana ciała zaczęły drgać, zamazywać się, w końcu zupełnie się rozmyły.

Szybko zaczerpnął powietrza, zeszywniał nieco i w tej samej chwili ciało przybrało postać Briona i charakterystyczne rysy jego twarzy. Gwałtownie oderwał dłonie i zatoczył się, jego twarz była ściągnięta i blada.

— Nic ci nie jest? — zapytał Morgan, wyciągając rękę, by go przytrzymać.

Duncan zaprzeczył, z trudem łapiąc oddech.

— To było trudne, Alaric — mruknął. — On nie był zupełnie wolny, a zaklęcie, jakie go wiązało, miało niezwykłą moc. Gdy go uwalniałem, czułem, jak umiera. To było straszne.

Wstrząsnął nim dreszcz i Morgan musiał chwycić go mocno za ramię. Wreszcie wypu-

ścił jego rękę i zamrugał szybko powiekami, gdy jego oczy zasnuły się mgłą. Pomiedzy nimi ciało Briona spoczywało teraz w spokoju, łagodne szare oczy były na zawsze zamknięte, linia ust stała się teraz miękka, a pełne napięcia rysy, które, odkąd Morgan sięgał pamięcią, zawsze stanowiły charakterystyczną cechę jego twarzy — zniknęły wymazane ręką śmierci.

Morgan ostrożnie wydobył Oko Rom, które złowrogo połyskiwało w prawym uchu Briona. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kamień, a potem schował go w sakiewce u pasa.

Wyjęcie klejnotu z ucha Briona wyrwało Kelsona z zamyślenia. Przez cały ten czas trwał w osłupieniu: stał ogłuszony i przerażony widokiem, jaki przedstawiał się jego oczom.

Teraz wyciągnął rękę i po raz ostatni dotknął ręki swego ojca, a z jego piersi wyrwał się stłumiony szloch. W końcu zdławił łzy i popatrzył błagalnie na Duncana.

— Czy teraz jest już naprawdę wolny? — szepnął. Chciał, by jeszcze raz to potwierdzono. — Ona nie będzie mogła już wyrządzić mu żadnej krzywdy, prawda?

Duncan potrząsnął przecząco głową.

— Jest teraz wolny, mój książę. Masz na to moje słowo. I nikt nie będzie go już mógł skrzywdzić.

Kelson jeszcze raz popatrzył na swojego ojca i cichym głosem mówił dalej.

— Nie wydaje mi się sprawiedliwe, by odbierać mu Oko Rom i nic w zamian nie zostawić. Czy moglibyśmy...? — zawiesił niepewnie głos, a Duncan skinął głową.

— Co powiesz na to? — zapytał, sięgnąwszy głęboko do kieszeni sutanny i wyjąwszy stamtąd poślacany krucyfiks.

Kelson uśmiechnął się blado, wziął go z jego rąk i delikatnie ułożył w dłoniach swego ojca.

— Dziękuję ci — szepnął ze łzami w oczach. — Myślę, że spodobałoby mu się to.

Gdy odwrócił się, jego ramiona zadrżały. Morgan spojrział na swego kuzyna i uniósł pytająco brew. Ten skinął głową i zrobił nad ciałem znak krzyża. Następnie zamknęli sarkofag.

Duncan zgasił świece, które zapalili i odstawił kandelabr na swoje miejsce. Potem wyprowadzili Kelsona z krypty.

Gdy żelazna brama zamknęła się za nimi, Duncan podszedł ostrożnie do opartego o ścianę człowieka i dotknął jego czoła. Rogier natychmiast wstał, wciąż jednak znajdował się pod wpływem zaklęcia. Duncan włożył mu miecz do pochwy, a następnym dotknięciem sprawił, że ten oddalił się. Sam przyłączył się do swych towarzyszy. Nadszedł czas, by powrócić do gabinetu.

Duncan otworzył skrytkę, w której zostawił Pierścień Ognia, a także inne niezbędne składniki rytuału i ułożył jej wszystkie na stole zajmującym środek pokoju. Potem usiadł

obok Kelsona. Morgan podszedł do jego biurka i przetrząsnął kilka płytkich szuflad, aż w końcu znalazł to, czego szukał — mały przybornik chirurgiczny w skórzanym etui. Powrócił

do stołu, otworzył go i rozłożył jego zawartość na blacie, po czym sięgnął do zawieszanej u pasa sakiewki i wyjął z niej Oko Rom.

Kelson popatrzył z lękiem na Morgana, a potem ruchem głowy wskazał na przyrządy chirurgiczne.

— Do czego one są ci potrzebne?

— Muszę przekłuć twoje ucho — odparł pogodnie Morgan. Otworzył buteleczkę zawierającą jasnozielony płyn i umoczył w nim kawałek waty. Podniósł Oko Rom i wytarł je dokładnie ze wszystkich stron, szczególną uwagę poświęcając złotej nici, która znajdzie się bezpo-

średnio w uchu Kelsona.

— Duncanie, czy mógłbyś odczytać pierwsze dwie strofy wiersza? Chcę być pewny, że postępuję zgodnie ze słowami rytuału — wziął srebrną igłę z przybornika i zaczął ją wycierać.

Duncan czytał.

Kiedy Syn zmieni bieg rzeczy?

Orę downik Nieskoń czonoś ci musi prowadzić

Dłoń Opiekuna, by przelać krew,

Która rozpali Oko Rom o zmierschu.

Ta sama krew musi nakarmić Pierś cień Ognia.

Strzeż się ! Nie zbudź Gniewu Demona!

Jeś li twa rę ka skala dziewiczą obraż czkę , Spadnie na ciebie klą twa sprawiedliwa.

Morgan skinął głową i odłożył owiniętą watą igłę na stół.

— Świetnie. Teraz pod twoim okiem przekłuję ucho chłopca, a krew spłynie na Oko Rom i ożywi je. Potem kroplę tej samej krwi musimy przenieść na Pierścień Ognia. Ale nie wolno go dotykać gołymi rękami. To nie powinno nam sprawić specjalnego kłopotu.

Duncan wstał i stanął obok krzesła Kelsona.

— W porządku. Co chcesz, żebym poza tym zrobił?

Morgan przysunął swe krzesło bliżej, wziął jeszcze jeden kawałek waty i znów umoczył go w zielonkawym płynie.

— Przytrzymaj jego głowę, żeby nią nie ruszał — odrzekł z ciepłym uśmiechem. —

Chcę dobrze wykonać robotę.

Kelson uśmiechnął się słabo, podniósł ze stołu Pierścień Ognia, uważając, by nie dotknąć palcami metalu czy kamieni. Klejnoty barwy ciemnoczerwonych granatów połyskiwały mrocznym światłem na tle białego jedwabiu, odbijając ciemny blask leżącego na stole Oka Rom.

Chłodne dłonie Duncana trzymały głowę chłopca, gdy tymczasem Morgan smarował

zielonym płynem płatek jego prawego ucha. Nagle Kelson poczuł chłód. Potem nastąpiła pauza, w czasie której poczuł, jak Morgan ustawia igłę. Wreszcie usłyszał delikatny dźwięk, jak przechodzi ona przez skórę, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Nie poczuł żadnego bólu.

Morgan odetchnął i pochylił się, by z bliska przyjrzeć się swojemu dziełu. Igła została wbita z precyzją, przebiła ucho dokładnie w miejscu, w którym zaplanował. Zręcznym ruchem usunął ją i powtórnie przetarł płatek. Patrzył, jak mała kropla krwi formuje się po każdej stronie przekłutego ucha. Podniósł zawinięte w płótno Oko Rom i przyłożył je do kropli krwi powstałej u wlotu przekłucia. Następnie pokazał je Kelsonowi.

Ciemny kamień kolczyka zaczął zmieniać swój wygląd. Wcześniej rubin płonął

zimnym i kopącym ogniem, teraz stał się cieplejszy, przejrzystszy i pełen własnego blasku; wyglądał tak, jak pamiętał go Morgan z czasów, gdy nosił go Brion.

Gdy tylko nastąpiła ta dziwna transformacja, Morgan dał Kelsonowi znak, by podał

Pierścień Ognia. Dotknął nim zakrwawionego Oka Rom i zgodnie ze swą nazwą Pierścień zaczął płonąć głębokim blaskiem barwy granatów, który przenikał każdy z jego kamieni.

Morgan westchnął. Przetarł ucho Kelsona i założył na nie kolczyk. Z chwilą, gdy dotknął Pierścienia Ognia, krew na nim zniknęła. Połyskiwał teraz ciemnym blaskiem w uchu, był namacalnym znakiem mocy, którą Kelson wkrótce otrzyma, pierwszym spełnieniem słów rytuału.

Duncan wziął Pierścień Ognia z rąk Kelsona i owinał go jedwabną materią. Nie będzie potrzebny aż do chwili koronacji, więc schował go do skrytki. Gdy powrócił do stołu, Kelson przyglądał się szkatule, w której znajdował się Purpurowy Lew.

Morgan rozłożył pergamin ze słowami rytuału na blacie stołu i zajął się studiowaniem trzeciej strofy.

— Jak my to otworzymy, Morganie? — dopytywał się chłopiec, potrząsając ostrożnie szkatułką i nasłuchując, czy nie dojdzie do niego jakiś odgłos, który mógłby ich naprowadzić na właściwy trop.

Gdy pudełko znalazło się w pobliżu jego ucha, zaczęło wydawać z siebie cichy melodyjny dźwięk, który ustał, gdy Kelson je odłożył.

Duncan nachylił się.

— Zrób to jeszcze raz.

— Co takiego?

— Potrząśnij delikatnie szkatułką.

Kelson potrząsnął, tak jak go poproszono, tym razem nieco ostrożniej. Jednak nie trzymał jej tak blisko głowy jak poprzednio. Morgan to zauważył.

— Podnieś ją bliżej Oka Rom, Kelsonie — powiedział.

Kelson wykonał jego polecenie i znów usłyszeli melodię.

— Przyłóż szkatułkę do kolczyka — zdecydował Morgan.

W chwili, gdy Kelson posłuchał jego wskazówki, nastąpił cichy brzęk i wieczko szkatułki otwarło się. Kładąc ją na stół, podniósł wieczko tak, że szkatułka ukazała całą swoją zawartość; znajdował się w niej Purpurowy Lew. Cała trójka patrzyła na otwartą szkatułkę w milczeniu.

Purpurowy Lew tak naprawdę nie był wcale purpurowy. Nazwa ta była błędna, a nada-na została przez jakiegoś dawno już zapomnianego człowieka, który sporządzał katalog królewskich klejnotów. Popołniono błąd w terminologii i tak już zostało.

W rzeczywistości Purpurowy Lew był herbem Haldańczyków: złoty lew w pozycji stojącej przedstawiony *en face* w polu purpurowym z emalii. Była to olbrzymia broszka wielkości pięści mężczyzny z ciężką zapinką z tyłu. Jej głęboko wyżłobione krawędzie zdobiły grawerowane w złocie spirale — dzieło przednich rzemieślników z Concaradine.

Gdy Kelson ostrożnie wyjmował broszkę z wnętrza szkatułki wyłożonej czarnym aksamitem, Duncan

na powrót usiadł i przysunął do siebie pergamin ze słowami rytuału.

Teraz, gdy Oko Rom ujrzało ś wiatło,

Uwolnij Purpurowego Lwa nocą .

Niech lewa rę ka się nie ugnie, Zą b Lwa Musi przeniknąć ciało i nadać Moc.

Kelson obracał w dłoniach broszkę, po czym wyciągnął lewą rękę.

— „Niech lewa ręka się nie ugnie...” ja rozumiem, o co tu chodzi, ale... — położył

broszkę na stoliku. — Spójrz, Morganie. Lew Gwynedd jest przedstawiony w pozycji stojącej *en face*. Nie jest ustawiony do nas profilem.

Morgan wydawał się zdziwiony.

— A więc?

— Nie rozumiesz? — ciągnął Kelson. — Jest to jedyna konfiguracja heraldyczna, w której lew jest przedstawiony *en face*. A to oznacza, że Lew Gwynedd n i e ma zęba!

Morgan zmarszczył brwi i podniósł broszkę.

— Nie ma zęba? Ależ to niemożliwe. Jeśli nie ma zęba, rytuał nie może się odbyć. A jeśli rytuał się nie...

Kelson ostrożnie dotknął broszki, po czym niewidzącymi oczyma popatrzył na polituro-wany blat stołu. Morgan nie musiał kończyć zdania, bo Kelson znał już odpowiedź. A odpowiedź ta zmroziła mu krew w żyłach. Był bowiem tylko jeden sposób dokończenia tego zdania: jeśli rytuał się nie odbędzie, on umrze.

Rozdział dziewiąty

Strach mieszka w nieznanym, a w nocy kryje się podstę p.

Lew Gwynedd nie ma zęba! Purpurowy Lew nie ma zęba!

Duncan sięgnął po broszkę, ujął ją w obie dłonie i obracał w palcach nieskończoną ilość razy, ciągle myśląc o tej widocznej niekonsekwencji.

Gdzieś, nie pamiętał dokładnie gdzie; może było to w którymś z tych niezrozumiałych traktatów, pełnych niezwykle zawitych terminów, poświęconych starożytnej sztuce magii, które niegdyś czytał. Gdzieś — zdawało mu się, że przypomina sobie coś o słowach mających podwójne znaczenie, figurach retorycznych, typowych metaforach — *t a k!*

Odwróciwszy broszkę na drugą stronę, czubkiem palca delikatnie dotknął ozdobnej zapinki. Nie

patrzył jednak na nią, gdy odezwał się pod nosem:

— Ależ, oczywiście, zawsze istnieje jakaś przeszkoda, bariera, potrzeba wykazania się odwagą.

Morgan powoli wstał, a jego twarz pociemniała, gdy też w końcu zrozumiał znaczenie tych słów.

— To zapinka jest zębem Lwa? — szepnął mrożącym krew w żyłach głosem.

Duncan powrócił myślami do rzeczywistości.

— Tak.

Kelson wstał i sięgnął przez stół po broszkę, by czubkiem palca dotknąć prawie ośmiocentymetrowej połyskującej złotem, lodowatej zapinki. Przełknął ślinę ze zdenerwowaniem.

— *I t o* ma przebić moją rękę?

Duncan z niewzruszonym wyrazem twarzy pokiwał głową.

— Zdaje się, że to jest właściwy klucz do sprawy, Kelsonie. Wszystko, co wydarzyło się przedtem, było jedynie wstępem, a wszystko, co nastąpi potem, będzie posłowiem. Ważne jest też to, że musisz sam tego dokonać. Możemy wszystko dla ciebie przygotować, stać przy tobie, strzec cię potem. Ale zrobić to musisz sam. Rozumiesz?

Kelson przez dłuższą chwilę milczał. W końcu pokiwał wolno głową.

— Rozumiem — powiedział cicho. — Zrobię, co będzie konieczne — zająknął się. —

Chciałbym jednak nad tym trochę pomyśleć, jeśli jest jeszcze czas...

Spojrzał na Duncana szarymi, szeroko otwartymi oczami, w których był strach i błaganie. Znowu stał się małym chłopcem. Duncan skinął twierdząco głową.

— Oczywiście, mój książę — odparł łagodnym głosem, wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia z Morganem. Podniósł się i skierował do drzwi. — Nie śpiesz się. Alaric pomoże mi nałożyć szaty liturgiczne.

Gdy tylko opuścili pokój, Duncan zamknął dokładnie drzwi i dał Morganowi znak, by udał się za nim krótkim korytarzem. Kiedy dotarli do zaciemnionej zakrystii, Duncan rzucił

okiem przez otwór w drzwiach, by upewnić się, że kościół jest pusty, po czym zapalił świecę i obiema rękami oparł się o komodę. Stał tyłem do Morgana.

— Nie musimy wcale się przygotowywać — odezwał się w końcu. — Chłopiec potrzebował kilku minut, by pozbierać myśli. Mam nadzieję, że postępujemy dobrze.

Morgan zaczął energicznie przemierzać pomieszczenie, nerwowo splatając palce.

— Też tak myślę. Szczerze mówiąc, coraz bardziej się niepokoję. Nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć, co się stało, zanim tu przyszliśmy.

Duncan popatrzył na niego z ukosa.

— Zanim ci to opowiem — ciągnął, nie dopuszczając Duncana do głosu — pozwól, że zadam ci pytanie. Gdzie zamierzasz zakończyć rytuał? W gabinecie?

— Chciałem, żebyśmy poszli do tajemnej kaplicy, która znajduje się za gabinetem —

odpowiedział ostrożnie. — Dlaczego pytasz?

Morgan zacisnął wargi.

— Kaplica ta była kiedyś miejscem kultu świętego Cambera, mam rację?

— Między innymi — przytaknął ostrożnie Duncan. — i Święty Camber był patronem magii. Wiesz o tym. Co to ma wspólnego z tym, co się wydarzyło? Powiedz wreszcie.

— W porządku, powiem — odparł Morgan. Zaczerpnął głęboko powietrza, jakby niechętnie kończąc to, co już zaczął. — Duncanie, uwierzysz mi, jeśli usłyszysz, że miałem widzenie?

— Mów — odrzekł Duncan, słuchając w napięciu.

Morgan westchnął.

— Zanim tu przyszliśmy, zostawiłem Kelsona pod ochroną Wielkiej Wartowni, a sam udałem się do biblioteki Briona, by przejrzeć jego książki i papiery. Myślałem, że znajdę ja-kaś wskazówkę, która pomoże nam rozwikłać słowa rytuału. Miałem nawet nadzieję, że znajdę notatki, które zrobił, by przygotować rytuał.

Przez dłuższy czas szukałem bez skutku, więc posłużyłem się techniką Thuryna, sądząc, że uda mi się zgromadzić energię, która pomoże mi w dalszych poszukiwaniach. Jako punkt koncentracji przyjąłem mój sygnet z gryfem.

Uniósł lewą rękę, a potem opuścił, szukając odpowiednich słów.

— Pamiętam, że miałem zamknięte oczy, gdy nagle doznałem wrażenia, że widzę wynurzającą się z ciemności twarz wysokiego mężczyzny w kapturze. Jednocześnie wyraźnie mi się zdawało, że postać uspokaja mnie, a z drugiej strony ponagla. Otwarłem oczy i wizja zniknęła. Poza mną nikogo w pokoju nie było.

— Czy wydarzyło się jeszcze coś? — zapytał Duncan, w skupieniu mrużąc oczy.

Morgan spojrzał na posadzkę.

— Postanowiłem jeszcze raz przerzucić książki, żeby się upewnić, że nie przeoczyłem niczego

ważnego. Pierwszym tomem, który wzięłam do ręki, były *Żywoty Ś wię tych* Talbota, stary egzemplarz. Otworzył się w moich rękach na stronicy... Boże, zupełnie o tym zapomnia-
łam!

Duncan przyglądał się zdziwiony, jak Morgan w pośpiechu zaczął przeszukiwać kiesze-
nie.

— Strona była zaznaczona skrawkiem pergaminu — ciągnął w podnieceniu. — Byłem tak zaskoczony tym, co zobaczyłem w tej książce, że nie zadałem sobie nawet trudu, by to przeczytać. Włożyłem to po prostu do... O! Mam to!

Znalazł pergamin w wewnętrznej kieszeni tuniki i wyjął go z triumfem. Tak był pod-ekscytowany całym tym wydarzeniem, że trzęsły mu się ręce i nie umiał go rozwinąć. Duncan, który był nieco bardziej opanowany, odebrał mu zwinięty skrawek pergaminu i zbliżył się do świecy.

— Cóż znalazłeś w tej książce, że było to ważniejsze od tego? — zapytał Duncan, prostując wymięty pergamin i zbliżając go do światła.

— Był to portret mężczyzny, którego zobaczyłem chwilę wcześniej w moim widzeniu

— odparł w roztargnieniu Morgan, zaglądając z niepokojem przez ramię Duncana i usiłując coś zobaczyć. — A co było najbardziej zaskakujące, to fakt, że był to rozdział poświęcony świętemu Camberowi.

— Świętemu Camberowi? — powtórzył zaskoczony Duncan, spoglądając na niego. —

Myślisz, że zobaczyłeś świętego Cambera?

Morgan przytaknął i niecierpliwie wskazał na pergamin.

— Tak, właśnie tak. Co tam jest napisane?

Duncan skierował ponownie wzrok na skrawek pergaminu, który trzymał w dłoni. Morgan przysunął się bliżej, by lepiej widzieć. Po jednej stronie dojrzał pełne imię Briona napisane charakterystycznym dla niego zaokrąglonym pismem uncjalnym. Odwrócił pergamin na drugą stronę. Gdy czytał treść notatki, zadrżała mu ręka.

— *Ś wię ty Camberze z Culdi, broń nas przed złem!* — szeptem odczytał Morgan, powtarzając nie wypowiedziane na głos słowa Duncana. — Mój Boże, Duncanie, myślisz, że ja naprawdę miałem widzenie?

Duncan potrząsnął z powagą głową i oddał mu pergamin.

— Nie wiem — szepnął, nieświadomie wycierając dłonie w sutannę. — Alaric, ja... to stawia całą sprawę w nieco innym świetle. Pozwól, że się przez chwilę nad tym zastanowię.

Odwróciwszy się plecami do Morgana, na moment ukrył twarz w dłoniach, próbując odzyskać spokój. W końcu zmusił się do zastanowienia nad tą nową sytuacją.

Sam musiał przed sobą przyznać, że nie był pewien. Bowiem jako ksiądz, a zarazem Deryni, zdawał sobie w pełni sprawę z tego, jak cienka jest granica pomiędzy Dobrem a Złem. Będąc potomkiem Deryni, ani przez chwilę nie wątpił, że Camber z Culdi był rzeczywiście zbawcą jego narodu. Przecież to właśnie on odkrył, że moc Deryni może zostać przekazana ludzkości. To dzięki niemu zakończyło się Interregnum Przemocy narzucone przez Deryni dwieście lat temu. I za jego sprawą ludzie tacy jak Brion Haldane mogli walczyć z siłami Zła i zwyciężyć straszliwą moc Marluka.

Z drugiej jednak strony, samo imię Cambera z Culdi wprawiało Duncana, który był przecież księdzem, w przerażenie. Mimo że po swojej śmierci (albo raczej zniknięciu) został ogłoszony świętym, to jednak ta beatyfikacja już dawno została przez Kościół odwołana.

Przez ten sam Kościół, który stwierdził, że moc Deryni jest z gruntu zła i zakazał wszelkich praktyk.

Oparł się naglej pokusie, by się przeżegnać i w ten sposób ustrzec przed tym niesławnym imieniem, w końcu jednak posłuchał głosu rozsądku.

Święty czy też demon, Camber z Culdi najwyraźniej był głęboko poważany przez Briona. A skoro król, który uczynił tyle dobrego dla swoich poddanych, przywołał imię Cambera

— nie, świętego Cambera, na miłość boską! — to nie można podejrzewać, że kryje się za nim jakieś zło.

A co do widzenia, jakie rzekomo miał Alaric, to na razie wstrzyma się z wydaniem sądu. Prawdę mówiąc, podobnie jak Alaric, również nie był skłonny wierzyć w objawienia. A jednak nie wątpił, że zdarzały się jeszcze dziwniejsze rzeczy...

Odwrócił się z zakłopotanym wyrazem twarzy.

— A więc? — zapytał Morgan. Nie próbował nawet odgadnąć, o czym mógł myśleć Duncan.

Ten przepraszająco wzruszył ramionami.

— Już w porządku. Znów stoczyły we mnie walkę dwie siły Deryni — uśmiechnął się słabo i przekazał kuzynowi skrót swoich przemyśleń.

Morgan wykrzywił twarz w gorzkim uśmiechu.

— Rozumiem — pokiwał głową. — Szkoda jednak, że nie wiemy dokładnie, o co tu chodzi. Mam wrażenie, jakbym błądził po omacku w ciemnościach.

— To tak jak ja — przyznał Duncan. — Nie mamy jednak wyboru. Musimy to dalej ciągnąć. Jeśli Kelson będzie musiał zmierzyć się z Charissą pozbawioną mocy Briona —

nieważne w tej chwili, jakie jest jej źródło — umrze. To nie ulega wątpliwości. Z drugiej strony, sam rytuał inicjacji może być dla niego równie niebezpieczny. Jeżeli popełniliśmy błąd albo dopiero go za chwilę popełnimy, będzie to równoznaczne z oddaniem chłopca w ręce Charissy ze słowami: „Proszę bardzo. Dajemy ci go z naszym błogosławieństwem. Zawsze chcieliśmy, żebyś to ty rządziła Gwynedd”.

Odwrócił się i wyjął z komody bogato zdobioną stulę z brokatu, dotknął jej ustami i ułożył wokół ramion.

— Oczywiście — dodał, odwracając się twarzą do Morgana — nigdy się nie dowiemy, jeśli nie odważymy się spróbować — podszedł do świecy i osłonił dłonią płomień. — Jesteś gotów?

Morgan z rezygnacją wzruszył ramionami.

— Do dzieła więc — zdmuchnął płomień świecy i wyprowadził Morgana z zakrystii. —

Wiesz, to naprawdę śmieszne. Oto ja — ksiądz i czarnoksiężnik Deryni w jednej osobie. To już herezja. I mam właśnie pomóc wojownikowi i władcy Deryni w przekazaniu zakazanej mocy śmiertelnikowi, królowi Gwynedd. Chyba postradałem zmysły!

Kelson siedział w gabinecie z założonymi rękami, a jego i szare oczy wpatrywały się w rozmarzeniu w migoczący przed nim płomień świecy. Tuż przy niej połyskiwał łagodnym światłem Purpurowy Lew, leżąc na poduszczyce z czarnego aksamitu i rzucając migoczące cienie na ręce i twarz chłopca.

Jednak uwagi Kelsona nie pochłaniały teraz ani świeca, ani Lew. Bowiem doskonale zdawał sobie sprawę, że dotarli do punktu przełomowego, że cała jego przyszłość, a nawet to, czy uda mu się przeżyć noc, uzależnione były od jego postępowania w ciągu następnej pół

godziny.

Myśl ta nie była zbyt pocieszająca, lecz nie pozwolił, by się ulotniła i zapadła w ciszą nocną. Musi zmierzyć się z własnym lękiem. Brion powtarzał mu to wiele razy od najwcze-

śniejszego dzieciństwa. Nie ośmieliłby się cofnąć przed wyzwaniem, które przed nim stało.

Rozłożył ręce, splótł palce i oczyma wyobraźni ujrzał w płomieniu postać Morgana.

Morgan nigdy by się nie bał, gdyby to on był na jego miejscu. Kelson był pewny, że bez względu na niebezpieczeństwo, ten mądry i potężny lord Deryni nigdy by nie okazał, nawet najmniejszym gestem, jakiegokolwiek strachu. Nadzieje i lęki, które targają zwykłymi śmiertelnikami, nie miały dostępu do potomków Deryni.

A ojciec Duncan? On też by się nie bał. Poza tym, że był potomkiem Deryni, został

wybrany przez Boga, był jego kapłanem. Mając za sobą moc Deryni i moc Boga, jaka zła siła odważyłaby się go zaatakować? Będąc pod ochroną takich mężów, czy może spotkać go coś złego? Tylko jeśli pozwoli, by zwyciężył go strach...

Opuścił głowę i oparł podbródek na złożonych dłoniach, by z bliska przyjrzeć się bro-szce. To, co miał zrobić, nie będzie wcale trudne. Wyciągnął dłoń i odwrócił broszkę na drugą stronę tak, że widział teraz zapinkę. Z powrotem położył podbródek na dłoniach.

To, co miał zrobić, nie będzie wcale bolesne. Odniósł już rany podczas treningów, uległ też kilku wypadkom, które były znacznie bardziej dojmujące, aniżeli rana, jaką sobie zada złotą szpilką.

Nie wiedział oczywiście, co go czeka, gdy już spełni to zadanie. Sądząc z tego, co czytał, prawie wszystko może się zdarzyć. Ale skoro jego ojciec zaplanował ten rytuał, skoro chciał, by wszedł w posiadanie jego mocy, był pewny, że nic złego nie może mu się przytrafić. Nie miał wątpliwości, że Brion troszczył się o niego, nie — Brion kochał go.

Gratulował sobie w myślach, że udało mu się dojść do tak logicznych wniosków, gdy drzwi gabinetu otwarły się cicho i stanęli w nich Morgan i Duncan. Obaj mieli pewny siebie wyraz twarzy, zapewne, pomyślał, ze względu na niego. Wyczuł jednak, że za tym spokojem kryje się napięcie. Wiedzieli, że był zdenerwowany.

Wyprostował się i uśmiechnął, by pokazać, że już się nic boi.

Duncan wziął ze stołu lichtarz, uśmiechnął się i chcąc dodać Kelsonowi otuchy, poklepał go po ramieniu, po czym szybkim krokiem przemierzył pokój. Morgan przyglądał się Duncanowi, który uklęknął na klęczniku, a potem wziął do ręki broszkę i fiolkę z jasnozielonym płynem. Spojrzał na Kelsona.

— Duncan przygotowuje miejsce, mój książę — powiedział cichym głosem. — Jesteś gotów?

Kelson skinął głową i wstał.

— Jestem.

Duncan sięgnął ostrożnie pod pulpit klęcznika i wcisnął kilka ukrytych bolców. Część ściany ukryta za gobelinem gwałtownie się rozsunęła, wciągając za sobą gobelin. Po chwili znów wisiał nieruchomo na swoim miejscu. Duncan wstał, odsunął go i dał im znak, by weszli do środka.

Kaplica była bardzo mała, o połowę mniejsza od gabinetu, w którym przebywali. Gdy ściana zasunęła się za nimi, a Duncan trzymając w ręku świecę, przeszedł na drugą stronę pokoju, na bocznych ścianach i suficie ukazały im się freski przedstawiające sceny z życia różnych świętych. Aby przydać malowidłom świetności użyto złotej farby i wystarczyło tylko trochę światła, by przedstawione postacie jaśniały własnym blaskiem.

Ścianę za maleńkim ołtarzem pomalowano na ciemnogrnatowy kolor i rozjaśniono drobnymi połączanymi gwiazdkami. Nad ołtarzem zawieszono na delikatnych łańcuchach bogato zdobiony krucyfiks z kości słoniowej, który zdawał się płynąć na tle rozgwieżdżonego nieba. Gdy Duncan zapalił świecę na ołtarzu, w pokoju zrobiło się niemal jasno, bowiem płomienie świec odbijały się we wszystkich powierzchniach niczym w lustrach. Na lewo od ołtarza, pojedynczy płomień wiecznej

lampki zawieszanej na długim łańcuchu rzucał czerwone światło na krucyfiks.

Na środku kaplicy znajdowały się dwa małe klęczniki, które zajęli teraz Kelson i Morgan, podczas gdy Duncan pochylił głowę przed ołtarzem i zastygł w medytacji.

Morgan położył broszkę i fiolkę na podłodze, po czym zdjął pas wraz z mieczem i ruchem ręki dał Kelsonowi znak, by zrobił to samo. Nie był pewien, czy rzeczywiście było to konieczne, ale nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Tradycja nakazywała, by do Domu Boże-go wchodzić bez broni. Z pewnością nie bez powodu.

Gdy Kelson położył swój miecz na posadzce, Duncan skończył rozmyślać i podszedł do nich.

— Myślę, że możemy zaczynać — powiedział cichym głosem. Ukłękął na jednym kolanie obok Morgana i Kelsona. — Alaric, gdybyś mógł przygotować broszkę... — wskazał na fiolkę.

— A teraz posłuchaj, Kelsonie. Odmówię najpierw kilka modlitw, a ty i Alaric będziecie na nie odpowiadać. Następnie podejść do ciebie i dam ci specjalne błogosławieństwo.

Wreszcie podejść do ołtarza i powiem: „Panie, niech się stanie według woli Twojej.” A to będzie dla ciebie sygnałem.

Morgan przetarł płynem zapinkę i owinął ją kawałkiem ochronnego płótna.

— A co ze mną? — zapytał, biorąc lewą dłoń Kelsona i obmywając ją płynem z fiołki.

— Czy mam do spełnienia jakieś zadanie, czy tylko biernie się przyglądać?

Duncan potrząsnął głową.

— Nie. Cokolwiek się stanie, nie wolno ci go dotknąć, ani próbować mu pomóc w jakikolwiek sposób, zanim reakcja nie dobiegnie końca. Mamy tu do czynienia z nadzwyczajnym natężeniem mocy i jeśli będziesz próbować interweniować, może się to skończyć dla niego śmiercią.

— Rozumiem — odparł Morgan.

— To dobrze. Masz jakieś pytania, Kelsonie?

— Nie, ojciec.

— W porządku.

Duncan wstał i popatrzył przez chwilę na chłopca, a potem uśmiechnął się i złożył ukłon. Następnie odwrócił się i wspiął po stopniach wiodących do ołtarza.

Kelson przyglądał się wszystkiemu szeroko otwartymi oczami. Duncan przyklęknął, po-całował ołtarz, po czym doświadczone gestem kapłana rozłożył szeroko ramiona w modlitwie.

— *Dominus vobiscum.*

— *Et cum spiritu tuo.*

— *Oremus.*

Podczas gdy usta Duncana poruszały się w modlitwie, Morgan rzucił ukradkowe spojrzenie na klęczącego po prawej stronie Kelsona. Chłopiec wydawał się spokojny, bardzo młody i bardzo bezbrony. Morgan nie martwił się o siebie. Był pewny, że zarówno on, jak i Duncan mogli stawić czoła wszystkim złym siłom, które mogły zostać wyzwolone podczas rytuału. Jednak Kelson, zaledwie chłopiec, pozbawiony jakiegokolwiek obrony...

Być może, że jego obawy były nieuzasadnione, możliwe nawet, że błyszczące w prawym uchu chłopca Oko Rom i stanowiło wystarczające zabezpieczenie, jednak Kelson był

jeszcze taki młody, taki ufny. Morgan był zadowolony, że chłopiec nie wiedział nic o wątpliwościach, jakie gnębiły jego i Duncana. Powinni przekazać mu teraz jak najwięcej pewności siebie i ufności. Nie można dopuścić, by do jego umysłu wkradło się jakiegokolwiek zwątpienie.

Morgan na powrót skierował uwagę na ołtarz i zauważył, że Duncan kończył właśnie odprawianie modłów. Kapłan skłonił głowę, a następnie odwrócił się do nich.

— *Per omnia saecula saeculorum* — zaintonował.

Morgan i Kelson odpowiedzieli z powagą:

— Amen.

Duncan zszedł po stopniach i stanął przed klęczącym Kelsonem. Położywszy dłonie na głowie chłopca, przemówił cichym, lecz mocnym głosem.

— Kelsonie Cinhil Rhys Anthony Haldane. Mimo że piekło zastawia na ciebie swe sidła, mimo że krąży nad tobą śmierć, nie będziesz odczuwać strachu przed złem. Pan otoczy cię swymi skrzydłami, pod Jego skrzydłami znajdziesz schronienie — zrobił znak krzyża na czole chłopca. — *In Nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, Amen.*

Gdy chłopiec podniósł głowę, Duncan wziął od Morgana broszkę, zdjął z niej płótno chroniące zapinkę i podał broszkę chłopcu.

— Odwagi, mój książę — szepnął, po czym odwrócił się do ołtarza i raz jeszcze rozłożył ramiona.

— *Domine fiat voluntas tua!*

Nadszedł decydujący moment.

Ręce Kelsona zadrżały, gdy przyłożył złotą zapinkę do lewego ramienia tak, że szpilka dotykała jego skóry. Zawahał się tylko przez ułamek sekundy, przygotowując się psychicznie na ból, który musiał nastąpić.

Wreszcie zdecydował się.

Ból! Ogień! Udręka!

Nagle zraniona ręka zaczęła pulsować jakby własnym życiem, przekazując do jego mózgu dotkliwy ból, który niczym w ognistej kuźni wybuchał tysiącem iskier, podobny do oślepiającej bieli słońca, padającego wprost na nie osłonięte oczy. Czuł, jak piekący, a zarazem lodowaty ból, niczym sztylet przeszywa mu dłoń. Wydawało mu się, że trwa to całą wieczność. Czuł, jak pręt zapinki rozrywa ścięgna i mięśnie, czuł, jak przesuwają się pomiędzy małymi kosteczkami jego dłoni, aż wreszcie zobaczył wynurzający się po drugiej stronie ręki ciemniejszy teraz wierzchołek zapinki.

Zabrakło mu niemal powietrza, gdy broszka spoczęła wreszcie w jego dłoni, wpijając się w ciało. Cicho jęcząc, zgiął się wpół. Ręka pulsowała własnym rytmem. Przymknął mocno powieki, gdy wewnątrz głowy, przed jego oczami eksplodowało tysiące światła.

Morgan z trudem się powstrzymywał, by nie wyciągnąć ręki i uspokoić młodego władcy. Na twarzy chłopca była wyryta udręka, ból przenikał każdy mięsień drobnego ciała.

Nigdy nie wydawał się bardziej bezbronny.

Również Duncan odwrócił się, by popatrzeć na Kelsona. Jego ostre spojrzenie rzucone w stronę Morgana miało mu przypomnieć, by nie ośmielił się próbować pomóc chłopcu.

Gdy Kelson przykucnął, trzymając ranną dłoń na piersi, cała jego postać zaczęła promieniować bladym, upiornym światłem w złocistym odcieniu. Promieniowanie stało się bardziej intensywne i chłopiec przestał nagle jęczeć. Zamarł w bezruchu. Jego towarzysze przyglądali się w osłupieniu, jak oczy młodego króla zamrugały, otworzyły się i stały szkliste, wpatrując się w obrazy widoczne tylko dla nich.

Jasność ... ból... wirują ce kolory... pulsują cy ból... zimny i dreszcz — czego?... Ból zanika... lepiej teraz... chłodny ciężar na dłoni... Patrz!... Barwy... wirują ce... twarze... jasno, ciemno... światła blednie... twarze... robi się ciemniej... wirowanie... ciemność ... Ojczy!...

ciemność !... Ojczy... ciemność ...

— Ojczy, ciemność...

Nagle szczupłe ciało osunęło się miękko na posadzkę. Światło wokół niego zniknęło.

— Kelson! — krzyknął Morgan, gorączkowo odwracając twarz chłopca do światła i próbując wyczuć puls na tętnicy szyjnej. — Kelsonie, nic ci nie jest?

Duncan również przyklęknął przy nieruchomym cieł. Morgan znalazł wreszcie to, czego szukał. Z każdą chwilą puls stawał się silniejszy. Podniósł jedną z powiek chłopca żrenica reagowała na światło. Puls był coraz mocniejszy.

— „Bóg natchnął go swą mocą” — wyszeptał Duncan, robiąc znak krzyża. — „Nie umrze, lecz żyć będzie”.

Sięgnął po jego lewą dłoń i delikatnie usunął z niej broszkę z wizerunkiem Lwa, po czym białą chustką z jedwabiu owinął zranioną rękę.

— Myślisz, że poskutkowało? — zapytał Morgan, podnosząc głowę i ramiona chłopca i otulając go purpurową peleryną.

Duncan pokiwał głową. Wstał i zdjął z ramion stułę.

— Myślę, że tak. Za wcześnie, by stwierdzić to z całą pewnością, ale wszystko na to wskazuje — dotknął wargami stuły, a kierując się do tajemnych drzwi, rzucił ją na ołtarz. —

Jedna rzecz jest dość oczywista. Doświadczył czegoś więcej aniżeli tylko bólu wywołanego raną w rękę. A o to będziemy musieli zapytać już j e g o, gdy odzyska przytomność.

Gdy Duncan otworzył tajemne drzwi, Morgan wziął nieprzytomnego chłopca na ręce i jeszcze mocniej otulił go purpurową peleryną. Duncan podniósł leżące na posadzce miecze, omiół wzrokiem kaplicę, po czym odsunął gobelin, by ponownie znaleźć się w gabinecie.

Wkrótce udali się tajemnym przejściem w stronę apartamentów Kelsona.

— Nie rozumiem, jak mogli stąd wyjść, skoro ich nie widzieliśmy! — zapalił kandelabr przy łóżku Kelsona, po czym zwrócił się do dwóch pozostałych. — Miałeś pilnować, Lawrence.

Lawrence schował miecz, zsunął z ramion czarną pelerynę i ściągnął z głowy kaptur.

— Nie potrafię tego wyjaśnić, Panie. Nie widziałem, by ktokolwiek wchodził lub wychodził stąd tego popołudnia poza księciem i Jego Miłością, generałem Morganem — podszedł do kominka i czubkiem buta pogrzebał w kominku, a potem dorzucił kilka polan do gasnącego ognia.

— Gdyby się ktoś mnie pytał o zdanie — odezwał się trzeci — to jestem zadowolony, że ich tu nie ma. Nie jestem przekonany, czy to rzeczywiście taki dobry pomysł, by zaatakować lorda Alarica. J e s t przecież naszym Panem, któremu przysięgaliśmy wierność —

usiadł ostrożnie na krawędzi królewskiego łoża, próbując, czy jest wygodne, wstał jednak pośpiesznie, widząc ostre spojrzenie Lawrence'a.

— Myślicie, że jest stąd jakieś inne wyjście? — zapytał Lawrence, rozglądając się podejrzliwie po pokoju ze swojego miejsca przy kominku. — Doszły mnie pogłoski o tajemnych przejściach i tym podobnych. Myślicie, że wydostali się jednym z nich?

Edgar, który pierwszy się odezwał, zmarszczył brwi i zamyślił się. Chociaż pochodził

ze szlacheckiej rodziny i był jednym z wasali Morgana, nie wyróżniał się bystrością umysłu.

Dobrze spełniał swą rolę jako władca kresowy, był też znany jako świetny wojownik, jednak gdy sprawa wymagała przemyślenia, nie przejawiał specjalnych zdolności. W końcu przechylił głowę i pokiwał nią. Dobył miecza.

— Możliwe. A jeśli to prawda, to nadejdą tu lada chwila.

Gdy pełen podejrzeń zaczął przechadzać się po pokoju, wtykając ostrze miecza w każdy możliwy kąt, trzeci mężczyzna ostrożnie podszedł do kominka.

— Naprawdę myślicie, że lord Alaric, jak mówią, czarami opętał naszego młodego władcę? Wystarczy, że morduje ludzi króla, ale kiedy zagraża życiu samego władcy, to już zupełnie co innego.

— Oba uczynki są tak samo podłe! — odparował Edgar, niczym uwięzione zwierzę przemierzając pokój od ściany do ściany. — Nie może...

— Tsst! — zasyczał nagle Lawrence, podnosząc lewą rękę, by umilkli. — Chyba coś słyszę.

— Haroldzie, tam! — krzyknął Edgar, dając znaki mężczyźnie stojącemu pod ścianą po lewej stronie kominka.

Wszyscy trzej usłyszeli dochodzący zza ściany przy kominku odgłos, jakby ostrożnie stawianych kroków. Natychmiast wygasili płomień świecy i ukryli się w ciemnościach z bronią gotową do ataku.

Na ich oczach część ściany zaszurała, potem nieco wgłębiła się i odsunęła. W otworze pojawiło się przyćmione światło świecy, ukazując Morgana niosącego na rękach nieprzytomnego księcia, a za nim Duncana. Gdy tylko weszli, dostrzegli rozpalony w kominku ogień i wyczuli czyjąś obecność.

— Przeklęty! — zasyczał w ciemności głos Edgara. — Co zrobiłeś Jego Wysokości?

Dobycy broń, trzej mężczyźni, ukryci w stalowych hełmach i czarnych pelerynach, stanęli w jasnym kręgu światła i wyzywająco spoglądali na Morgana i stojącego obok Duncana.

— Nie masz nic do powiedzenia, potworze? — ciągnął z furią Edgar. — Broń się!

Rozdział dziesiąty

„Skąd d przychodzi łaska, a skąd cud?”

Słowa intruza wywołały natychmiastową reakcję. Duncan cisnął świecę na podłogę, by zduśić płomień, i zaraz potem rzucił Morganowi jego miecz. Ten zdążył już położyć nieprzytomnego chłopca na podłogę tuż u swoich stóp, a teraz jednym błyskawicznym ruchem dłoni dobył miecza. Stojący u jego boku Duncan wziął miecz Kelsona i przygotował się do walki.

Natychmiast najmłodszy z napastników zaatakował Duncana, spychając go w róg pokoju. Pozostali w dwójkę zaatakowali Morgana; jeden ciał rapierem, drugi dwuręcznym pałaszem; ich ciosy odbijały się od ostrza miecza Morgana niczym uderzenia młota w kuźni.

Po pierwszym starciu, Morgan z łatwością i spokojem zaczął odparowywać każdy cios swoich przeciwników. Nie interesowało go zanadto pokonanie napastników. Pilnował jedynie, by zawsze ustawiać się między nimi a wciąż jeszcze nieprzytomnym Kelsonem. W jego lewej ręce pojawił się znów wysmukły sztylet, którym skutecznie odpierał rzadkie ciosy rapiera. Sztylet okazał się jednak bezskuteczny w walce z pałaszem, którego ciosy spadały nań gęstym deszczem.

Nie mógł też rozpocząć na dobre walki ofensywnej. Pod żadnym bowiem pozorem nie chciał przystąpić do ataku, jeśli miało to oznaczać pozostawienie Kelsona bez jakiejkolwiek ochrony. Nie był całkiem pewny, o kogo im chodziło, a nie mógł ryzykować życia chłopca tylko po to, by się dowiedzieć. Jeden rzut oka wystarczył, by się przekonać, że może polegać tylko na sobie.

Zepchnięty w róg pokoju, Duncan sam musiał radzić sobie z trudną sytuacją. Miecz Kelsona był krótszy i lżejszy niż te, do których był przyzwyczajony. W rezultacie walczył na straconej pozycji: ostrzem za krótkim i za lekkim przeciw mężczyźnie, który przewyższał go wagą, siłą, zasięgiem, a i latami doświadczeń.

Duncan biegle władał bronią. Jako potomek arystokratycznego rodu wychował się w tradycji szlacheckiej walki, w której wraz z upływem lat nabierał coraz większego doświadczenia. Jednak walka, którą teraz toczył, nie była równa. Dysponował jedynie tym śmiesznie małym mieczem, nie chroniła go nawet kolczuga. Rzadko kto rzucał się na księdza z bronią, szczególnie na księdza noszącego tytuł Monsignora.

Nie zrażony, czekał, aż napastnik się odsłoni — i udało się!

Najwidoczniej jego przeciwnik również dostrzegł swoją przewagę i w rezultacie rozle-niwił się, odpowiadał na ciosy Duncana wolniej, niż wymagała tego sytuacja.

Przypłacił to życiem. W tym samym momencie, kiedy zrozumiał swój błąd, ostrze Duncana trafiło go prosto w serce. Upadł na podłogę ze zdziwionym wyrazem twarzy, a po chwili był martwy.

Porzuciwszy zakrwawiony miecz Kelsona, Duncan usiłował dojrzeć w panujących dokoła ciemnościach, którego z przeciwników Morgana powinien najpierw unieszkodliwić.

Decyzja nie była trudna. Jeśli Morgan będzie musiał odeprzeć jeszcze kilka ciosów dwuręcznego pałasza, wynik będzie łatwy do przewidzenia.

Skradając się za mężczyzną z pałaszem, Duncan wyciągnął przed siebie złożone dłonie, a następnie powoli je rozdzielił. Gdy to uczynił, w powietrzu uniosła się ognista kula o zielonym odcieniu, która powędrowała dokładnie w kierunku głowy walczącego pałaszem męż-

czynny. W zetknięciu z hełmem utworzyła ognisty łuk barwy zielonej. Mężczyzna wydał z siebie krzyk, po czym zamroczony osunął się na posadzkę. Upadek tak wyprowadził jego towarzysza z

równowagi, że Morgan bez trudu go rozbroił i osaczył.

Zza drzwi doszły ich odgłosy nadchodzącej straży, rozległo się walenie w drzwi oraz przerażone krzyki, gdy odkryto, jaki los spotkał strażników pokonanych przez trzech intruzów. Walenie w drzwi stało się natarczywe.

— Panie! — wołał głos, wznosząc się ponad panujący na korytarzu zgiełk. — Panie, nic ci nie jest? Generale Morgan, co się dzieje? Otwórzcie drzwi albo będziemy musieli je wyważyć!

Morgan ponaglająco wskazał ostrzem miecza na swojego jeńca i przesunął się w kierunku drzwi. Duncan skinął głową. Zanim mężczyzna zdążył zareagować, Duncan znalazł się obok niego i dotknął jego czoła, wypowiadając jednocześnie cichym głosem rozkaz. Oczy mężczyzny przybrały nieobecny wyraz, opuścił luźno ręce, nie próbując dalej stawiać oporu.

— Nie widziałeś mnie — wyszeptał Duncan, zaglądając mu głęboko w oczy. —

Widziałeś tylko księcia i Jego Miłość. Rozumiesz?

Mężczyzna powoli przytaknął.

Duncan puścił jego dłoń i zaczął się wycofywać w stronę drzwi balkonowych, skinieniem głowy dając znak Morganowi. Był pewny, że mężczyzna go nie wyda. W przeciwnym razie byłoby mu raczej trudno wytłumaczyć swoją obecność w pokoju księcia o tak późnej porze.

Gdy Morgan odsuwał zasuwę w drzwiach, jego sztylet znalazł się z powrotem ukryty w rękawie. Usłyszał cichy jęk dochodzący z kąta, w którym leżał chłopiec — niewątpliwy znak, że Kelson odzyskiwał przytomność. Stał na środku pokoju i przesłał Kelsonowi energię, która miała mu dać poczucie siły i pewność siebie. Drzwi gwałtownie się otwały i pokój zapełnił się uzbrojoną strażą.

Kapitan — ten sam, którego spotkali już wcześniej w ogrodzie — rozglądał się po pokoju, podczas gdy jego ludzie zajęli się więźniem generała. Następnie podszedł z obnażonym mieczem do Morgana.

— Nie ruszaj się ze swojego miejsca, generale Morgan. Rzuć broń — rozkazał, śledząc mieczem każdy ruch, jaki robił wysoki, jasnowłosy lord. — Gdzie jest Jego Królewska Wysokość?

Morgan nie musiał się rozglądać, by się przekonać, że jest otoczony i trudno mu będzie uzyskać przewagę. Wzruszywszy ze skrucną ramionami, rzucił miecz na posadzkę, odwrócił

się i podszedł do miejsca, gdzie leżał Kelson. Nikt nie próbował go zatrzymać, gdy uklęknął przy boku chłopca.

— Dobrze się czujesz, mój książę? — zapytał, pomagając mu wstać.

Kelson słabym ruchem głowy przytaknął i wsparł się na jego ramieniu.

— Nic mi nie jest — powiedział półgłosem, jednocześnie głęboko oddychając, by odzyskać równowagę. — Nie przywykłem po prostu, by ktoś na mnie napadał podczas snu.

Rozejrzał się po pokoju, w sekundzie ocenił sytuację i instynktownie wyczuł, że w tym momencie nie należy mówić jeszcze prawdy. Ci ludzie i tak niczego by nie zrozumieli. W tej chwili najlepiej zdać się na Morgana.

Zaczerpnął jeszcze jeden głęboki oddech i zwrócił się do kapitana.

— Jak ci ludzie się tu dostali, kapitanie?

Kapitan natychmiast przyjął postawę obronną.

— Nie wiem, Panie. Najwidoczniej pokonali straż stojącą przy drzwiach. Jest trzech zabitych i co najmniej czterech ciężko rannych.

Kelson pokiwał głową. Było jasne, co się stało.

— Rozumiem. Morganie, kim są nasi napastnicy?

Morgan podszedł do pozostałego przy życiu mężczyzny i zdjął z jego głowy hełm i maskę. Twarz, która im się ukazała, przybrała pochmurny wyraz.

— Lord Edgar z Mathelwaite! — krzyknął Kelson .

— Czy to niejeden z twoich wasali, generale Morgan? — zapytał kapitan, a jego miecz znów znalazł się na wysokości j pasa.

Morgan wyczuł w jego głosie groźbę, więc gdy odwrócił się, by odpowiedzieć na pytanie, starał się trzymać ręce przed sobą.

— Tak, to mój człowiek, kapitanie — odwrócił się i spojrzał na Edgara. — Czy mógł-

byś nam wyjaśnić o co tu chodzi, Edgarze? Ufam, że kierują tobą bardzo ważne powody, skoro dopuszczasz się zdrady króla.

Edgar zmieszał się i z wyrazem winy na twarzy popatrzył na Kelsona.

— Myśmy jedynie słuchali rozkazów, Wasza Miłość.

— Czyich rozkazów, Edgarze?

Edgar bardzo się speszył.

— T...twoich rozkazów, Panie.

— M o i c h rozkazów?

— Morgan kazał wam zabić króla? — wykrzyknął z oburzeniem kapitan, przykładając miecz do gardła Morgana.

— Dosyć tego! — rozkazał Kelson. Chwycił miecz kapitana i odrzucił go na bok. —

Lordzie Edgarze, może powiesz nam dokładniej, o co tu chodzi.

Edgar przestępował z nogi na nogę, w końcu padł na kolana, pochylił głowę i w błagalnym geście rozłożył ręce.

— Proszę, Panie, wybac mi! — jęczał. — Nie chciałem tego zrobić. Nikt z nas nie chciał. To lord Alaric nam kazał. On. On ma władzę nad ludźmi. Może kazać ludziom zrobić wszystko. On...

— Przestań! — uciął Kelson, a jego oczy błysnęły złowroźnie.

— Panie — błagalnym głosem wtrącił kapitan, starając się podejść bliżej Morgana. —

Pozwól mi go aresztować, p r o s z ę! Teraz już w i e s z, że wszystko, co o nim mówiono, jest prawdą, że jest mordercą, potworem, że...

— Ten człowiek kłamie — oświadczył Kelson, patrząc na kapitana swoim zimnym wzrokiem Haldańczyka. — Morgan nie jest zdrajcą!

— Panie, przysięgam ci — zaczął Edgar z przerażeniem i błaganiem w oczach.

— Zamilcz!

W pokoju zapadła cisza. Słysząc było tylko chrapliwy oddech Edgara i równomierny, głęboki oddech Kelsona. Chłopiec spojrział w bok na Morgana, czekając na jakiś znak, lecz ten potrząsnął jedynie niepostrzeżenie głową. Musi więc sam wyciągnąć ich z tarapatów.

Cokolwiek teraz zrobi czy powie Morgan, może jedynie pogorszyć sytuację.

Zwrócił się do Edgara.

— Wstań.

Potem powiódł wzrokiem po twarzach obecnych.

— Wszyscy myślicie, że Morgan jest kłamcą, zgadza się? Jesteście także przekonani, że go chronię, że oszukał mnie, tak jak teraz próbuje oszukać was — spojrział na Edgara. — Ale ja twierdzę, że to ten człowiek kłamie. Jestem przekonany, że Morgan nigdy nikomu nie kazałby targnąć się na moje życie. Złożył przysięgę mojemu ojcu, a jest człowiekiem honoru.

Spojrział mu prosto w oczy i ciągnął dalej.

— Edgar kłamie i powinniśmy ustalić, dlaczego to robi i dla kogo. Mógłbym poprosić Morgana, by

go przesłuchał. Wszyscy wiecie, że posiada wielką moc i że mógłby zmusić tego człowieka do mówienia prawdy. Ponieważ mu jednak nie ufacie, zawsze moglibyście podejrzewać, że dyktuje odpowiedzi.

Przestał patrzeć na Morgana i podszedł do Edgara. Wokoło zapanowała cisza, gdy spojrzał na oskarżonego.

— Panowie, jestem synem mego ojca przynajmniej pod tym względem, że umiem rozpoznać kłamstwo. Ja też potrafię zmusić każdego do mówienia prawdy!

Popatrzył mu w oczy.

— Lordzie Edgarze z Mathelwaite, spójrz na mnie — rozkazał. — Kim jestem?

Zdawało się, że Edgar nie może oderwać od niego wzroku. Morgan patrzył z podziwem i zaskoczeniem. Duncan nauczył chłopca sztuki czytania myśli!

— Kim jestem? — powtórzył.

— Jesteś księciem Kelsonem Cinhil Rhys Anthony Haldańczykiem, prawowitym następcą mojego władcy, króla Briona — oświadczył spokojnym głosem Edgar.

— A kto to jest? — zapytał, wskazując na Morgana.

— Generał Alaric Anthony Morgan, mój suzeren, Panie.

— Rozumiem — powiedział, a jego oczy zwięzły się, gdy próbował się bardziej skoncentrować. — Lordzie Edgarze, czy otrzymałeś od Morgana rozkaz, by mnie zabić?

Edgar odrzekł bez wahania.

— Nie, Panie.

Wśród straży nastąpiło niejakie poruszenie. Przez pokój przebiegł pomruk. Kapitan patrzył z niedowierzaniem.

— A więc kto kazał ci mnie zabić, lordzie Edgarze?

Oczy Edgara rozszerzyły się, jakby wewnątrz niego rozgrywała się jakaś walka. W końcu przemógł się.

— Nie przyszliśmy tu zabić ciebie, Panie, ale lorda Alarica! Tak też powinni umrzeć wszyscy mordercy, którzy w ciemnych miejscach napadają na bezbronnych!

Wyrwał się pilnującym go strażnikom i rzucił Morganowi do gardła. Ten był jednak szybszy, odsunął się, chwycił go i oddał w ręce straży. Napastnik próbował jeszcze walczyć, ale Kelson podniósł rękę

i zapadła cisza.

— Wyjaśnij to, Edgarze — zażądał oschle, podchodząc do więźnia. — Kto napada na bezbronnych w ciemnych miejscach? O czym ty mówisz?

— On wie, o czym mówię! — zasyczał. — Zapytaj go, jak młody Michael DeForest wyzionął ducha zabity jego sztyletem, gdy pełnił służbę w ciemnych zakątkach pałacu. Zapytaj, czy wie, że spartaczył robotę, bo młody DeForest miał jeszcze dość siły, by własną krwią wymalować na posadzce znak mordercy: Gryf Corwynu!

— Co? — wykrztusił kapitan.

W pokoju znów rozległy się rozmowy, tym razem głośniejsze. Oniemiały Kelson ponownie zwrócił się do Morgana.

— Czy wiesz, o czym on mówi? — szepnął chłopiec.

Dyskusje umilkły, wszyscy chcieli usłyszeć, co miał do powiedzenia generał. Skierowano na niego tuzin mieczy, a gdy przebrzmiały słowa oskarżenia, obręcz wokół zacieśniła się.

Morgan potrząsnął głową.

— Pytaj dalej, Kelsonie. Nie mam pojęcia, o czym. mówi.

— Oczywiście, że nie masz — mruknął jakiś głos.

Kelson rzucił ostre spojrzenie w stronę, skąd dobiegła owa uwaga, po czym zwrócił się ponownie do Edgara, zaglądając mu głęboko w oczy.

— Lordzie Edgarze, skąd wiesz, że to prawda?

Edgar uspokoił się pod jego spojrzeniem.

— Na własne oczy to widziałem. Panie. Lord Lawrence, Harold Fitzmartin i ja, wszyscy widzieliśmy.

— Widzieliście morderstwo, czy tylko ciało? — nie dawał za wygraną Kelson.

— Ciało.

Zmarszczył brwi i przygryzł w zamyśleniu wargę.

— A jak się o tym dowiedzieliście?

— My... nam...

— Mów — rozkazał.

— Nam... nam powiedziano, żebyśmy poszli w to miejsce — niechętnie wymamrotał

Edgar.

— A kto wam to powiedział? — nalegał. — Kto wiedział o tym i kazał wam tam pójść?

Edgarem wstrząsnął dreszcz.

— Proszę cię, Panie, nie zmuszaj mnie...

— *Kto kazał wam tam iść?* — nie ustępował Kelson, a jego oczy nabrały wewnętrznego blasku.

— Panie, ja...

Nagle, zanim ktokolwiek mógł go zatrzymać, Edgar wyrwał się i gwałtownym ruchem wyszarpnął zza pasa jednego ze strażników sztylet. Morgan, przeczuwając co nastąpi, rzucił

się w jego kierunku, od razu jednak wiedział, że nie uda mu się niczemu zapobiec.

Zanim jego dłonie dotknęły Edgara, było już za późno. Sztylet tkwił już głęboko w brzuchu mężczyzny. Zgiął się wpół i zaczął obsuwać na posadzkę. Morgan i zaskoczeni straż-

nicy położyli ciało na podłodze. Kapitan w przerażeniu patrzył na to, co się stało.

— On wolał sam sobie zadać śmierć, aniżeli mówić, Panie — szepnął kapitan, spoglądając z przestachem na generała. — Jakaż nieludzka moc mogła sprawić, że...

— Zabierzcie go stąd! — rozkazał szorstko Kelson. — I zabierzcie też jego przyjaciół.

— Nie chcemy, by nam ktokolwiek jeszcze przeszkadzał tej nocy.

Odwrócił się, gdy straż zaczęła się zbierać do wyjścia. Był świadomy tego, że co najmniej kilka par przerażonych oczu śledzi każdy jego ruch. A tymczasem strażnicy zaczęli pobieżnie przeszukiwać resztę pokoju. Morgan stanął z boku, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. Po chwili wymknął się na korytarz.

Derry, niech mu Bóg dopomoże, gdzieś musi tu być. Jeśli wykonywał rozkazy, a w to nie wątpił, to z pewnością był wśród strażników obezwładnionych przez tych trzech intruzów.

Trzech zabitych i co najmniej czterech ciężko rannych, powiedział kapitan. Oby tylko Derry był jeszcze między żywymi.

Korytarz przedstawiał miejsce kaźni. Wszędzie leżały porzucane ciała: niektóre martwe, inne otoczone przez strażników lub chirurgów, albo jednych i drugich. Straż wynosi-

ła dwa ciała, ale żadne z nich, jak stwierdził, nie było ciałem jego towarzysza.

Zaniepokojony szukał pomiędzy splątanymi ciałami, aż nagle pod ścianą dostrzegł skrawek znajomej błękitnej peleryny. Gdy podszedł bliżej, chirurg, który właśnie badał ranę w boku mężczyzny leżącego pod peleryną, wstał i z przygnębieniem zwrócił się do Morgana.

— Przykro mi, ale obawiam się, że nic już nie mogę zrobić dla tego człowieka, Panie —

oświadczył, potrząsając głową. — Umrze w ciągu pani minut. Lepiej zrobię, jeśli zajmę się tymi, którym można jeszcze pomóc — odwrócił się szybko, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, kim był ów pacjent.

Morgan przyklęknął obok nieruchomego ciała i odsunął pelerynę, która częściowo zakrywała twarz leżącego. To był Derry.

Gdy na niego patrzył, dotykał jego ręki, przypominał sobie słowa kobiety w szarej sukni. *Zapłacisz mi... A dokonam tego, niszczą c wszystkich, których kochasz, po kolei, bez poś piechu...*

Najpierw Brion, potem lord Ralson, młody Colin z Fianny, jego ludzie. A teraz odchodził Derry. A on nie mógł w żaden sposób temu zapobiec, w żaden...

Ujął rękę Derry'ego w nadgarstku, podniósł powiekę. Jeszcze żył, ale życie uchodziło z niego z każdą minutą.

Miał ranny bok, pewnie uszkodzoną śledzionę i Bóg wie, co jeszcze. Tętnice też musiały być rozerwane, bo z każdym skurczem serca z rany wytryskała jasnoczerwona krew.

Wyjął z rękawa chusteczkę i przycisnął ją mocno do rany, próbując zatamować krew, wiedział jednak, że wysiłek ten był daremny. Gdyby tylko mógł coś zrobić, gdyby siłą woli mógł to wszystko zmienić tak, jakby nic i nigdy się nie wydarzyło. Gdyby mógł znaleźć w sobie jakąś moc, jakąś zdolność uzdrawiania...

Nagle, zdziwiony, wyprostował się. Przyszła mu do głowy pewna myśl. Dawno temu czytał gdzieś o takiej uzdrawiającej mocy, którą niektórzy spośród Deryni rzekomo posiadali.

Kiedyś, w zamierzchłych czasach praktykowano tę sztukę.

Nie. Ci, którzy to potrafili, byli czystej krwi Deryni, rozporządzali całym arsenałem jej mocy, a nie tak jak on — krwi mieszanej. Czasy też były inne, ludzie wierzyli w cuda, a i też o wiele prościej można było władać Mocami Dobra. Jakże mógłby się ośmielić?

A jednak, Derry nie będzie miał żadnej szansy przeżycia, jeśli on, Morgan nie podejmie choćby próby przywołania owych mocy z dalekiej przeszłości. Tylko Bóg wie, jak tego dokonać...

Musi spróbować.

Położył delikatnie dłonie na czole Derry'ego i, posługując się, jak to już zrobił wcze-

śniej, swoim sygnetem z wizerunkiem gryfa, zaczął się koncentrować, by — jak tylko to możliwe — oczyścić swój umysł z myśli i wyciszyć się.

Przymknął oczy, koncentrując się na przywołaniu owej uzdrawiającej mocy, której teraz poszukiwał, a dzięki której Derry byłby cały i zdrow. W korytarzu, gdzie właśnie się znajdował, było chłodno, lecz jego twarz cała była zlane potem, który kroplami kapał z jego brody.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że ciepłe krople potu spadają na jego dłonie.

I wtedy właśnie się to wydarzyło. Przez ułamek sekundy poczuł na swoich dłoniach jakby drugą parę rąk, jakby wypełniła go czyjaś obecność, która przelała życie i siłę w nieruchome ciało leżące pod jego dłońmi.

Był oszołomiony, otworzył oczy. Z ust Derry'ego wydobyło się głębokie westchnienie.

Jego powieki zadrżały, a oddech stał się oddechem osoby pogrążonej w głębokim śnie.

Urzeczony, zdjął dłonie z czoła młodzieńca i sięgnął po chustkę zakrywającą ranę.

Przez chwilę się zawahał, obawiając się, że czar pryśnie, wreszcie ostrożnie ją usunął.

Żadnej rany nie było, zagoiła się, zniknęła — bez jakiegokolwiek śladu blizny! Morgan z niedowierzaniem wpatrywał się w swoje ręce, potem pośpiesznie sprawdził zabandażowany nadgarstek Derry'ego — on też był zagojony! Kołysał się na piętach, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie się stało.

Nagle zza pleców doszedł go mrożący krew w żyłach głos, który sprawił, że włos zjeżył mu się na karku.

— Dobra robota, Morgan! — ktoś powiedział.

Rozdział jedenasty

Syn podąż y ś ladami Ojca.

Morgan wykonał obrót na piętach, nieświadomie oczekując, że zobaczy twarz, która ukazała mu się wcześniej w bibliotece.

Osoba, która podeszła do Morgana, nie była jednak jasnowłosą postacią świętego Cambera, lecz zadowolonym z siebie Branem Corisem. Wraz z nim był Ewan, Nigel, Ian oraz dwudziestu innych dworzan i arystokratów śpieszących na miejsce niedawnej rzezi. Za nimi nadeszł, rozwścieczona Jehana w towarzystwie dam dworu. Pierwszy pojawił się Bran Coris.

— Tak, świetnie się spisales! — ciągnął. — Wreszcie dokończyłeś swe dzieło, mam rację? Jesteś teraz jedyną pozostałą przy życiu osobą, która wie, co naprawdę się wydarzyło podczas długiej drogi

do Rhemuth!

W międzyczasie do Brana dołączyli pozostali, stając za jego plecami tworząc spore zgromadzenie. Morgan wstał ostrożnie, wreszcie zreflektował się i zmusił do udzielenia grzecznej odpowiedzi.

— Przykro mi, że muszę cię rozczarować, lordzie Bran — odciął się, dając jednocześnie jednemu z chirurgów znaki, by zaopiekował się Derrym. — Ale on żyje. Stracił przytomność, ale nie jest ranny. Niewątpliwie nastąpiło jakieś przeoczenie ze strony tego, kto wyreżyserował to małe przedstawienie. — Nie zamierzał przyznawać się do swego nowo odkrytego talentu. Mogłoby to tylko wzbudzić więcej strachu i animozji.

Jehana utorowała sobie drogę wśród tłumu i zatrzymała się między lordem Ewanem a zawsze eleganckim Ianem. Morgan nie pamiętał, by kiedykolwiek wyglądała piękniej; jej długie, kasztanowe włosy rozsypały się na plecach. Żałował, że nigdy nie udało mu się pogodzić z dumną królową. Na nocny strój narzuciła jasnofiołkową pelerynę, której wąski kołnierz był

wysadzany kamieniami z pierścienia Briona.

— Jej Królewska Wysokość — złożył ukłon, chcąc uniknąć dalszych starć. — Przykro mi, że powstało takie zamieszanie, tym bardziej, że jest bardzo późna pora. Nie moja to jednak wina.

Twarz Jehany skamieniała, a jej oczy błyszczały niczym zielone sople lodu.

— Nie twoja wina? Morganie, czy uważasz, że jestem aż tak głupia? Sądzisz, że nie wiem o strażniku, którego zabiłeś w moim własnym domu? Jesteś mi winny wyjaśnienia, zanim każę cię aresztować i stracić za popełnienie morderstwa!

W tym momencie w drzwiach pojawił się Kelson. Wydawał się bardzo zmęczony i wyczerpany, ale gotowy na wszystko.

— Już wyjaśniliśmy sobie tę sprawę, matko — powiedział cichym głosem, wychodząc z pokoju i stając u boku Morgana. — I nie będzie żadnych aresztowań czy egzekucji bez mojego wyraźnego rozkazu. Czy to jasne?

Na jego widok wszyscy, prócz Jehany, ukłonili się z szacunkiem. Chłopiec ze stoickim spokojem zniósł ich pytające spojrzenia.

— Panowie, zastanawiacie się zapewne nad dzisiejszą próbą targnięcia się na mnie. Ja również — ciągnął spokojnie. — I bez wątplenia wszystko to w szczegółach zostanie w swoim czasie wyjaśnione — powiódł wzrokiem po zgromadzonych. — Ale ostrzegam. Jakakolwiek próba zakłócenia mi spokoju w ciągu następnych kilku godzin przed koronacją zostanie potraktowana jako zdrada. Nie będę tolerować żadnych dalszych dyskusji dotyczących lojalności Morgana czy też słuszności mojego sądu. Czy wyrażam się dość jasno? Ośmielcie się mi sprzeciwić, a przekonacie się, że mój ojciec nauczył mnie, jak sprawować władzę w Kró-

lestwie Gwynedd.

Wszyscy skłonili głowy w dowód uznania, wszyscy, z wyjątkiem Jehany, która postanowiła tak łatwo nie rezygnować i przeszła go pełnym wściekłości wzrokiem.

— Czy sprzeciwisz mi się w tak istotnej sprawie, Kelsonie? — wyszeptała. — W czymś, o czym wiem na pewno, że jest złe?

Kelson nie ustępował.

— Wróć do swych pokojów, matko, proszę. Nie chcę się z tobą sprzeczać przed całym moim dworem.

A gdy nie odpowiedziała, Kelson zwrócił się do kapitana, który właśnie zakończył przeszukiwanie królewskich apartamentów i ustawiał swych ludzi pod drzwiami.

— Kapitanie, udaję się na spoczynek, już po raz drugi. Czy możesz dopilnować, by nikt mi nie przeszkadzał? Generał Morgan zostanie ze mną.

— Tak jest, Wasza Królewska Wysokość — kapitan j stanął na baczność.

— A was, Panowie, i ciebie matko — ciągnął Kelson — spotkam wszystkich rano.

Tymczasem proponuję, żebyśmy wszyscy trochę odpoczęli. Jutro czeka nas długi dzień.

Odwrócił się i wszedł do swej sypialni, a za nim podążył Morgan. Drzwi zatrzasnęły się nieodwołalnie.

Po chwili wahania królowa z rezygnacją udała się do swoich apartamentów, Ian natomiast, podążając za grupą lordów i dworzan, dał strażnikowi znak, by poszedł za nim.

Gdy zamknięto drzwi na rygiel, Kelson ze zmęczenia osunął się na podłogę, próbując jeszcze uczepić się peleryny generała. Morgan podniósł go i z ponurym wyrazem twarzy zaniósł do królewskiego łóża. Duncan mógł wreszcie wyjść ze swojego ukrycia na balkonie.

— Hmm, zimno tam — stwierdził, chuchając i pocierając dłonie. — A co z nim?

— Nic mu nie będzie — odrzekł Morgan, rozluźniając mu kołnierzyk i rozwiązując czerwoną aksamitną pelerynę. — Dużo go jednak kosztowało to przebudzenie. Mówiłeś, że będzie spać aż do rana.

Duncan dotknął czoła chłopca, po czym zaczął rozwijać z bandażu skaleczoną dłoń.

— Dobrze jednak, że tak się nie stało. Trudno by ci było wytłumaczyć się przed strażą.

Już i tak nie było to zbyt proste.

Obejrzał rękę, chrząknął z zadowoleniem i znów ją zabandażował. Morgan rozpiął i zdjął mu

pelerynę, po czym uniósł go tak za ramiona, że Duncan ściągnął z niego kubrak. W

tym momencie Kelson otworzył oczy.

— Morgan? Ojciec Duncan? — zapytał słabym głosem.

— Jesteśmy przy tobie, książę — odparł Morgan, kładąc chłopca na poduszkach.

Kelson odwrócił głowę w stronę generała.

— Morganie, jak wypadłem? — zapytał ledwie słyszalnym głosem. — Obawiam się, że byłem nieco pompatyczny.

— Bardzo dobrze sobie poradziłeś — uśmiechnął się Morgan. — Brion byłby z ciebie dumny.

Kelson uśmiechnął się słabo i zapatrzył w sufit.

— Widziałem go, Morgan. I słyszałem jego głos... zanim... Zawołał mnie po imieniu, a potem... — odwrócił głowę w stronę Duncana. — To było tak, jakby spowijał mnie jedwab albo jakaś materia utkana ze światła słonecznego, nie, z księżycowego. I był tam ktoś jeszcze, ojciec Duncanie. Mężczyzna z promieniującą twarzą i złotymi włosami, ale to nie byłeś ty, Morganie. Pamiętam, że byłem przestraszony, a wtedy...

— Cicho teraz, mój książę — powiedział Morgan i dotknął dłonią czoła chłopca. —

Musisz teraz zasnąć i odpocząć. Śpij, mój książę. Będę w pobliżu.

Gdy to mówił, powieki Kelsona zamrugały, a w końcu się zamknęły i jego oddech znów był oddechem kogoś pogrążonego w głębokim śnie. Morgan uśmiechnął się i pogładził zmierzwione włosy chłopca, a potem pomógł Duncanowi zzuć buty. Okrywszy go kołdrą, Duncan zdmuchnął wszystkie świece przy jego łóżu, zostawiając tylko jedną, po czym podążył za Morganem w stronę kominka.

Morgan oparł się o półkę nad kominkiem i wpatrywał w płomienie u swoich stóp.

— Coś dziwnego się dzieje — szepnął, gdy Duncan znalazł się tuż za nim. — Jestem skłonny się założyć, że wiem, czyją twarz zobaczył Kelson podczas rytuału.

— Świętego Cambera? — upewnił się Duncan. Odsunął się parę kroków i założył ręce do tyłu, a Morgan podniósł głowę i zmęczoną ręką przetarł oczy.

— Tak — odpowiedział. — Jest jeszcze jedna rzecz, która zmrozi ci krew w żyłach.

Derry leżał ranny na korytarzu. Był bliski śmierci, gdy go znalazłem. Miał w boku dziurę tak dużą, że zmieściłoby się w niej pięść. A ja go uzdrowiłem!

— *C* o takiego zrobiłeś?

— Wiem, że brzmi to dziwnie — ciągnął Morgan. — Ale jak przez mgłę przypomnia-

łem sobie o uzdrawiającej mocy, którą w zamierzchłych czasach podobno posiadali niektórzy spośród Deryni. Kierowała mną jakaś szalona nadzieja, coś, sam właściwie nie wiem, co to było. Ale musiałem spróbować. Nie sądziłem, że odniesie to jakiś skutek. Wydawało się to niemożliwe po tylu latach, skoro tylko w części jestem Deryni, który nigdy nawet nie mógł w pełni wykorzystać tej mocy, którą p o s i a d a, nie mówiąc już o...

W każdym bądź razie, musiałem spróbować. Jako punkt koncentracji posłużył mi gryf, tak jak wcześniej w bibliotece, gdy szukałem jakiejś wskazówki. Trzymałem dłonie na jego czole, powieki miałem przymknięte. A wtedy poczułem w sobie czyjąś obecność, drugą parę rąk spoczywającą na moich dłoniach, moc, która przeze mnie przepływała, jednak nie pochodziła ode mnie.

Przerwał i zaczerpnął głęboko powietrza.

— Duncanie, przysięgam na wszystko, co święte, nigdy nie widziałem niczego podobnego. Gdy przerażony otwarłem oczy, wierz mi, Derry zaczął oddychać zupełnie normalnie, jakby po prostu spał! Zdjąłem chustkę z rany, a jej tam nie było! Zniknęła bez śladu!

Duncan wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

— Przysięgam, Duncanie — mówił już właściwie do siebie. — Był całkiem z d r ó w, bez śladu blizny. Nawet jego nadgarstek był zagojony. Ja... — zająknął się. — Ty jesteś ekspertem od tego, co nadprzyrodzone, ojczy. Może mógłbyś mi wyjaśnić, co się właściwie zdarzyło.

Duncan odzyskał przytomność umysłu na tyle, by zamknąć usta, w końcu z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Nie potrafię tego wyjaśnić, Alaric. Ty... myślisz, że kryje się za tym ta sama postać, która ukazała ci się w bibliotece?

Morgan potarł ręką brodę i pokręcił głową.

— Nie wiem. Ale wygląda to tak, jakby ktoś sugerował mi coś, nad czym nie mam żadnej kontroli. Dotychczas były to dobre pomysły, ale... niech to, Duncan. Może r z e c z y-w i ś c i e wspiera nas Camber z Culdi. W tej chwili jestem gotów uwierzyć we wszystko, chociażby było to najmniej prawdopodobne — podszedł do drzwi balkonowych i odsunawszy zasłony, przystanął, patrząc na pogrążone w mroku miasto. — Cóż w końcu mogą wiedzieć tacy Deryni jak my?

Duncan również podszedł do drzwi i podążył za wzrokiem Morgana.

— Z pewnością istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie, Alaric. Może wszystko się wyjaśni, gdy skończy się ta walka o władzę.

Morgan pokiwał głową.

— W porządku. Możesz to tak potraktować, skoro chcesz. Mam inny problem. Czy dziś wieczór nie

innego cię nie zastanowiło?

— Masz na myśli napad lorda Edgara czy jego pokrętne oszczerstwa?

— Ani jedno, ani drugie — odparł. — Byłem zaskoczony, że Kelson zna sztukę czytania myśli. Mogłeś mi powiedzieć, że go tego nauczyłeś. Oszczędziłoby mi to dużo zmartwień.

— Ja miałbym go nauczyć? — zdziwił się Duncan. — Chcesz powiedzieć, że to nie ty go nauczyłeś?

Morgan opuścił zasłonę i spojrzał na niego zdumiony.

— Żartujesz chyba. Ja nigdy... — przerwał i przez chwilę się zastanowił. — Czy to możliwe, żeby zrobił to Brion?

— Wykluczone — odparł Duncan. — Brion nie był potomkiem Deryni, a tylko ktoś, kto nim jest, może przekazać tę sztukę.

— Czy Kelson widział kiedyś, jak to robisz? — nalegał Morgan.

— Nigdy! Do dzisiaj nigdy mu niczego nie pokazywałem. Nie zapominaj, że nawet nie wiedział, kim jestem. A może ciebie podpatrzył?

— Całkiem prawdopodobne. Dziesiątki razy. Ale bez mocy swego ojca, którą nie mógł się jeszcze posługiwać... Duncan, dręczy mnie pewna myśl. Czy to możliwe, by w jego żyłach płynęła krew Deryni?

Duncan zastanowił się.

— Nie bardzo wiem jak. Brion był przecież człowiekiem, co do tego nie mam wątpliwości. Czyżbyś sugerował, że Brion nie jest jego ojcem? To absurdalne.

Morgan potrząsnął głową.

— Nie, nie to miałem na myśli. Wystarczy tylko spojrzeć na chłopca, by się o tym przekonać. Nie sądzisz, że Jehana...

Zmrużył podejrzliwie oczy i zawiesił głos. Z zadowoleniem spostrzegł, że reakcja jego kuzyna była podobna.,

Duncan westchnął z niedowierzaniem i pokręcił głową.

— Królowa miałaby mieć w sobie krew Deryni? Gdyby to było prawdą, wyjaśniłoby się wiele rzeczy: jej przewrażliwienie na punkcie mocy, jaką dysponował Brion, nieugięte stanowisko wobec ciebie, pozornie na gruncie religii... Czy myślisz, że ona zdaje sobie z tego sprawę?

— Może nawet nie — w zamyśleniu odrzekł Morgan. — Wiesz tak samo dobrze jak ja, jak trudno

być Deryni. Jestem pewny, że w ciągu pięciu czy sześciu pokoleń było bardzo dużo Deryni, którzy postanowili, że najbezpieczniej będzie nie mówić swoim dzieciom o ich pochodzeniu. A w świecie, gdzie zarówno prawo cywilne, jak i kościelne zabrania zajmować się wiedzą tajemną, jak można to odkryć? Jeśli płynie w twych żyłach krew Deryni i wiesz o tym, to jedna sprawa. Zawsze znajdzie się ktoś, kto pomoże ci rozwinąć twoje zdolności.

Ale jeśli nie wiesz, kim jesteś, a wszelkie tego rodzaju dociekania są, mówiąc ogólnie, bardzo źle widziane, to niewiele możesz zrobić, prawda? Nie twierdzę, że to przypadek Jehany, ale sam widzisz, jak łatwo to przeoczyć przez wszystkie te lata. Najprawdopodobniej istnieją tysiące Deryni, którzy nie wiedzą, kim naprawdę są.

— Nie przeczę — zgodził się Duncan. — W każdym razie, jeśli w jej żyłach płynie k r e w Deryni, to może nam to jutro pomóc. Jeśli opacznie zrozumieliśmy słowa rytuału, i tym samym wszystko zepsuliśmy, nie możemy być pewni, co przyjdzie do głowy Kelsonowi.

Dziś wieczór mieliśmy już świetny przykład.

Morgan potrząsnął głową.

— Nie podoba mi się to. Chłopiec nie jest odpowiednio przygotowany. Miał osiągnąć biegłość wraz z nabyciem mocy ojca — urwał. — Zastanawiam się, czy Brion podejrzewał, co nam zostawia w spadku. W tym momencie nie wiem, czy mam to traktować jako przekleń-

stwo czy też niespodziewane szczęście.

Duncan uśmiechnął się i podszedł z powrotem do kominka.

— Czy zgodziliśmy się przyjąć na siebie tę odpowiedzialność, bo myśleliśmy, że będzie to proste? Czy też dlatego, że kochaliśmy Briona, Kochamy jego syna, i dlatego, że uważamy tę sprawę za słuszną?

Morgan stłumił śmiech.

— W porządku, ojczy. Bez kazań proszę. Sądzę, że wiesz, iż działałem dokładnie z tych samych pobudek co ty — zacisnął pięści i nieświadomie potarł kciukiem sygnet z wizerunkiem gryfa. — Musisz jednak przyznać, że nagle pojawiły się nowe znaki zapytania. Jaką mo-cą rozporządza Kelson? Jak postąpi Jehana, czy będzie się biernie przyglądać śmierci swego syna? No i zdrajca w naszych szeregach.

— Zdrajca?

— W pałacu przynajmniej. I najwyraźniej wysoko ustosunkowany. Nie sądzisz chyba, że Charissa sama zdołała ukartować epizod z Edgarem? Ma jeszcze kogoś, kto jej pomaga, to nie ulega wątpliwości.

— Skoro wchodzisz w szczegóły, jest jeszcze coś, co powinno nas niepokoić — oświadczył Duncan. — Przypuśćmy, że Charissa pokona jutro Kelsona. A może tak się zdarzyć, jeśli wszystkie nasze atuty

zawiodą. Co będzie z Kelsonem? Co stanie się z królestwem? A co z wszystkimi, którzy popierali Briona i Kelsona, jak na przykład ty?

— I ty również, kuzynie — odparował Morgan, unosząc brew. — Jeśli zwycięży Charissa, twoja koloratka będzie raczej lichym schronieniem. Jako spowiednik Kelsona i mój kuzyn, od samego początku jesteś na przegranej pozycji. A rola, jaką masz odegrać w jutrzejszej ceremonii przypieczętuje tylko twój los.

— Boisz się? — uśmiechnął się Duncan.

— Do diabła, oczywiście! — prychnął Morgan. — Byłbym głupcem, gdyby było inaczej. A mam nadzieję, że do tego jeszcze nie doszedłem. Zresztą, niczego już tu dziś nie wy-myślimy. Nie wiem jak ty, ale ja padam z nóg.

— Amen! — zgodził się Duncan. — Zresztą nie powinienem nawet tu teraz przebywać.

Jeśli się pośpieszę, to może uda mi się zdążyć, zanim zauważą moją nieobecność. Mam prze-czucie, że mój szacowny arcybiskup nie bardzo byłby zadowolony z moich nocnych wyczynów — spojrzął na śpiącego Kelsona, po czym podszedł do tajemnych drzwi. — Myślę, że czerpałem dziś z mojej mocy więcej, niż przez całe dziesięć ostatnich lat!

— Dobrze ci to robi. Powinieneś to robić częściej — Morgan uśmiechnął się szeroko.

Otworzył tajemne drzwi i z półki nad kominkiem podał Duncanowi zapaloną świecę.

Ta część osobowości Duncana, która utożsamiała się z księdzem kazała mu zignorować tę uwagę, lecz mimo to nie mógł powstrzymać się od uśmiešku, gdy wychodził z pokoju.

— Może czegoś potrzebujesz? — zapytał, stojąc w drzwiach. — Kelson powinien spać aż do świtu, ale...

— To już mówiłeś o s t a t n i m r a z e m! — ofuknął go Morgan.

— Alaric, wiesz, że nie była to moja wina — szepnął półzartem. — Poza tym sędzę, że przyjąłeś już wystarczającą liczbę gości jak na jeden wieczór. Jestem już zbyt zmęczony, by organizować tej nocy jakiegokolwiek przyjęcia!

Zanim Morgan zdążył ułożyć równie ciętą odpowiedź, ten odwrócił się i zniknął w ciemnościach. Morgan pokręcił głową i uśmiechnął się z uznaniem, po czym zamknął dokładnie tajemne drzwi. Patrzył na nie przez chwilę w roztargnieniu, a potem zajął swoje miejsce przy kominku.

Był to długi dzień i długie dwa tygodnie. I chociaż koniec był już bliski, wiedział, że najtrudniejsze chwile są jeszcze przed nimi.

Zmęczoną ręką przetarł oczy, usiłując odegnąć od siebie wszystkie zmartwienia. Jeśli jutro ma pomóc Kelsonowi, musi się przespać.

Przesunął krzesło spod kominka i ustawił je obok łóżka chłopca, rozpiął pelerynę i opadł wycieńczony na miękkie poduszki. Gdy tylko znalazł się na krześle, ogarnęła go fala senności. Zanim dał się jej ponieść, zdążył jedynie zdjąć buty i naciągnąć na siebie podszytą sobolami pelerynę, która miała mu tej nocy służyć jako koc.

Gdy powoli zapadał w sen, jak przez mgłę czuł, że obok niego śpi mocno Kelson, a w pogrążonym w ciszy i ciemności pokoju wszystko jest tak, jak być powinno i że gdyby tylko coś się zmieniło, natychmiast się obudzi.

W końcu zasnął.

Jednakże dla Iana Howella długa noc dopiero się rozpoczęła. Gdy wysoki, młody lord wchodził do swoich pokoi, dał strażnikowi znak, by za nim podążył.

— Jak się nazywasz, przyjacielu? — zapytał, zamykając ostrożnie za nim drzwi.

— John z Elsworth, Panie — odparł mu krótko.

W niczym nie przypominał poprzedniego strażnika, którego Ian użył do swych niecznych celów. John z Elsworth był niskim, krępy i twardym mężczyzną z wieloletnim doświadczeniem w służbie królewskiej. Był też bardzo silny — dlatego Ian go wybrał.

Ian uśmiechnął się do siebie, podszedł do stołu i nalał sobie szklanekę wina.

— Świetnie — powiedział, odwracając się, by spojrzeć na mężczyznę. — Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

— Tak, Panie — odpowiedział szybko strażnik.

Nie śpiesząc się, Ian podszedł do niego i popatrzył mu prosto w oczy.

— Spójrz na mnie, Johnie — rozkazał.

Zdziwiony spojrział na Iana, który podniósł palec wskazujący.

— Widzisz mój palec? — zapytał, powoli zbliżając go do twarzy mężczyzny.

— Tak, Panie — odparł strażnik, a jego oczy podążały za palcem.

Gdy dotknął nim czoła mężczyzny dokładnie w środku, między oczami, wypowiedział tylko jedno słowo.

— Śpij.

Oczy mężczyzny zamknęły się. Jeszcze chwila koncentracji i już miał kontakt ze swoją przyjaciółką znajdującą się wiele mil od pałacu. Iskrząca luna, która powstała wokół niego i uspiętego medium, rzucała upiorne cienie na zawieszane gobelinami ściany.

— Charisso, słyszysz mnie?

Wargi mężczyzny poruszyły się, po czym przemówił cudzym głosem.

— Słyszę.

Ian uśmiechnął się.

— Byli w krypcie, tak jak przewidywałaś, moja droga. Kelson nosi w uchu Oko Rom.

Nie sądzę, by w całym tym zamieszaniu ktokolwiek inny to zauważył. Nie wiem, czy powiodł się rytuał przekazania mocy. Chłopiec był śmiertelnie zmęczony, ale tego należało oczekiwać.

Nastąpiła pauza, wreszcie strażnik zaczął odpowiadać, niskim i donośnym głosem, którego jednak ton i modulacja należały do Charissy.

— No cóż, nie mógł jeszcze zakończyć całego rytuału. Finał zawsze następuje w czasie koronacji albo innej ważnej ceremonii. Co oznacza, że możemy uciec się jeszcze do kilku sposobów, by bardziej podważyć do nich zaufanie. Wiesz, co masz zrobić w katedrze?

— Oczywiście.

— Świetnie. Załatw to tak, by nikt nie miał wątpliwości, kto ponosi za to winę. Wieczorem otrzymałam ostrzeżenie z Rady Camberyjskiej, bym przestała się wtrącać. Naturalnie nie zamierzam słuchać podobnych przestróg. Nie zaszkodzi jednak utrzymywać ich jeszcze przez jakiś czas w niepewności. W końcu Morgan jest tylko pół-Deryni. Niewykluczone nawet, że Rada obarczy go winą, jeśli dobrze to zaplanujemy.

Ian prychnął.

— To śmieszne, by Rada miała dyktować córce Marluka. Za kogo ten Coram się uważa?

W głosie wyraźnie było słychać pełen samozadowolenia uśmiech.

— Nieważne, Ianie. Zabierz się lepiej do pracy, zanim zupełnie nie wyczerpiesz swego medium. Jego śmierć mogłaby wzbudzić pewne podejrzenia, a ja nie chcę, żebyś się w tej chwili ujawniał.

— Nie martw się, kochanie — zaśmiał się po cichu. — Na razie.

— A potem wcale — odparł głos.

Promieniowanie wokół nich powoli zanikało, Ian otworzył oczy, ciągle kontrolując swe medium.

— Johnie z Elsworth, słyszysz mnie?

— Tak.

Dotykał teraz powiek mężczyzny, lekko je naciskając.

— Zapomnisz o tym wydarzeniu, John. Czy to jasne? Gdy cię uwolnię, będziesz tylko pamiętać o tym, że cię poprosiłem o eskortę do mojego apartamentu.

Mężczyzna nieznacznie przytaknął.

Dobrze więc — mruknął Ian, opuszczając rękę. — Obudzisz się teraz i niczego nie będziesz pamiętać.

Podczas gdy Ian powrócił do stołu i podniósł swoją szklankę wina, oczy Johna z Elsworth gwałtownie się otwarły i spojrzały na niego niewinnie.

— Czy masz jeszcze jakieś życzenie. Panie?

Ian potrząsnął głową i pociągnął łyk wina.

— Nie. Ale poczytałbym ci to za wysoką zasługę, gdybyś był tak dobry i zaciągnął

wartę pod moimi drzwiami. Nie chciałbym zostać zabity we własnym łóżku przez jednego z tych

morderców krążących po korytarzach zamku Rhemuth.

— Do usług, Panie — John uklonił się. — Dopilnuję, by nikt ci nie przeszkadzał.

Ian podniósł szklankę w geście podziękowania, wypił jej zawartość i odstawił na stół, gdy tymczasem drzwi za Johnem z Elsworth zamknęły się.

A teraz należało przystąpić do dzieła: proste zabójstwo — poza tym nic więcej. No cóż, może okazać się to dość brudną robotą, może nawet fizycznie męczącą, jako że wmieszane będą w to aż trzy osoby. Nie stanowiło jednak prawdziwej próby jego talentu. W zasadzie było raczej nudnym zadaniem.

Był nieco zawiedziony faktem, iż moc, jaka mu pozostała, pozwoli mu jedynie dotrzeć jednym susem nie dalej niż do katedry. Była to jednak mała niedogodność, biorąc pod uwagę fakt, że zaraz po powrocie Charissa uzupełni moc, którą zużył, a nawet doda jej więcej. Rozważając wszystkie za i przeciw, doszedł do wniosku, że właściwie robi lepiej, jeśli skorzysta z tradycyjnych środków transportu, zwłaszcza że pomoże mu to nieco się odprężyć. W

listopadową noc nie ma nic lepszego nad krótką przejażdżkę konną, by oczyścić umysł z wszelkich myśli o zabijaniu i wprowadzić się w nastrój sprzyjający znacznie ciekawszym rozrywkom.

Nie zwlekając, stanął na środku pokoju i owinął się opończą. Wymawiając słowa zaklęcia, którego nauczyła go Charissa, wysuniętą przed siebie ręką wykonał odpowiedni ruch w powietrzu i zniknął.

Później, znacznie później, Ian ściągnął cugle w lesie położonym na wzgórzach na pół-

noc od Rhemuth. Przez długą chwilę wsłuchiwał się w ciszę, w końcu nie popędzając konia, ruszył przed siebie w ciemną bezksiężycową noc. Prószył śnieg, więc szczerzej okrył się opończą, a na głowę naciągnął kaptur.

Jechał teraz ścieżką wijącą się wzdłuż stromej skalnej ściany, która wznosiła się po jego prawej stronie, a jej szczyty tonęły w ciemnościach. Przejechał prawie pół mili, gdy nagle zatrzymał go gburowaty głos.

— Kto nadjeżdża?

— Lord Ian. Przyjechałem zobaczyć się z Jej Wysokością.

Po lewej stronie pojawił się mały płomień, a po chwili ciemności rozświetliła pochodnia. Mężczyzna trzymający pochodnię podszedł wolno do niego. W świetle pochodni dostrzegł wokół siebie co najmniej pół tuzina mężczyzn. Gdy mężczyzna z pochodnią dotarł

prawie do miejsca, w którym stał, inny wynurzył się z ciemności tuż przed nim i chwycił jego konia za uzdę.

— Przykro mi. Panie — odezwał się szorstkim głosem. — Ale nie spodziewaliśmy się ciebie tej nocy.

Ian zrzucił kaptur i zsiadł z konia, przyglądając się, jak ów człowiek przekazuje cugle innemu, który odprowadza zwierzę do ukrytych stajni. Zaczął ściągać rękawice, rozglądając się dokoła.

— Czy nasza Dama już śpi?

— Nie, Panie — odparł kapitan, dotykając skalnej ściany obok niego. — Ale nie wiem, czy ciebie oczekuje.

Część ściany odsunęła się, ukazując wejście do wnętrza skały. Wszedł do środka, a za nim kapitan i paru ze straży.

— O, tak, z całą pewnością mnie oczekuje — odpowiedział z przebiegłym uśmiechem na twarzy, którego jednak nikt w panujących w korytarzu ciemnościach nie zauważył. Odczekał chwilę, aż jego wzrok przyzwyczai się do ciemności, po czym ruszył pewnym siebie krokiem w stronę przyćmionego światła pochodni widocznego w głębi korytarza.

Idąc, uderzał lekko rękawicami w dłoń lewej ręki. Jego kroki odbijały się głuchym echem na marmurowej posadzce. Słysząc było szelest ciężkiej opończy ocierającej się o elegancko obute nogi. Ukryty w pochwie miecz wydawał stłumiony dźwięk, gdy ta uderzała o jego buty.

Zastanawiające, jakie dziwne sojusze trzeba nieraz zawrzeć, by osiągnąć swój cel.

Nigdy nie sądził, że sprzymierzy się z porywczą Charissą. Nie brał takiej możliwości nawet pod uwagę. A teraz zdobył całkowite zaufanie córki Marluka, która zgodziła się połączyć z nim siły dla osiągnięcia wspólnego celu. Kto by przypuszczał rok temu, że on, Ian Howell, stanie się władcą Corwynu?

Uśmiechnął się do siebie, gdy przysłała mu do głowy jeszcze inna myśl, ale nie odważył

się na razie ubrać jej w słowa. Większa moc i władza czeka człowieka, który w odpowiednim momencie po nią sięgnie. Kiedy jednak ma się do czynienia z kimś takim jak Charissa, bezpieczniej jest nawet nie myśleć o takich sprawach. Kiedy już Kelson i Morgan będą martwi, a jego władza w Corwynie umocniona, będzie czas, by zastanowić się nad innymi sprawami.

Tymczasem...

Gdy schodził pewnym siebie krokiem po granitowych schodach, srebrne ostrogi pobrę-

kiwały wesoło, a pochodnie w bogato zdobionych obręczach z brązu rzucały na kasztanowe włosy krwawe cienie, które były odbiciem jego jeszcze krwawszych myśli.

Minął wartownika i z wystudiowaną nonszalancją przyjął honory wojskowe, w końcu dotarł do dwuskrzydłowych drzwi ze złota strzeżonych przez dwóch wysokich Maurów.

Nie uczynili żadnego gestu, by go zatrzymać. Bezszelestnie więc wśliznęła się do środka.

Opierając się o bogato zdobioną klamkę, utkwił wzrok w siedzącej kobiecie, która rozczesywała swe długie, jasne włosy; wszystkie jego złe myśli rozwiały się, przynajmniej na razie.

— A więc, Ianie? — zapytała. Jej głos był niski, ochryply, a pełne usta wykrzywiały nieznaczny, złośliwy uśmiech.

Podszedł do niej z udaną niedbałością.

— Wszystko odbyło się zgodnie z zapowiedzią — powiedział miękko, dotykając przełotnie jej ramienia. — Myślałaś, że może być inaczej?

Zatrzymał się, by nalać sobie wina z kryształowej karafki, napełnił kieliszek i wychylił go, następnie znów napełnił i zaniósł na niski stolik obok olbrzymiego łóża.

— Twój talent zazwyczaj cię nie zawodzi — odparła Charissa, nie przerywając czesania.

Ian zdjął opończę i rzucił ją na ławę, następnie wypiął miecz i położył na posadzce, wreszcie wyciągnął się na satynowej narzucie łóża.

— Jutro więc nie wystąpią żadne nowe trudności? — zapytała. Ostrożnie położyła srebrną szczotkę na toalecie i wstała. Zebrała delikatne jak mgła fałdy sukni, tworzące wokół

niej chmurę lazuru koloru.

— Nie powinny — uśmiechnął się. Wsparł się na łokciu i sięgnął po kieliszek wina. —

Kelson wydał rozkaz, by nikt mu nie przeszkadzał aż do rana. Jeśli jednak zrobi w tym czasie jakiś ruch, zostaniemy natychmiast powiadomieni. Zostawiłem kogoś, by wszystko miał na oku — jego brązowe oczy śledziły z pożądaniem każdy jej ruch.

— A więc wydał rozkaz, by nikt mu nie przeszkadzał aż do rana? — położyła swoje delikatne palce na jego ramieniu i uśmiechnęła się.

— Chyba wydam taki sam rozkaz.

Rozdział dwunasty

Bo na pewno za ś miechem ukrywa się niespokojna dusza.

Ciszę poranka zakłóciło gwałtowne stukanie w drzwi. Morgan przeciągnął się, otworzył

jedno oko i natychmiast był rozbudzony. W pokoju było jasno, co wskazywało, że nadszedł

czas, by wstać i zacząć działać. Szybka ocena własnej kondycji upewniła go, że sen, aczkolwiek

krótki, bardzo mu pomógł. Cokolwiek miało się stać, był gotów stawić temu czoła.

Wstał, podszedł do drzwi i położył ostrożnie rękę na zasuwie. Błyskawiczny ruch nadgarstka — i trzymał w dłoni sztylet. Odsunął się od drzwi.

— Kto tam? — zapytał cichym głosem.

— Rhodri, marszałek dworu, Wasza Miłość — odparł głos. — Królewscy garderobiani chcą wiedzieć, kiedy Jego Królewska Wysokość będzie gotów wziąć kąpiel i ubrać się. Robi się późno.

Schował sztylet do pochwy i odsunął rygiel. Drzwi otwały się na niecałe pół metra, ukazując pełnego godności, siwowłosego szlachcica odzianego w aksamit koloru ciemnego burgundu. Na widok Morgana złożył głęboki ukłon.

— Wasza Miłość.

— Która jest godzina, lordzie Rhodri? — cicho zapytał.

— Minęła już tercja, Wasza Miłość. Obudziłbym cię wcześniej, ale pomyślałem, że za-równo tobie, jak i Jego Królewskiej Wysokości przyda się trochę więcej snu. Procesja rozpo-czyzna się dopiero za ponad godzinę.

Morgan uśmiechnął się.

— Dziękuję, lordzie Rhodri. Przekaż garderobianym, że Kelson wkrótce się u nich zjawi. Poszukaj też mojego adiutanta, lorda Derry. Jeśli pojawię się na koronacji w mym obecnym stroju, nikt nie będzie już wątpić, że jestem dokładnie takim łotrem, za jakiego wszyscy mnie mają.

Dotknął znacząco złocistego zarostu, a marszałek skrył uśmiech. Byli od dawna przyjaciółmi, ich przyjaźń trwała od chwili, gdy Morgan po raz pierwszy przybył na dwór Briona jako paź. Rhodri już wtedy był marszałkiem, a gra, którą wówczas rozpoczęli, nie znudziła im się aż do teraz. Mały, złotowłosy chłopiec skradł mu wówczas serce i Rhodri, mimo upływu wielu lat, nadal był do niego bardzo przywiązany.

Jego oczy błysnęły żartobliwie, gdy spojrzał na generała.

— Ależ nikt nigdy nie miał co do tego wątpliwości — powiedział z udaną powagą, a jego ton nie wymagał odpowiedzi. — Czy Jego Miłość życzy sobie czegoś jeszcze?

Morgan potrząsnął przecząco głową, po chwili jednak strzelił z palców, przypomnia-wszy sobie jeszcze jedno polecenie.

— Tak. Poślij po monsiniora McLaina. Kelson może będzie chciał się z nim zobaczyć przed pójściem do katedry.

— Dobrze, Wasza Miłość — Rhodri ukłonił się.

Gdy zamknął drzwi i zasunął rygiel, nagle uświadomił sobie, że w pokoju znów jest zimno, więc na bosaka podszedł do kominka, pogrzebał w nim i dodał parę polan, próbując na nowo rozniecić ogień. Gdy już się upewnił, że ogień nie wygaśnie, podszedł szybko do drzwi balkonowych, starając się chodzić na palcach, by bosymi stopami nie dotykać zimnej posadzki.

Odsuwając ciężkie kotary z błękitnej satyny, by wpuścić blade światło, poczuł, że ktoś go obserwuje. Odwrócił się i uśmiechnął do Kelsona, po czym odsłonił całkowicie okno, podszedł do łóżka chłopca i usiadł

— Dzień dobry, książę — powiedział wesoło. — Jak się czujesz?

Kelson usiadł w łóżku i naciągnął na siebie koce.

— Hmm, zimno tu. I umieram z głodu. Która godzina?

Morgan roześmiał się i dotknął czoła chłopca, a potem ujął jego zranioną dłoń i zaczął zdejmować bandaż.

— Nie jest tak późno, jak myślisz, mój książę — uśmiechnął się. — Twoi giermkowie przygotowują ci kąpiel. A wiesz przecież, że nie możesz nic jeść przed koronacją.

Kelson, zawiedziony, podskoczył w łóżku, a gdy bandaż został usunięty, pochylił się, by spojrzeć na swą dłoń. Po ranie został tylko różowy ślad po obu stronach, znaczący miejsce przekłucia. A gdy Morgan zginał i poruszał jego dłonią, Kelson był zdziwiony, że nie czuł nawet żadnego bólu.

Popatrzył na niego z niepokojem, gdy puścił jego dłoń i wyrzucił bandaż.

— Czy wszystko w porządku?

Morgan poklepał go po ramieniu.

— Jak najbardziej. Jesteś zdrów jak ryba.

Kelson uśmiechnął się, po czym uniósł, by wyjść z łóżka.

A więc nie ma powodu, bym został w łóżku, prawda?

— Najmniejszego.

Morgan sięgnął po leżący w stopach łóżka szlafrok, wstał i przytrzymał go, by chłopiec mógł się do niego wśliznąć. Kelson otulił się nim i pomknął do kominka, przycupnął na futrzanym dywanie, próbując się ogrzać.

— Umm, teraz lepiej — stwierdził, zacierając ręce i rozczesując palcami zmierzwiłone włosy. — Co

dalej?

Morgan usiadł obok niego i pogrzebał w kominku.

— Najpierw twoja kąpiel. Na pewno jest już przygotowana. I przyślę garderobianych, by pomogli ci się ubrać.

Kelson przestał zacierać ręce i zmarszczył z niezadowoleniem nos.

— Niech ich diabli. Sam mogę się ubrać.

— W dniu koronacji królowi należy się pomoc przy ubieraniu — Morgan roześmiał się i wziął chłopca pod rękę, pomagając mu wstać. — Taka jest tradycja. Poza tym, nie musisz zaprzętać sobie głowy sposobami nakładania różnych przedziwnych strojów, gdy powinieneś zastanawiać się nad obowiązkami przysiężnego króla.

Skierował Kelsona ku drzwiom prowadzącym do garderoby, ale chłopiec zatrzymał się i spojrzał podejrzliwie na Morgana.

— A więc muszę mieć garderobianych? Ilu?

— Och, przypuszczam, że sześciu — odparł, unosząc niewinnie brew.

— Sześciu! — wykrzyknął z oburzeniem Kelson. — Morgan, ja nic potrzebuję sześciu garderobianych!

— Czyżby rebelia? — Morgan nie umiał powstrzymać śmiechu.

Wiedział, jak bardzo Kelson nie znosił osobistych służących — on sam nie lubił, gdy robiono wokół niego zamieszanie. Jednakże niekiedy nie dało się tego uniknąć. Kelson wiedział o tym dobrze i wyraz jego twarzy wskazywał, że zdaje sobie z tego sprawę. Postanowił

jednak, że Morgan nie będzie miał w tej kwestii ostatniego słowa.

Stanął w drzwiach i popatrzył na Morgana z oburzeniem zmieszonym z kpiną.

— Ja i tak myślę — odezwał się wyniośle — że wszystko to z rozmysłem zaplanowałeś.

— Z rozmysłem zaplanowałem, by uczynić cię królem — odparował Morgan, bo jego cierpliwość powoli się wyczerpywała. — A teraz marsz się wykąpać!

Udał, że chce go złapać i Kelson wymknął się z pokoju. Zanim jednak ostatecznie zamknęły się za nim drzwi, zdążył jeszcze je uchylić, włożyć głowę w szparę i pokazać język.

Morgan wzniosł oczy do nieba, w milczeniu wzywając na pomoc świętego, który zaopiekowałby się kapryсами królewskich książąt. Dojrzałość, jaką poprzedniego dnia i ostatniej nocy wykazał Kelson, zniknęła bez śladu. Miał tylko nadzieję, że reszta dnia nie przebiegnie w podobnej atmosferze.

Zanim zdążył zdecydować, jaki będzie jego następny ruch, rozległo się pukanie do drzwi.

— Kto tam?

— Derry, Panie — odpowiedział znajomy głos.

Podszedł do drzwi i odsunął rygiel, by go wpuścić. Młodemu lordowi towarzyszyło dwóch giermków niosących gorącą wodę, ręczniki i świeże odzienie. Sam Derry był wypoczęty i rześki w czystej liberii. Z lewego ramienia zniknął temblak, widomy znak wydarzeń ostatniej nocy.

— Cieszę się, że jesteś zdrow i cały — zauważył Morgan.

— Dziwna rzecz się stała, Panie, czyż nie? — z poważną miną odparł Derry. — Nie sędzę, byś chciał...

— Potem, Derry — przerwał, kręcąc nieznacznie głową. Stał z boku, by mogli wejść do środka. — W tej chwili odczuwam pilną potrzebę odnowy przy pomocy zwyczajnych środków, takich jak na przykład gorąca kąpiel.

— Tak, Panie — odparł Derry, w lot pojmując aluzję i dając znak giermkom, by podążyli za nim. — Proszę za mną. Pokażę wam, jaką kąpiel lubi Jego Miłość.

Widząc, że Derry bierze sprawy w swoje ręce, potrząsnął tylko głową i zaśmiał się po cichu, po czym wszedł za nimi do pokoju. Przynajmniej podczas koronacji nie będzie przypominał legendarnego Dzikiego Człowieka z Torenth. Wyjaśnienia, jakie był winny Derry'emu, będą musiały zostać odłożone na potem, kiedy nadarzy się dogodniejsza sposobność, by porozmawiać z nim w cztery oczy.

W innym miejscu pałacu jeszcze ktoś pochłonięty był swoimi sprawami, ktoś, kto rozpoczął dzień kilka godzin wcześniej, w miejscu oddalonym o parę mil od pałacu. Przybywał z ramion niewiarygodnie pięknej i złej kobiety, niesiony na skrzydłach zaklęcia Deryni, aby wypełnić pewne zadanie, a potem powrócić.

Tymczasem czekał cierpliwie w niszy, tuż u zbiegu głównych korytarzy, wypatrując nadejścia pewnych osób. Minęła go właśnie duża grupa paziów i giermków w pełnym rynsztunku, uginających się pod ciężarem białych i złotych szat, które z pewnością były przeznaczone dla Kelsona. Jednak tego ranka nie stanowiły one przedmiotu jego zainteresowania.

Gdy całe to towarzystwo go mijało, udawał, że jest pochłonięty jakąś szczególnie kapryśną kłamrą u swojej szaty ze złotogłowiu. A jak tylko zniknęli z pola widzenia, na powrót zajął się pilną obserwacją.

Jakieś dziesięć minut później, gdy co najmniej trzy razy musiał uciekać się do swego fortelu z kłamrą, zwierzy na którą polował, wreszcie pojawiła się na horyzoncie: dwóch królewskich giermków niosących wspaniały płaszcz z czarnego aksamitu oraz szkatułę z po-liturowanego drewna.

Ian z niezwykłą precyzją obliczył swoje wejście; wyłonił się z niszy dokładnie w chwili, gdy byli na jego wysokości.

Jeden z giermków przypłacił ten manewr potknięciem, zgodnie zresztą z jego planem, Ian natychmiast zaczął gorąco i wylewnie przeproszać, pomógł młodzieńcowi wstać i pozbierać wszystkie błyskotki i łańcuszki, które wysypały się ze szkatuły.

Młodzieńcowi nigdy nie przyszło do głowy, by po owym zajściu sprawdzić zawartość szkatuły; nie pomyślał, że lord Ian mógłby zamienić szczególnie cenną odznakę urzędu Mistrza Ceremonii Koronacyjnej na podobną, choć zupełnie inną.

W pokoju Kelsona Morgan przyglądał się sobie krytycznym okiem w lustrze, gdy Derry stał z jego brody i uszu ostatnie ślady mydła. Po kąpieli i goleniu czuł się jak nowo narodzi-ny. Świeża koszula i spodnie stanowiły dla niego luksus, jakiego nie doświadczył od miesię-

cy. Już tylko to wystarczyło, by docenić zalety szlacheckiego pochodzenia.

Gdy tylko Derry odprawił dwóch giermków, którzy mu przez cały ten czas asystowali, do pokoju wśliznął się Duncan, dając młodemu lordowi znak, by nic nie mówił. Chwilę potem stał już za Morganem, a zamieniwszy się miejscami z Derrym, kończył jego toaletę.

— Cóż to? Syn marnotrawny postanowił powrócić do swego dawnego wyglądu?

Morgan wykonał gwałtowny obrót, sięgając niemal po broń. Zobaczywszy, że to Duncan, odetchnął z ulgą i uśmiechnął się szeroko. Ruchem ręki odprawił Derry'ego, by wrócił do innych zajęć, a sam rozparł się wygodnie w krzesło, a Duncan stanął przed kominkiem.

— Wolałbym, żebyś mnie tak nie podchodził — odezwał się Morgan. — Gdyby nie było tu Derry'ego, skróciłbym cię o głowę, zanim zdążyłbym sobie zdać sprawę, że to ty.

Duncan uśmiechnął się i usiadł niedbale na poręczu krzesła.

— Nie martw się, na pewno byś się w porę zorientował — odpowiedział cicho. — Nic się nie wydarzyło po tym, jak wyszedłem?

Morgan pokręcił głową.

— A co mogło się jeszcze zdarzyć?

— Trzęsienia ziemi, powodzie, kolejne cuda? — Duncan wzruszył ramionami. — W każdym razie ja mam dla ciebie małą niespodziankę.

— Jesteś pewien, że jestem w stanie to znieść? — zapytał z powątpiewaniem Morgan.

— Biorąc pod uwagę wszystkie te niespodzianki, które mi się przydarzyły przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, nie jestem pewny, czy jestem przygotowany na jeszcze jedną.

— Ach, to naprawdę nic wielkiego — odparł Duncan z ironicznym uśmiechem. Się-

gnął do swego pasa, wydobyl małe zawiniątko i podał je Morganowi. — Kelson prosił mnie, bym dopilnował, żebyś to dostał. Zdaje się, że masz być jego Mistrzem.

— Jego Mistrzem? — zdziwił się, wpatrując się w Duncana. — Skąd o tym wiesz?

— No cóż, tak się składa, że Kelson zwierza mi się z niektórych spraw, o których nie mówi tobie — odrzekł Duncan, patrząc z niewinną miną w sufit. — Poza tym, myślałeś, że kto nim będzie? Ja?

Morgan roześmiał się uradowany i potrząsnął głową, wreszcie skwapliwie rozpakował zawiniątko. Wewnątrz, owinięty w aksamit spoczywał potężny sygnet, owalny onyks z wyry-tym na nim wizerunkiem Złotego Lwa Gwynedd.

Morgan z zafascynowaniem wpatrywał się w pierścień, po czym chuchnął nań i przetarł

rękawem. Klejnot połyskiwał niczym gwiazdy w mroźną noc. Nałożył pierścień na palec wskazujący prawej ręki i wyciągnął przed siebie obie ręce. Lew Gwynedd i Gryf Corwynu —

oba pierścienie rzucały wokół złote i zielone cienie.

— Naprawdę nie spodziewałem się tego — westchnął w końcu, opuścił ręce i stanął za-kłopotany. — Nie rozumiem też, jak on tego dokonał. Urząd Mistrza Ceremonii Koronacyjnej jest przecież dziedziczny.

Spojrzał ponownie na pierścień, jakby wciąż nie mogąc uwierzyć, wreszcie pokręcił nieznacznie głową.

Duncan uśmiechnął się i rozejrzał po pokoju.

— A przy okazji, gdzie jest Kelson?

— Bierze kąpiel — odrzekł Morgan, biorąc do ręki jeden z świeżo wypastowanych butów i przecierając go szmatką. — Był nieco, jakby to powiedzieć, wytrącony z równowagi faktem, iż w ubieraniu będą mu pomagać służący. Chciał wiedzieć, dlaczego sam nie może tego zrobić. Zasugerowałem, że jest to jedno z utrapień, jakie musi znosić król, i ta odpowiedź

zdawała się go satysfakcjonować.

Duncan podniósł drugi but Morgana i zaśmiał się.

— Gdy zobaczy, ile ma na siebie włożyć rzeczy, na pewno będzie zadowolony z każdej pomocy. Wiele razy byłem wdzięczny, że chociaż jedna osoba pomagała mi w ubieraniu na jakąś ważną uroczystość — westchnął ze znużeniem. — Zawsze trzeba się uporać z tyloma koronkami i wiązaniami.

Morgan wyrwał Duncanowi swój drugi but i prychnął.

— Ha! Wiesz przecież, że to uwielbiasz! — zaczął energicznie wycierać but. — A przy okazji, miałeś jeszcze jakieś kłopoty zeszłej nocy?

— Tylko z zaśnięciem — odparł Duncan. Przyglądał się, jak Morgan nakłada buty, po czym podniósł porzuconą na podłodze kolczugę swego kuzyna i wywrócił na prawą stronę.

Morgan przełożył przez nią głowę i ramiona i zaczął układać jej lekkie stalowe kółka na swej białej koszuli, którą włożył po kąpieli.

Na to nałożył piękną koszulę ze szkarłatnego jedwabiu i zaczął ją zawiązywać pod brodą. Duncan zawiązał mu rękawy, mocno je sznurując w nadgarstkach, następnie wyjął tużurek z czarnego aksamitu ozdobiony lamówką wyszywaną złotogłowie i perłami. Widząc to, Morgan zagwizdał pod nosem, po czym włożył bez dalszych komentarzy. Następnie ułożył

obszerne, rozcięte aż po łokcie rękawy w taki sposób, by było widać szkarłat jedwabnej koszuli. Na końcu podniósł ramiona, a Duncan przepasał go szeroką, purpurową szarfą.

Gdy sięgnął po miecz ukryty w zużytej skórzanej pochwie i przytroczył go do szarfy, Duncan cofnął się o parę kroków, by przyjrzeć się całości. Ksiądz zmierzył go od stóp do głów, w końcu udając rozpacz, potrząsnął głową i uniósł znacząco brew.

— Obawiam się, że nic na to nie można poradzić — mruknął. — Mimo wszystko, jestem przekonany, że od dawna nie było tak diabelnie przystojnego Mistrza!

— Masz całkowitą rację! — zgodził się Morgan, przybierając dumną pozę.

— Będziesz też najzarozumialszym Mistrzem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy! — ciągnął jego kuzyn.

— Co takiego?

Duncan pogroził mu palcem.

— Pamiętaj, jestem twoim duchowym ojcem. I mówię ci to dla twojego własnego dobra!

Dłużej nie można było już zachować poważnej miny. Morgan pierwszy sobie to uświadomił i natychmiast wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Duncan zawtórował mu i nie mogąc już dłużej nad sobą panować, osunął się na wymoszczone poduszkami krzesło.

W drzwiach prowadzących do ubieralni Kelsona pojawiła się głowa giermka w czerwonej liberii. Usłyszał zapewne salwy śmiechu, bo na jego twarzy malował się wyraz dezaprobaty, gdy zwrócił się do nich oziębłym tonem.

— Czy coś się stało, Wasza Miłość?

Morgan zdołał powstrzymać śmiech na tyle, by potrząsnąć przecząco głową i ruchem ręki odprawić giermka. Wreszcie opanował się i zawołał.

— Czy Jego Wysokość jest już gotów? Monsignor McLain musi wkrótce udać się do katedry.

— Jestem gotowy, ojczy — odparł Kelson, wpadając do pokoju.

Morgan wyprostował się, a Duncan wstał. Obaj nie mogli uwierzyć, że ten odziany w biel i złoto król był tym samym chłopcem, który nie dalej niż zeszłej nocy pełen obaw klęczał

z nimi w kaplicy.

Stał przed nimi niczym młody anioł, cały odziany w jedwab i satynę. Nieskazitelna biel jego szat była zakłócona jedynie subtelną grą złota i rubinów zdobiących lamówki. Na całość narzucono wspaniałą opończę koloru kości słoniowej, satynę ozdobiono klejnotami ze złota i srebra, a podszyto jasnopurpurowym sukniem.

W dłoniach trzymał nienagannie czyste rękawiczki oraz parę srebrnych ostróg ze złotym okuciem. Był bez nakrycia głowy, jak przystało nie koronowanemu monarsze.

— Widzę, że już wiesz o swoim nowym tytule — odezwał się chłopiec, z aprobatą spoglądając na zmieniony strój Morgana. — Proszę — podał mu ostrogi. — Są dla ciebie.

Morgan przyklęknął i pochylił głowę.

— Książę, nie wiem, co powiedzieć, brakuje mi słów.

— Nonsens — odparował Kelson. — Lepiej, żebyś nie zapominał języka w gębie wtedy, kiedy naprawdę będę cię potrzebować.

Wręczył mu ostrogi i ruchem ręki kazał wstać, następnie zwrócił się do stojącego w drzwiach giermka.

— Giles, masz pozostałe insygnia generała Morgana?

Mężczyzna uklonił się i dał znak stojącym za drzwiami giermkom, którzy weszli teraz do pokoju. Dwóch z nich niosło te same insygnia, które tego ranka tak bardzo interesowały Iana. Trzeci niósł pendent miecza z czerwonej skóry, którego krawędzie wytłoczone były złotem. Wszyscy trzej ustawili się w szeregu u boku swego zwierzchnika.

Kelson zwrócił się ponownie do Morgana.

— Jako Mistrz Ceremonii Koronacyjnej będziesz musiał włożyć na siebie parę rzeczy

— powiedział, na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. — Jestem pewny, że nie będziesz mieć nic przeciwko temu, by moi garderobiani pomogli ci je włożyć, podczas gdy ja porozmawiam z moim spowiednikiem.

Gdy giermkowie otoczyli Morgana, księżę dał znak Duncanowi, by poszedł za nim.

Wyszli na balkon i zamknęli za sobą drzwi. Przez okno mogli obserwować, jak służba krząta się wokół rozdrażnionego Morgana. Kelson przypatrywał się tej scenie przez chwilę, po czym zwrócił się do Duncana.

— Myślisz, że będzie bardzo na mnie zły, ojcze?

Duncan uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Wątpię, mój księżę. Był zbyt z siebie dumny, gdy cię zobaczył, by długo się złościć.

Kelson uśmiechnął się nieznacznie i popatrzył na miasto, opierając się łokciami o zimny kamień parapetu. Chłodny wiatr mierzwił mu nieco włosy, ale jego opończa była zbyt ciężka, by ją poruszyć. Nad nimi po niebie pędziły chmury burzowe, grożąc, że zaraz przesłonią słońce, powietrze stało się nagle wilgotne.

Kelson założył ręce na piersi i przez jakiś czas patrzył w dół, w końcu odezwał się cichym głosem.

— Ojcze, co czyni z mężczyzny króla?

Duncan pomyślał przez chwilę, po czym również podszedł do barierki.

— Nie jestem pewny, czy ktokolwiek odpowie ci na to pytanie, synu — odrzekł z namysłem. — Być może królowie niczym specjalnie się nie różnią od zwykłych ludzi, chyba jedynie tym, że mają większą odpowiedzialność. Myślę, że nie musisz się o to martwić.

— Ale niektórzy królowie nie są zwyczajnymi ludźmi, ojcze — powiedział cicho Kelson. — Jak oni sobie radzą z tym, czego się od nich wymaga? A przypuścmy, że król uświadomi sobie nagle, że nie jest jednak inny od pozostałych ludzi? Co ma zrobić, jeśli stawia mu się te same wymagania, jeśli...

— Nie jesteś zwykłym człowiekiem, Kelsonie — odrzekł stanowczo Duncan. — I będziesz nadzwyczajnym królem. Nie powinieneś w to wątpić. I nigdy o tym nie zapominaj.

Kelson długo zastanawiał się nad tą odpowiedzią, w końcu odwrócił się i uklęknął u stóp księdza.

— Ojcze, daj mi swoje błogosławieństwo — szepnął, pochylając głowę. — Nie wiem, czy będę nadzwyczajny, czy też nie, ale wiem, że się boję. I wcale nie czuję się królem.

Morgan denerwował się, gdy królewscy garderobiani krzątali się wokół niego, a jednocześnie starał się, o ile było to możliwe, spokojnie poddawać ich zabiegom, wiedział bowiem, że Kelson obserwuje go z balkonu. Było to dosyć trudne. Czuł się nieswojo w otoczeniu służby.

Dwaj giermkowie klęczeli u jego stóp, ostrożnie zakładając na jego buty poślacane ostrogi i jeszcze raz czyszcząc do połysku miękką, czarną skórę jego butów. Giermek o imieniu Giles odebrał Morganowi miecz i podał go do potrzymania innemu, a sam założył na jego pierś pendent z czerwonej skóry. Gdy na powrót przypasał mu miecz, Morgan odetchnął z ulgą, bo bez niego czuł się

prawie nagi. A ukryty w rękawie kolczugi sztylet nie byłby zbyt przydatny, gdyby którykolwiek z tych mężczyzn postanowił usunąć z tego świata kolejnego potomka Deryni.

Gdy Morgan poprawił rękojeść miecza według swego upodobania, Giles podszedł do drewnianej szkatuły i wyjął z niej łańcuch z ciemnego złota z przymocowaną do niego odznaką urzędu. Nie pozwolono mu jednak na dalsze ceremonie. Zanim zdążył coś zrobić, Morgan wyjął mu z ręki łańcuch i sam założył na szyję. Im szybciej się z tym upora, tym lepiej dla niego.

Dwóch klęczących u jego stóp giermków po raz ostatni przetarło jego buty, w końcu wstało, a trzeci co najmniej po raz trzeci układał rękawy jego tużurka. Wreszcie poproszono, by stanął przed lustrem, które trzymał Giles, a giermkowie zajmujący się dotąd jego ostrogami, trzymali teraz wspianiałą opończę z czarnego aksamitu, zakończoną kołnierzem z czarnego lisa i podszytą ciemnopurpurowym jedwabiem.

Morgan czuł się zobowiązany, by na ten widok unieść brew, bowiem nigdy nie miał na sobie czegoś równie okazałego. Gdy giermkowie założyli mu ją na ramiona i poprawili łańcuch tak, by nie przesłaniał go kołnierz, musiał przyznać, że ogólny efekt był imponujący.

Właśnie odwracał się, by przyjrzeć się sobie z profilu, gdy rozległo się głośnie łomotanie w drzwi. Ręka Morgana chwyciła za rękojeść miecza, a giermkowie cofnęli się zdziwieni.

Łomot ustał, po czym rozległ się na nowo.

— Alaric! Alaric, jesteś tam jeszcze? Muszę z tobą porozmawiać! — był to głos Nigela.

Morgan czterema długimi krokami przemierzył dystans dzielący go od drzwi i odsunął rygiel. Nie zdążył jeszcze ich całkiem otworzyć, gdy Nigel pchnął je i znalazł się w środku.

Księżę był najwyraźniej wstrząśnięty.

— Gdzie Kelson? — zapytał, rozglądając się niespokojnie i przechodząc na środek pokoju. — Wy wszyscy — wskazał na giermków — wychodzić stąd!

Gdy wyszli, Morgan podszedł do drzwi balkonowych i zapukał w szybę. Duncan odwrócił się, zobaczył poważny wyraz twarzy Morgana oraz stojącego za nim Nigela i skinął

głową. Podczas gdy Duncan pomagał chłopcu wstać, Morgan otworzył drzwi i odsunął się, by mogli wejść do środka.

— O co chodzi, wuju? — zapytał przerażony Kelson, widząc powagę na twarzy Nigela i wyczuwając, że ma mu coś ważnego do powiedzenia.

Nigel przygryzł dolną wargę i nachmurzył się. Jak powiedzieć chłopcu o tym, co przed chwilą zobaczył? A co gorsza, jak przekazać fakty, aby nie brzmiały jak zarzuty?

— Kelsonie — zaczął, starając się nie patrzeć im w oczy. — Muszę ci coś powiedzieć, co nie będzie

łatwe...

— Przejdź do rzeczy — ponaglił go Morgan.

Nigel skinął głową, po czym przełknął głośno ślinę i zaczął od początku.

— Dobrze. Zeszłej nocy ktoś włamał się do grobowca Briona.

Kelson popatrzył na Morgana i Duncana, a potem znów na Nigela.

— Mów dalej, wuju.

Nigel rzucił ukradkowe spojrzenie na Kelsona i skonsternowany uciekł wzrokiem.

Chłopiec w ogóle nie wydawał się zdziwiony tymi wiadomościami. Czyżby...?

— Ktoś włamał się do krypty i otworzył sarkofag — ciągnął ostrożnie. — Złupili klejnoty i królewskie szaty — jego głos załamał się — i porzucili go nagiego na kamiennej posadzce

— przeszedł w szept. — Znaleziono dwóch strażników z poderżniętymi gardłami. Nie ma śladów walki. A Rogier, Rogiera znalezione martwego obok sarkofagu, ze sztyletem w ręku, a jego twarz wykrzywiał straszny grymas, jakby walczył z tym, co kazało mu to zrobić.

Twarcz Kelsona była biała jak kreda. Uchwycił się mocno ramienia Duncana, by nie stracić równowagi. Duncan również pobladł, a Morgan utkwiał wzrok w podłódze.

— Czy chcesz powiedzieć, że to my mieliśmy coś z tym wspólnego? — ściszym głosem zapytał Morgan.

— Wy? — Nigel poderwał głowę. — Boże, przecież wiem, że nie jesteście za to odpowiedzialni, Alaric, jak możesz! — spojrzał znów na posadzkę i zaczął przestępować z nogi na nogę, czując się jeszcze bardziej nieswojo niż przedtem. — Wiesz jednak, co powiedzą inni, prawda?

— Że ten przeklęty Deryni zrzucił wreszcie maskę — cichym głosem odezwał się Duncan. — Trudno będzie też udowodnić, że to nieprawda, ponieważ rzeczywiście byliśmy w krypcie ostatniej nocy.

Nigel pokiwał wolno głową.

— Wiem.

— Wiesz? — powtórzył Duncan.

Nigel ze znużeniem westchnął i pochylił głowę. Był przygnębiony.

— Tak. Obawiam się, że tym razem nie chodzi tylko o Alarica. Widzisz, gdy mówiłem, że Rogier miał w ręku sztylet, nie wspomniałem, co trzymał w drugiej ręce.

Wszyscy trzej zamienili się w słuch.

— Był to pozłacany srebrny krucyfiks, twój, Duncanie!

Rozdział trzynasty

„*Nowy dzień. Załóż pierś cień. Znak Obrońcy przypieczę tuje...*” P o z ł a c a n y s r e b r n y k r u c y f i k s, t w ó j, D u n c a n i e!

Książdz wstrzymał na ułamek sekundy oddech. Od tego oskarżenia nie będzie odwołania, bo krucyfiks należał do niego. Nie mógł temu zaprzeczyć. Sporządzono dokładną listę wszystkich przedmiotów, które zostały pochowane wraz z Brionem. Tak jak teraz sporządzono ścisły raport z wydarzeń, które miały miejsce w krypcie: grobowiec został splądrowany, a prosty, srebrny krucyfiks znalazł się w miejscu, w którym nie powinien być.

Po chwili Duncan odetchnął głęboko. Sprawa ta stawiała wszystko w zupełnie innym świetle. Bowiem nie tylko był teraz zamieszany w różne niejasne wypadki, które zdarzały się ostatnio z taką regularnością, ale nawet była zagrożona tajemnica jego tożsamości. Dotychczas tylko Kelson i Alaric wiedzieli o jego pochodzeniu i lepiej, żeby tak pozostało. Teraz jednak padną pytania dotyczące jego powiązań z Morganem i Kelsonem. Nie będzie mógł zbyt dużo powiedzieć na swoją obronę, by wyjaśnić udział w wyprawie.

Odchrząknął z zażenowaniem i w końcu postanowił, że Nigelowi należy się jakieś wyjaśnienie. Przynajmniej był pewny, że może polegać na księciu, który zachowa tajemnicę dla siebie, jeśli okaże się, że trzeba powiedzieć wszystko.

— Byliśmy zeszłej nocy w krypcie. Otwarliśmy też sarkofag Briona — zaczął powoli Duncan. — Nie próbuję nawet temu zaprzeczać — z zakłopotaniem złożył dłonie. — Kiedy jednak stamtąd wyszliśmy, sarkofag był zamknięty, a Rogier i strażnicy żywi. Nie muszę mówić, że nie mamy nic wspólnego z ich śmiercią.

Nigel potrząsnął głową, domagając się dalszych wyjaśnień.

— Ale d l a c z e g o, Duncanie? Dlaczego w ogóle otwieraliście sarkofag? Nie mogę tego zrozumieć.

— Ryzykowaliśmy dużo więcej, gdybyśmy tego nie zrobili — wtrącił Morgan. — Aże-by prawidłowo przeprowadzić rytuał przygotowany dla Kelsona, potrzebowaliśmy czegoś, co przez pomyłkę zostało pochowane razem z Brionem. Musieliśmy to zdobyć. Nie można było tego niczym zastąpić. Więc musieliśmy otworzyć trumnę — spojrzął na swoje dłonie i połyskujące na nich dwa pierścienie. — Jak się wkrótce okazało, postąpiliśmy dobrze. Brion był...

był uwięziony w zaklęciu, które zmieniło jego postać. Więziło ono również w pewnym stopniu jego duszę. Udało nam się odczytać to zaklęcie i uwolnić go.

— O mój Boże! — wymamrotał Nigel. — Jesteś pewny, że to wszystko, co zrobiliście?

— Nie — ciągnął Morgan. — Zabraliśmy też to, po co tam poszliśmy: Oko Rom. Jednak Kelson nie chciał tego tak po prostu zabrać ojcu, więc Duncan dał mu w zamian krucyfiks. Nie sądziliśmy, że ktoś mógłby otworzyć sarkofag po naszym wyjściu.

— No cóż, zrobiono to jednak — szepnął Nigel, potrząsając głową. — Biedny Brion. I biedny Kelson. Wszyscy i tak zostaniecie o to posądzeni, bez względu na to, co powiecie.

Alaric, co zamierzasz w tej sytuacji zrobić?

Zanim Morgan zdążył odpowiedzieć, rozległo się łomotanie w drzwi. Nigel z przestachem podniósł głowę.

— O Boże, to na pewno Jehana! Już wie o krucyfiksie. Lepiej ją wpuśćcie, zanim każe wyłamać drzwi!

Nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, Kelson podbiegł do drzwi i odsunął rygiel. Tak jak się spodziewali, do pokoju wpadła rozwścieczona Jehana. Kelson zdążył jednak zatrzasnąć za nią drzwi, zanim którykolwiek z towarzyszących jej strażników zdołał się przecisnąć do środka. Była tak wściekła, że nawet tego nie zauważyła, tylko natychmiast podeszła do Morgana i Duncana.

— Jak śmiesz! — szepnęła przez zaciśnięte zęby. — Jak śmiesz go tak znieważać! A t y, ojczy Duncanie! — odwróciła się, by spojrzeć na księdza. — Ty nazywasz siebie kapłanem Boga. Mordercy nie mają prawa do tego imienia!

Wyciągnęła przed siebie lewą rękę, by pokazać pozłacany krucyfiks Duncana, który teraz był zaplamiony krwią, i zaczęła nim wymachiwać przed jego oczami.

— Co masz do powiedzenia na swoją obronę? — nalegała ciągle tym samym cichym, zawziętym tonem. — Żądam sensownego wyjaśnienia tego, co zrobiliście!

Ponieważ Duncan nie odpowiadał, zwróciła swoją uwagę ponownie na Morgana i miała właśnie go zaatakować, gdy w uchu Kelsona zauważyła połyskujące ciemnym światłem Oko Rom. Zamarła, jakby nie wierząc własnym oczom, a potem z furią rzuciła się na Kelsona.

— Ty potworze! — zasyczała. — Nasienie diabelskie! Dla władzy potrafisz zbezczcić grób własnego ojca, zdolny jesteś m o r d o w a ć! Och Kelsonie, zobacz do czego doprowadziły cię złe moce Deryni!

Kelson zaniemówił i posmutniał. Jak mogła uwierzyć, że on byłby w stanie zrobić taką rzecz? Skąd wzięło się u niej owo błędne przekonanie, by jemu i Morganowi przypisywać ten straszny czyn w katedrze?

— Jehano — odezwał się cicho Morgan — to nie to, co myślisz. My...

Jehana zaatakowała go z dziką furią.

— Nie chcę o tym słyszeć! — powiedziała ostro. — I zabraniam ci twierdzić, że wiesz, co ja myślę,

obojętne na jaki temat, ty, ty szatanie! Najpierw zatrałeś umysł i duszę mojego męża, może nawet przyczyniłeś się do jego śmierci. Teraz próbujesz tego samego z moim jedynym synem. A Rogier, biedny, niewinny Rogier napadnięty i w ohydny sposób zamordowany, właśnie w chwili, gdy strzegł szczątków swego zmarłego króla... — jej głos załamał

się. — Możesz dalej radzić sobie ze wszystkim sam, Deryni. Bo ja nie udzieleni ci nawet najmniejszego wsparcia w tym, co zamierzasz zrobić. A co do ciebie Kelson, żałuję, że w ogóle się urodziłeś!

Chłopiec pobladł.

— Mamo!

— Nie nazywaj mnie tak — odparła, odwracając od niego twarz i kierując się do drzwi.

— Nie chcę mieć więcej z tobą do czynienia. Niech Morgan zabierze cię na koronację. Nie mam zamiaru się przyglądać, jak tron Gwynedd uzurpuje sobie taki, taki...

Odwróciła się do nich plecami i ukrywając w dłoniach twarz, zaczęła gorzko szlochać.

Kelson chciał do niej podejść, by ją pocieszyć, ale Morgan powstrzymał go wzrokiem. Jeśli ich sprawa ma mieć chociażby nikłe szanse powodzenia, to tylko dzięki wsparciu, jakiego udzieli im Jehana, nawet jeśli miałyby ono zostać na niej wymuszone. Nadszedł czas, by wyciągnąć kartę atutową.

— Jehano? — zawołał miękko.

— Zostaw mnie w spokoju! — zaszlochała.

Stanął przy niej i zaczął mówić cichym głosem.

— W porządku, Jehano, nie będę cię dłużej błagać. Musimy sobie parę rzeczy natychmiast wyjaśnić, a pozostało niewiele czasu. Twoje oskarżenia są bezpodstawne. Kelson jest niewinny i...

— Oszczędź sobie tych kłamstw Deryni — odparła, ocierając łzy i kładąc rękę na zasuwie drzwi.

Morgan stanął między nią a drzwiami i oparł się o zasuwę. Spojrzał jej prosto w oczy.

— Kłamstw Deryni, Jehano? — zapytał cichym głosem. — Dostyc często szafujesz tym określeniem, nie sądzisz? Zwłaszcza, że mówi to taka osoba jak ty.

Jehana zastygła w bezruchu, nie mogąc ukryć zakłopotania.

— Co masz na myśli?

— Nie udawaj takiego niewiniątka. Wiesz, o czym mówię. Dziwię się tylko sobie, że wcześniej tego nie zauważyłem. Wyjaśniłoby to całe twoje postępowanie przez lata.

— O c z y m ty mówisz? — zapytała, cofając się o kilka kroków, przestraszona pewnym siebie zachowaniem Morgana.

— Jak to o czym? Oczywiście o tym, że w twoich żyłach płynie krew Deryni — powiedział ze spokojem. — Powiedz tylko po kim to dziedzictwo?

— Krew Deryni? Morgan, ty zwariowałeś! — szepnęła, jej oczy rozszerzyły się ze strachu, zdradzając wątpliwości, jakie sama miała.

Morgan powoli się uśmiechnął.

— Nie sądzę. Kelson zdradza wyraźne cechy Deryni, a oboje wiemy, że źródeł nie należy szukać u Briona.

Jehana zaśmiała się wymuszonym śmiechem.

— To jest najbardziej absurdalna rzecz, jaką w życiu słyszałam. Wszyscy wiedzą, co myślę o Deryni.

— W żyłach wielu spośród najbardziej zagorzałych wrogów Deryni płynęła krew Deryni, Jehano, albo przynajmniej kropla tej krwi. Ci, którzy badali te sprawy, twierdzą, że stoi za tym ukryte poczucie winy. Tak się dzieje, gdy próbuje się ukryć prawdę o sobie przez całe pokolenia, kiedy zadaje się kłam swojemu prawdziwemu pochodzeniu.

— Nie! — wyrzuciła z siebie. — To nieprawda. Gdyby tak było, wiedziałabym o tym!

— Może zawsze zdawałaś sobie z tego w jakiś sposób sprawę.

— Nie! Nigdy...

— Czy możesz to udowodnić? — odparł spokojnie. — Jest na to sposób, wiesz o tym.

— Co takiego? — szepnęła, odsuwając się od niego.

Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

— Pozwól mi czytać w twoich myślach, Jehano. Pozwól, że wyjaśnię tę sprawę raz na zawsze.

Jej oczy wypełniły się strachem, próbowała się wyrwać.

— Nie! Proszę!

Nie zwolnił uchwytu.

— Czy zgodzisz się więc na pewien układ?

— Na jaki układ? — szepnęła.

— Bardzo prosty — swobodnym głosem ciągnął Morgan. — Sądzę, że oboje wiemy, co by się okazało, gdybym zastosował sztukę czytania myśli. Ale, żeby ci tego oszczędzić, gotów jestem pozwolić ci jeszcze przez jakiś czas żywić się swoimi złudzeniami, pod jednym jednak warunkiem.

— To znaczy?

— Przyjdiesz na uroczystość koronacji i przynajmniej publicznie udzielisz poparcia Kelsonowi. Nie będziesz też usiłować się wtrącać w to, co musi zostać dziś zrobione. Zgoda?

— Czy to ultimatum? — zapytała, powoli odzyskując pewność siebie.

— Możesz to tak nazwać — odparł spokojnie. — Jaka jest twoja decyzja? Mam ci teraz udowodnić twoje pochodzenie, czy zgadzasz się z nami współpracować, przynajmniej dzisiaj?

Jehana spuściła wzrok, po czym ukradkiem spojrzała na Kelsona. Nie można było zignorować groźby Morgana. Było to tym bardziej przerażające, że miała pewne wątpliwości co do swego pochodzenia i nie wykluczała możliwości, iż jej ród wywodzi się z Deryni. Nie była na razie skłonna pogodzić się z tym. Wobec czego koronacja wydawała jej się mniejszym złem.

Podniosła głowę, unikając jego wzroku.

— Dobrze — szepnęła.

W panującej w pokoju ciszy jej głos był słaby i przytłumiony.

— Dobrze, co? — nalegał Morgan.

— Dobrze, pójdę na koronację — odparła niechętnie.

— I będziesz zachowywać się normalnie? Nie będziesz robiła scen i nie postawisz nas w niezręcznej sytuacji? Obiecuję ci, Jehano, że wszystko ułoży się po twojej myśli. Nie bę-

dziesz rozczarowana. Zaufaj nam.

— Mam wam zaufać? — powtórzyła półgłosem. — No tak, przypuszczam, że nie mam w tej sytuacji innego wyjścia — spuściła oczy. — Nie... nie będę też robiła scen.

Skinął głową i puścił jej ramię.

— Dziękuję ci, Jehano.

— Nie dziękuj mi, Morganie — mruknęła, otwierając drzwi. — Pamiętaj, działałam pod przymusem, wbrew temu, co podpowiada mi rozum. Czuję odrazę do tego, co zamierzacie zrobić. A teraz, jeśli pozwolisz, spotkamy się podczas procesji.

Na znak Morgana, Nigel poszedł z Jehaną, zamykając po cichu za sobą drzwi. Po chwili Morgan odwrócił się do i Kelsona i Duncana. Westchnął.

— Zdaje się, że od tej chwili musimy radzić sobie ze wszystkim na bieżąco. Nie może-my poczynić żadnych przygotowań, ani też podjąć żadnych środków ostrożności. Przykro mi, Kelsonie, że zachowałem się tak brutalnie wobec twojej matki, ale było to konieczne.

— Czy rzeczywiście istnieje szansa, że w moich żyłach płynie krew Deryni, Morganie?

— zapytał chłopiec. — Co każe ci tak myśleć? A może był to tylko podstęp, by zmusić matkę do współpracy?

Morgan wzruszył ramionami, odprowadzając ich do drzwi.

— Nie wiemy na pewno, Kelsonie. Istnieją przesłanki, by tak sądzić. W innych okolicznościach mógłbym to sprawdzić, czytając w twoich myślach. W tej jednak sytuacji, skoro mielibyśmy jedynie zaspokoić naszą ciekawość, nie możemy sobie pozwolić na marnowanie energii. Lepiej będzie, jeśli dziś posłużysz się jedynie mocą Briona.

— Rozumiem — odparł Kelson.

— To dobrze. Udajmy się więc na procesję — zakończył rozmowę Morgan. — Duncanie?

— Jestem gotowy — odrzekł ksiądz.

— Książę?

Kelson zaczerpnął głęboko powietrza.

— Zaczynamy więc.

Charissa podniosła głowę i oderwała wzrok od kryształowej kuli, w którą się wpatrywała.

— A więc nasza mała królowa jest także Deryni — powiedziała półgłosem. — Ianie, nie możesz przestać w kółko chodzić? Denerwujesz mnie!

Ian zatrzymał się w pół kroku i wykonał ukłon w jej stronę.

— Wybacz mi, najmilsza — odparł łagodnie. — Ale wiesz, jak nie znoszę czekania. Już od wielu miesięcy cieszę się na ten dzień.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odparła, poprawiając szafirowy diadem na jasnych włosach. — Jeśli jednak okażesz cierpliwość jeszcze przez parę chwil, zostaniesz sownie wynagrodzony.

Pokiwał głową i wznosił kielich.

— Dziękuję, kochanie. A co z Jehaną? Myślisz, że j e s t Deryni?

— Jeśli tak, to poradzę sobie z nią — wzruszyła z nonszalancją ramionami. — Najmniejszym moim zmartwieniem tego ranka jest niedoświadczona Deryni, nieznanego pochodzenia, która nawet nie chce się przyznać do swoich korzeni.

Ian wstał, przypasał miecz, podniósł swoją złocistą opończę i narzucił ją na ramię.

— No cóż, lepiej zrobię, jeśli już pójdę. Procesja na pewno już się tworzy. Jesteś pewna, że chcesz, bym się nie ujawniał aż do ostatniej chwili?

Twarz Charissy wykrzywił uśmiech.

— Nie możesz wejść razem ze mną — powiedziała. — A jeśli będziesz musiał otwarcie stanąć po mojej stronie, to tylko po to, by za wszelką cenę zniszczyć Morgana. Czy to jasne?

— Najzupełniej, moja droga — odparł, mrugając do niej porozumiewawczo. Zatrzymał się z dłonią położoną na klamce. — Zobaczymy się w kościele.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Charissa ponownie skierowała uwagę na kryształową kulę leżącą przed nią na toalecie. Widziała w niej mniej więcej to, co widział Morgan —

wszystko, co leżało w zasięgu olbrzymiego kamienia w urzędowej odznace generała. Na lewo od niego dostrzegła jadącego królewskim powozem Kelsona. Dalej, powyżej uszu czarnego rumaka, na którym jechał, rozciągał się nieskończony widok na miasto.

Wkrótce dotrą do katedry. Czas, by i ona ruszyła w drogę.

Morgan zatrzymał konia przed katedrą świętego Jerzego i rozejrzał się tak samo podejrzliwie, jak to już zrobił co najmniej ze sto razy podczas powolnej procesji. Obok niego, nieco z przodu, zatrzymał się powóz Kelsona; trzech biskupi i dwaj arcybiskupi już czekali, by z powozu zaprowadzić księcia na miejsce, gdzie formowała się nowa procesja.

Arcybiskupi Corrigan i Loris rzucali gniewne spojrzenia - Morgan odgadł, że dotarła już do nich wiadomość o zbezczeszczeniu krypty — ale przynajmniej biskup Arilan uśmiechał się ciepło do swego młodego króla. Duncan stał z dala od arcybiskupów, starając się być zarazem blisko Kelsona, by wspierać go na duchu, a jednocześnie pozostawać w bezpiecznej odległości od swoich przełożonych.

Gdy Morgan zeskoczył ze swojego wspaniałego rumaka, skinął głową w stronę Duncana. Następnie dał znak Derry'emu, by stanął u jego boku. Cały czas przyglądał się niespokojnie otaczającym ich tłumom.

— Jakież problemy? — zapytał Derry.

— Niewykluczone — odparł, wskazując brodą w stronę Kelsona i arcybiskupów. —

Zauważyłeś coś?

— Nie widać Charissy, jeśli o to ci chodzi, Panie — odrzekł Derry. — Ludzie zachowują się jakoś dziwnie. Jakby wszyscy wiedzieli, że ma się coś zdarzyć.

— No cóż, mają rację — powiedział. — Coś na pewno się zdarzy — przyjrzał się budynkom. — Widzisz wieżę dzwonnicy przylegającą do katedry? Chcę, żebyś tam wszedł i stanął na czatach. Charissa przyprowdzi na pewno z sobą jakieś wojska, więc nie może tak po prostu się pojawić. Twoje ostrzeżenie powinno dać nam dodatkowo pięć minut, zanim pojawi się w katedrze.

— Dobrze — Derry skinął głową. — Jak myślisz, kiedy ona przybędzie, Panie?

— Najprawdopodobniej za jakąś godzinę — odrzekł Morgan. — O ile ją znam, zaczeka, aż koronacja będzie w toku, zanim zdecyduje się przeszkodzić. Wie, że znamy jej zamiary, więc będzie chciała, by długie czekanie spotęgowało w nas napięcie i lęk.

— Już jej się to udało — powiedział do siebie Derry.

Gdy wymknął się, by zająć swoje miejsce na wieży dzwonnicy, Morgan zaczął się przepychać w stronę Duncana, omijając rozbieganych chórzystów i ministrantów, a także starając się unikać wzroku Lorisa czy Corrigana.

— Co się dzieje? — zapytał cichym głosem, gdy niepostrzeżenie znalazł się obok swego kuzyna.

Duncan uniósł brew.

— Przyjacielu, nie uwierzysz w to, co mam ci do powiedzenia. Corrigan był tak zdenerwowany tym, co wydarzyło się w krypcie, że groził odwołaniem koronacji. Kelsonowi udało się jakoś go ugłaskać, ale wtrącił się Loris. Chciał cię aresztować, mnie zawiesić w obowiązkach i zupełnie poważnie zaczął rozważać postawienie Kelsona przed trybunałem, który miał-

by udowodnić mu herezję.

— O Boże! Co jeszcze? — wymamrotał pod nosem Morgan, wywracając do góry oczy.

— Nie martw się — ciągnął Duncan. — Kelson mu to wyperswadował. Zagroził, że już za samą tą myśl skarże go na wygnanie i pozbawi wszelkiej władzy świeckiej. A następnie dał Corriganowi do zrozumienia, że jego również ukarze banicją, jeśli nadal będzie się mu sprzeciwiał. Szkoda, że nie widziałeś starego Corrigana. Sama myśl o tym, że Arilan czy jakiś inny biskup mógłby przejąć Rhemuth i wszystkie jego dobra, wystarczyła, by zaniemówił.

Morgan westchnął z ulgą.

— Myślisz, że będą sprawiać jeszcze jakieś kłopoty? Nie potrzeba nam dziś sporów religijnych.

Duncan potrząsnął przecząco głową.

— Nie sądzę. Wycofali się w końcu, mruczając w oburzeniu o herezji i tym podobnych sprawach. Założę się, że moja obecność za bardzo ich nie uszczęśliwia. Ale nie mogą nic zrobić, jeśli chcą

zachować swoje stanowiska. Nawet Loris nie jest takim fanatykiem.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — powiedział Morgan. — Przypuszczam, że udało ci się nie wchodzić im zanadto w drogę, zanim przyjechaliśmy.

— Tylko dzięki sprytnym wykrętom. Mam nadzieję w nieskończoność unikać tego spotkania.

Ministrant w oślepiająco białej komży i czerwonej sutannie podbiegł do Duncana i ponagłajaco pociągnął go za rękaw. Odszedł więc, by zająć swoje miejsce w procesji. W tej samej chwili u boku Morgana pojawił się paź dzierżący w ręku schowany w pochwie Miecz Królestwa, wskazując, gdzie ma się ustawić.

Na widok udającego się na swoje miejsce Kelsona, Morgan próbował dodać mu otuchy uśmiechem, jednak chłopiec był zbyt poruszony, by cokolwiek zauważyć. Po jego obu stronach kroczyli Loris i Corrigan, rzucając wściekle spojrzenia w stronę generała. Jednakże idą-

cy za nimi Arilan skinął mu uprzejmie głową, a na jego twarzy pojawił się ledwo widoczny uśmiech, który zdawał się mówić, by się nie martwić.

Niech diabli wezmą tych arcybiskupów! Nie mieli prawa niepokoić chłopca w ten sposób. Miał tyle innych problemów, dużo więcej niż jakikolwiek inny czternastolatek. A nie można przecież wymagać, by sobie z nimi wszystkimi poradził. Ci dwaj uparci i wrodzy arcybiskupi na pewno nie ułatwiali mu zadania.

Dano widocznie jakiś znak, bo stojący na przedzie chórzyci nagle zaczęli śpiewać pieśń otwierającą uroczystości. Kolumna zaczęła powoli się przesuwać: najpierw chór, potem gromada ministrantów z wyszorowanymi buziami i w nienagannie czystych, białych kom-

zach, nałożonych na purpurowe sutanny, wszyscy nieśli wysokie świece w srebrnych błyszczących lichtarzach.

Za nimi szedł kleryk niosący kadzielnicę zawieszoną na długim złotym łańcuchu, dalej diakon niosący ciężki pozłacany krzyż Arcybiskupstwa Rhemuth. Za krzyżem kroczył sam arcybiskup odziany we wspaniałe szaty barwy złotej i białej, z wysokim pastorałem w ręku.

Twarz miał zawziętą i ponurą, a jego wysadzana drogocennymi kamieniami mitra sprawiała, że wydawał się wyższy o kilkadziesiąt centymetrów.

Następny był Kelson. Kroczył pod złotym baldachimem niesionym przez czterech odzianych w szkarłat młodzieńców wywodzących się ze szlacheckich rodów. Towarzyszyli mu arcybiskup Loris i biskup Arilan, ich szaty liturgiczne przypominały te, które miał na sobie Corrigan, obaj też nosili na głowach mitry — symbol ich dostojnego urzędu. Za nimi podążało czterech innych biskupów.

Za biskupami szedł Duncan. Jako spowiednik króla zajmował honorowe miejsce. Na bogato zdobionej srebrnej tacy niósł Pierścień Ognia. Pierścień i taca rzucały błyski na nało-

zoną na sutannę komżę z białej koronki. Jego twarz promieniała jasnością emanującą z pier-

ścienia.

Morgan podążył za nim, niosąc przed sobą Miecz Królestwa. Za nim szedł Nigel, z twarzą wybladłą i poważną! Niósł królewską koronę na aksamitnej poduszce. Za nim parami podążali Jehana i Ewan, księżę Jared i Lord Kevin McLain, lord Ian Howell, lord Bran Coris oraz parę innych szlachetnie urodzonych osób, które zostały wyróżnione zaproszeniem do wzięcia udziału w procesji. Większość nie miała oczywiście pojęcia o nadciągającej burzy.

Gdy początek procesji dotarł do ołtarza głównego, w głowie Kelsona zaczęły się kotłować myśli. Odsunął od siebie klótnię z arcybiskupem Corriganem i Lorisem jako najmniejsze ze swoich zmartwień, chociaż zdawał sobie sprawę, że tym sposobem będzie miał więcej czasu martwić się tą inną sprawą. Charissa jeszcze się nie pojawiła, ale nie miał wątpliwości, że zanim ceremonia dobiegnie końca, z pewnością ją ujrzy.

Pod pretekstem modlitwy uklęknął na swoim klęczniku stojącym na prawo od ołtarza, a tymczasem pozostali dostojnicy wchodzili do katedry i zajmowali swoje miejsca. Szybko jednak zrozumiał, że modlitwa nie miała w tym momencie sensu. Nie potrafił się skupić na słowach, które powinien był wymawiać i przez cały czas podglądał, co dzieje się wokół niego.

G d z i e o n a j e s t ?

Przez chwilę zastanawiał się, czy zachowywałby się tak samo, gdyby nie zagrażało mu niebezpieczeństwo ze strony Władczyni Mroku. Gdy doszedł jednak do wniosku, że nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach trudno by mu było się skupić, od razu poczuł się mniej winny. Obiecał sobie, że gdy właściwa ceremonia już się rozpocznie, postara się sprawować dużo lepiej.

Gdy chórzyci skończyli swą pieśń, a ostatni z uczestników zajęli miejsca, Arilan i Loris stanęli wyczekująco po obu stronach klęcznika. Wiedział, że nadszedł już czas. Zacerpnął głęboki oddech, przeżegnał się, w końcu podniósł głowę, a dwaj prałaci pomogli mu wstać. Gdy zwrócili się w stronę zgromadzonych wiernych, arcybiskup Corrigan stanął przed nim i ujął jego prawą dłoń.

— Lordowie — głos Corriganą był wyraźny i pewny siebie. — Przyprawiam przed wasze oblicza Kelsona, waszego prawowitego króla. Jesteście gotowi złożyć w jego imieniu ofiarę?

— Niech Bóg błogosławi króla Kelsona! — odpowiedzieli.

Skłoniwszy się lekko kongregacji, Corrigan dał znak, na który Arilan i Loris poprowadzili uznanego już króla schodami w stronę ołtarza. Równocześnie skłonili głowy, po czym Corrigan i Kelson sami pokonali ostatnie trzy stopnie. Corrigan energicznie położył prawą dłoń Kelsona na Piśmie Świętym, a na niej swoją lewą i zaczął odczytywać słowa przysięgi.

— Lordzie Kelsonie, jesteś gotów złożyć przysięgę koronacyjną?

— Jestem — odpowiedział Kelson.

Corrigan wyprostował się.

— Kelsonie Cinhil Rhys Anthony Haldane, w obliczu Boga i ludzi zostałeś uznany za prawowitego następcę naszego umiłowanego króla Briona, czy uroczyście obiecujesz i przysięgasz stać na straży pokoju w Gwynedd i rządzić królestwem zgodnie z jego odwiecznymi prawami i zwyczajami?

— Obiecuję uroczyście tak czynić.

— Czy w swoich sądach jesteś gotów kierować się Prawem i Sprawiedliwością?

— Czy przysięgasz, że Zło i Grzech będą tępione, a Prawo Boże zachowane?

— Przysięgam.

Gdy Corrigan kładł manuskrypt ze słowami przysięgi na ołtarzu, Kelson rozejrzał się wkoło i widząc pełne otuchy spojrzenie Morgana, poczuł, że powraca mu pewność siebie. Z

niejakim rozmachem skreślił swój nowy podpis, „*Kelsonus Rex*,” po czym wziął dokument do lewej ręki i podniósł go wysoko, a prawą ponownie położył na Piśmie świętym.

— Tego, co niniejszym obiecałem, dotrzymam. Tak mi dopomóż Bóg.

Podał dokument jednemu z asystujących księży, po czym poprowadzono go z powrotem na miejsce. Klęcząc, zauważył nieznaczne poruszenie po swojej prawej stronie. Spojrzał w bok i zobaczył, że Derry podchodzi dyskretnie do Morgana i zaczyna z nim po cichu rozmawiać. Podczas gdy głos arcybiskupa rozbrzmiewał słowami modlitwy za króla, Kelson usiłował dosłyszeć rozmowę, która toczyła się obok niego. Ze zdenerwowania przygryzł wargi; nie udało mu się nic usłyszeć.

Jednakże wszystko było jasne. Kelson dostrzegł pełne niepokoju spojrzenie przesłane Duncanowi, zauważył zaciskające się wargi księdza, gdy ten zrozumiał, o co chodzi. Nadje-

żdżała Charissa. Derry dostrzegł jej orszak z wieży dzwonnicy. Do ostatecznej konfrontacji zostało im jakieś dziesięć minut.

Modlitwy za króla zakończyły się. Kelson nie usłyszał z nich ani słowa. Dwaj prałaci znów zaprowadzili go przed ołtarz, tym razem miał położyć się twarzą ku ziemi w oczekiwaniu na konsekrację.

Gdy Kelson leżał przed ołtarzem, chór zaczął śpiewać! kolejny hymn. Długa oponcza koloru kości słoniowej zakrywała go całego, widać było tylko głowę i czubki butów. Wszyscy księża klęczeli wokół, ich wargi poruszały się słowami modlitwy.

Kelson mocno zacisnął dłonie i modlił się o dodanie mu sił, czuł lodowaty uścisk strachu na karku, powtarzał sobie, że będzie bezpieczny, że stawi opór wszystkiemu, co Charissa przygotowała przeciwko prawowitemu władcy Gwynedd.

Przebrzmiały ostatnie dźwięki hymnu, prałaci podnieśli Kelsona i zdjęli z jego ramion oponczę. Czterej rycerze niosący baldachim ustawili się wokół niego, a on uklęknął na stopniach wiodących

do ołtarza, by zostać namaszczone święconymi olejami i stać się pomazań-

cem — prawowitym królem Gwynedd.

Morgan patrzył z dumą, jak ręce i głowa Kelsona były namaszczone krzyżmem, i przez cały czas starał się nie myśleć o tym, co nieuchronnie się zbliżało. Gdy ceremonia pomazania dobiegła końca, chór zaintonował kolejną pieśń. Morgan nasłuchiwał, co działo się na ze-wnątrz; zastygł, gdy dźwięki liturgii mieszały się z upiornym echem podkutych kopyt pędzą-

cych cwałem po brukowanej uliczce.

Kelson wstał, by nadano mu oznaki jego urzędu. Księża przyoblekli go w wysadzaną klejnotami purpurową szatę i złotymi ostrogami dotknęli jego kostek. W tym czasie, gdy zza ciężkich drzwi katedry dobiegł szczęk nagiej stali mieczy i kolczug, arcybiskup Corrigan odebrał od Duncana Pierścień Ognia, pobłogosławił go, przez moment trzymał w górze, w końcu wsunął go Kelsonowi na palec wskazujący lewej ręki.

Następnie ruchem ręki wskazał, by Morgan przyniósł Miecz Królestwa.

To była chwila, na którą czekał Morgan. Bo chociaż Kelson miał na palcu Pierścień Ognia, nie mógł jeszcze władać swą mocą, skoro rytuał nie został przypieczętowany Znakiem Obrońcy. Stając u jego boku, Morgan dobył miecza i podał go Corriganowi. Rozglądał się niespokojnie, podczas gdy arcybiskup modlił się, by mieczem tym zawsze wymierzano sprawiedliwość.

Wreszcie Corrigan ofiarował miecz Kelsonowi. Ten zaś, rzuciwszy niespokojne spojrzenie w stronę Morgana, dotknął wargami stali, po czym przekazał mu go. W tej samej chwili, dotknął na moment pieczęci z wizerunkiem Gryfa na palcu Morgana i zmarł w przerażeniu.

Bowiem dotyk ten nie wywołał w nim wrażenia przyływu mocy, spełnionej obietnicy, nie było to też przypieczętowanie siły zapowiedziane słowami rytuału. Jego niespokojne oczy gorączkowo szukały oczu Morgana. Ten też poczuł wzbierające w nim mdłości.

Popełnili jakiś błąd! Najwidoczniej Gryf Morgana nie był Znakiem Obrońcy!

Z zewnątrz dobiegły ich głośnie kroki, wszyscy zgromadzeni w katedrze ludzie zamarli w oczekiwaniu. W chwili gdy nieświadomy niczego Corrigan, który w dalszym ciągu cele-brował ceremonię inwestytury, podawał Kelsonowi wysadzone drogimi kamieniami berło, drzwi katedry otwały się i do środka wpadł podmuch lodowatego wiatru.

Gdy Morgan odwrócił nieznacznie głowę w stronę głównego wejścia, nie miał wątpliwości, co ukaże się jego oczom. I nie pomylił się.

W otwartych drzwiach stała Charissa, księżna Tolanu, Pani Srebrnych Mgieł, Władczyni Mroku, spowita w bladoszare i niebieskie mgły, które tworzyły wokół niej złowieszczy obłok.

Rozdział czternasty

„Kim zatem jest Obrońca?”

Kelson nie poruszył się nawet, gdy drzwi otwarły się z łoskotem, chociaż z trudem się powstrzymał, by nie odwrócić głowy i spojrzeć w tamtą stronę. Bowiem w chwili gdy hałas zakłócił panującą w katedrze ciszę, uświadomił sobie, że wszelkie próby zaspokojenia ciekawości mogą doprowadzić jedynie do tego, że nerwy zupełnie go zawiodą i straci resztkę panowania nad sobą. Nigdy dotąd nie widział Charissy i nie był pewny swojej reakcji.

Z drugiej strony, klęczenie plecami do wroga nie było najlepszym wyjściem i wiedział o tym. Pozostawanie w tej pozycji, gdy zbliżał się wróg, było bardzo ryzykowne i w innych okolicznościach nigdy nie popełniłby takiego błędu w sztuce. Ale skoro i tak był bezradny, nie miało to większego znaczenia. Była pewna granica, gdzie teoria musiała ustąpić miejsca praktyce, ale prawdę mówiąc i tak nie wiedział, jak miałby się zachować, gdyby rzeczywiście się odwrócił.

Potrzebował czasu na zastanowienie. Jeśli miał blefować — a to w obecnej sytuacji wydawało się nieuniknione — musi mieć wytyczony jakiś jasny cel, coś więcej niż tylko uratowanie życia. Nie wierzył, by jej spojrzenie mogło go zmienić w sopel lodu, ale nie należało kusić losu. Brion nauczył go tego dawno temu.

Słyszał kroki odbijające się echem wzdłuż nawy, wiedział, że jego przeciwnik jest coraz bliżej i że nie jest sam. Zebrał siły i kątem oka dostrzegł, że ręka Morgana przesuwają się ku rękojeści miecza. Zaryzykował spojrzenie w lewo i zobaczył, że Duncan daje znaki arcybiskupowi, by nie przerywał ceremonii.

Pokiwał z aprobatą głową. Duncan miał rację. Im ceremonia będzie bliższa końca, tym większe będzie jego prawo do tronu i tym większe miał szanse na znalezienie wyjścia ze swego obecnego położenia.

Arcybiskup Corrigan ujął w dłonie spoczywającą na aksamitnej poduszce koronę Gwynedd i uniósł ją nad głowę Kelsona. Kroki były coraz bliższe. Chłopiec dostrzegł, że Corrigan utkwili wzrok ponad jego głowę i nerwowo zwilża wargi, by dopiero po chwili rozpocząć modlitwę koronacyjną. Twarz stojącej po prawej stronie Jehany poblądła, gdy nagle, na wysokości transeptu, kroki złowieszczo zatrzymały się.

— Pobłogosław, błagamy Cię, Panie... — zaczął arcybiskup.

— Stop! — rozkazał niski, kobiecy głos.

Corrigan zastygł, jeszcze przez moment trzymając koronę w górze, po czym opuścił

ręce i popatrzył na chłopca ze skrucą. Jeszcze raz powędrował wzrokiem ponad głowę Kelsona, po czym cofnął się. Na stopniach rozległ się brzęk stali, potem zapadła cisza. Kelson ostrożnie wstał, by stanąć twarzą w twarz z nieproszonymi gośćmi.

Leżąca na stopniach metalowa rękawica nie pozostawiała wątpliwości, tak jak zresztą stojący za kobietą uzbrojeni żołnierze. Zauważył co najmniej trzy tuziny wojowników stoją-

cych w nawie, niektórzy nosili czarne szaty mauretańskich emirów Charissy, inni byli odziani w tradycyjne zbroje. Po obu bokach Charissy stało niewzruszenie dwóch Maurów, z rękami założonymi na piersi. Ich wyłaniające się spod czarnych aksamitnych turbanów twarze były ciemne i ponure.

Ale najbardziej zafascynowała go postać stojącej przed nim kobiety. Wyglądała bowiem zupełnie inaczej, niż oczekiwał. Nigdy nie przypuszczał, że Charissa mogła być tak pię-

kna!

Nie ulegało wątpliwości, że Charissa właśnie na taką reakcję liczyła i postanowiła ją wykorzystać. Dokładnie dobrała każdy szczegół swego stroju, żeby wyglądać jak najwspanialej.

Suknia z niebieskoszarego jedwabiu splotła się z wysokiego, wysadzanego klejnotami kołnierza, który otaczał jej szyję koloru kości słoniowej. Na suknię narzucona była peleryna z popielatego aksamitu i srebrnych lisów. Długie jasne włosy były splecione w warkocz i tworzyły na jej głowie koronę. Otaczał je diadem z szafirem. Całość okrywał delikatny niebieski welon, który opadał na jej plecy i sprawiał, że ostre rysy jej twarzy zdawały się łagodne.

To właśnie zdecydowanie na jej twarzy ocuciło wreszcie Kelsona i kazało mu się zastanowić nad jego pierwszym wrażeniem. Bowiem splecione włosy przypominały ciężką, złotą koronę zawoalowaną w błękitną mgłę. Bez wątpienia był to dla niej symbol owej prawdziwej korony, którą miała nadzieję założyć jeszcze tego samego dnia.

Gdy ich oczy się spotkały, skinęła w pozdrowieniu głową, po czym spojrzała znacząco na leżącą między nimi rękawicę. Kelson pojął znaczenie tego spojrzenia i nagle ogarnął go gniew. Wiedział, że musi za wszelką cenę powstrzymać ją od dalszego działania, przynajmniej na razie, dopóki nie znajdzie sposobu, by się z nią rozprawić.

— Czego szukasz w Domu Bożym? — zapytał cichym głosem. W jego głowie zaczynał

powstawać pewien plan. Jego szare oczy płonęły zimnym ogniem, przypominając dawnego Briona, a pełne godności zachowanie sprawiało, że wydawał się dużo starszy.

Charissa uniosła brew, następnie, z kpiącym wyrazem twarzy, wykonała głęboki ukłon.

Chłopiec przypominał jej Briona sprzed dwudziestu lat, mimo swego wieku prezentował się niezwykle dojrzałe i imponująco. Jaka szkoda, że nie dożyje czasu, gdy będzie mógł to wykorzystać.

— Czego szukam? — zapytała jedwabistym głosem. — Twojej śmierci oczywiście. Z

pewnością coś podejrzewałeś. A może twój „Mistrz” nie uznał za stosowne, by cię ostrzec?

Odwróciła się, by przesłać słodki uśmiech Morganowi, po czym z powrotem skupiła uwagę na Kelsonie. Nie był jednak tym rozbawiony.

— Twoje insynuacje są równie niemile tu widziane jak i twoja osoba — odparł chłodno.

— Zejdź nam z oczu, zanim zupełnie nie wyczerpiesz naszej cierpliwości. Zbrojne orszaki nie są serdecznie witane w tym Domu.

Charissa uśmiechnęła się beztrąsko.

— Śmiałe słowa, książątko — wskazała rękawicę. — Niestety, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Kwestionuję twoje prawo rządzenia Gwynedd. Z pewnością się zgodzisz, że nie mogę opuścić tego miejsca, zanim nie uzyskam satysfakcji.

Spojrzał ponuro na stojących przed nim żołnierzy, a potem znów na Charissę. Wiedział, że chce go sprowokować, by przystał na pojedynek, pojedynek, w którym zmierzyłyby się ich tajemne moce. Wiedział też, że przegra, będąc pozbawiony mocy swego ojca. Na szczęście był sposób, by bez uszczerbku na honorze opóźnić nieco nieuniknioną walkę. W międzyczasie może uda mu się nieco ochłonąć i przygotować do walki.

Jeszcze raz spojrzał na jej ludzi i podjął decyzję.

— Dobrze. My, król Gwynedd przyjmujemy twoje wyzwanie. Zgodnie z odwiecznymi regułami nasz Mistrz będzie walczyć z twoim. Pora i miejsce zostaną ustalone później. Czy to ci odpowiada? — był pewny, że Morgan z łatwością pokona każdego z jej świty.

Na twarzy Charissy przez ułamek sekundy pojawił się cień gniewu, ale szybko się opanowała. Miała nadzieję jeszcze przez jakiś czas pozostawić Morgana przy życiu, by zobaczył, jak na jego oczach umiera ostatni z Haldańczyków. Nie było to jednak konieczne. Martwiła się jednak, że Ianowi nie uda się go pokonać.

Spojrzała ponownie na rękawicę i skinęła głową.

— Dobrze rozegrane, Kelsonie. Przełożyłeś nasze spotkanie być może o pięć minut, bo i tak zamierzam cię wyzwąć na osobisty pojedynek.

— Do którego nie dojdzie, jeśli nasz Mistrz przeżyje! — wtrącił Kelson.

— Temu można zaradzić — odparła szybko. — Przede wszystkim, nie odłożymy tego pojedynku na później. Odbędzie się tu i teraz. Nie masz w tej sprawie żadnego wyboru. Poza tym, nie uzależnię mojego zwycięstwa od żadnego ze stojących obok wojowników. Mistrz, który mnie obroni, jest tam.

Wskazała ręką prawą stronę katedry, skąd z przebiegłym uśmiechem na twarzy wyłonił

się Ian i stanął u jej boku. Jego ręka spoczywała na rękojeści miecza. Patrzył obojętnym wzrokiem w przestrzeń dzielącą go od Kelsona.

Ten zaś był zaskoczony nagłym ujawnieniem Iana jako zdrajcy w ich szeregach. Zawsze uważał młodego hrabiego za lojalnego, choć niezbyt entuzjastycznego poplecznika. To tłumaczyło dziwne wydarzenia, jakie były ich udziałem od czasu przyjazdu Morgana. Zajmując tak wysoką pozycję, nie miał najmniejszych trudności z ukartowaniem intrygi ze stenrectem, z zabiciem strażnika, czy z dokonaniem masakry w grobowcu Briona zeszłej nocy.

Gdy się nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że przez ostatnie trzy miesiące słowa Iana niezmiennie wszczynają dyskusje na temat Morgana. Przypomniawszy sobie jego nie dokoń-

czony zdania, przebiegłe insynuacje. Z pewnością też posiada moc Deryni. A motywy tych wszystkich poczynań nie były wcale zagadkowe. Dla niego nie było tajemnicą, że Eastmarch graniczył z Corwynem Morgana.

Żadna z tych myśli nie zakłóciła kamiennego spokoju jego twarzy. Zmrużył jedynie oczy, zwracając się do Iana niskim i groźnie brzmiącym w otaczającej ich ciszy głosem.

— Ośmielasz się podnieść przeciwko mnie miecz, Ianie? I to w świątyni?

— Tak, ośmielam, i mógłbym to zrobić jeszcze w tysiącu innych świątyniach — odparł, a stal zadźwięczała o stal, gdy dobył miecza i skłonił się. — A teraz — zrobił ruch mieczem —

czy twój Mistrz zejdzie na pojedynek, czy też mam wejść po schodach i zabić go tam, gdzie stoi?

Morgan bezszelestnie pokonał stopnie prezbiterium, dobywając po drodze miecza.

— Uważaj, by za chwilę nie zabrakło ci słów, zdrajco! — zasyczał. Czubkiem ostrza podniósł rękawicę i rzucił ją do stóp Charissy.

— W imieniu Kelsona Haldańczyka, króla Gwynedd przyjmuję twoje wyzwanie!

— Nie bądź taki pewny! — odparował Ian, celowo przysuwając się bliżej niego.

Podczas gdy ludzie Charissy cofali się, by zrobić im miejsce, Ian w skupieniu mierzył

swego przeciwnika wzrokiem, poruszając leniwie czubkiem swego miecza, gdy śledził każdy jego ruch.

Morgan również mu się przyglądał, jego szare oczy odnotowywały każdy krok Iana, każdy niedostrzegalny nawet ruch połyskującego ostrza. Nigdy dotąd nie zmierzył się z nim na miecze, ale najwyraźniej hrabia miał znacznie więcej wprawy we władaniu mieczem, niż kiedykolwiek to przyznawał. W jego ruchach była pewna niedbałość, która natychmiast wzbudziła czujność Morgana.

Nie martwił się o wynik starcia. Był wspaniałym szermierzem i wiedział o tym. Nigdy nie przegrał żadnego pojedynku w swoim dorosłym życiu i nie uważał, by teraz była odpowiednia na to pora. Jednak niepewność, co do umiejętności i finezji Iana, kazała mu być ostrożnym, dopóki nie przekona się, z jakim szermierzem ma do czynienia. Bez względu na okoliczności, musi wygrać ten pojedynek dla Kelsona. Za wszelką cenę.

Krążyli wokół siebie wystarczająco długo. W decydujących pierwszych sekundach pojedynku Ian miał nadzieję przedrzeć się przez obronę Morgana. Jednak ten nie dał się przechytrzyć. Odparowując zręcznie ciosy, bez trudu unikał ostrza Iana, sam spróbował przejść do ataku, w końcu wycofał się nieco, uznając, iż nie będzie to łatwa walka. Bardzo cierpliwie rozciągał wokół siebie zasłonę ze stali, łatwo odpierając ponawiane ataki i badając technikę przeciwnika.

Nagle dostrzegł to, czego przez cały czas szukał i natychmiast zastosował specjalny manewr, z którym czekał właśnie na ten moment. Jednym ciosem rozciął aksamitny tużurek Iana, raniąc go w ramię; hrabia odskoczył gwałtownie.

Cios ten rozwścieczył Iana. Chociaż zawsze skrzętnie ukrywał ten fakt, uważał się za wybornego szermierza. Nigdy nie brał pod uwagę możliwości, że w swojej pierwszej publicznej walce odniesie choćby niewielkie obrażenia. Wcale mu się to nie spodobało.

Z furią więc rzucił się w wir walki, kierując się bardziej emocjami niż rozumem, na co zresztą liczył Morgan. Wreszcie zaryzykował, pozostając odkryty dłużej, niż powinien. Z powodzeniem odparł jeden cios generała, ale riposta, jaką otrzymał, sprawiła, że odsłonił prawy bok, w który wbiło się głęboko ostrze Morgana.

Miecz zwisał bezwładnie z ręki Iana, a jego twarz pobladła. Morgan wyjął miecz i cofnął się. Ian zatoczył się, z zaskoczeniem i strachem w oczach. Osunął się na posadzkę, miecz z brzękiem wypadł ze sparaliżowanych palców. Gdy jego oczy zamknęły się, Morgan z pogardą odrzucił głowę do tyłu i wytarł ostrze w jego złotą opończę, wreszcie odwrócił się, by spokojnym krokiem podejść do Charissy, wciąż nie wypuszczając miecza z ręki.

Na widok zbliżającego się Morgana, oczy Charissy błysnęły gniewem. Wiedziała jednak, że nie mógł zauważyć tego, co ona już zdążyła spostrzec — nieznacznego ruchu, jaki wykonał leżący za nim mężczyzna.

— Kto t e r a z jest władcą Gwynedd, Charisso? — zapytał z szyderstwem w głosie, mierząc mieczem w jej gardło.

Charissa dostrzegła nagły ruch ręki, błysk ulubionego sztyletu Iana, gdy ten cisnął nim resztką sił. Jej palce już się poruszały, rzucając pośpiesznie zaklęcie, gdy ktoś nagle krzyknął.

— Morgan!

Odwracając się, zobaczył, że sztylet szybował już w powietrzu. Skulił się, by uniknąć błyszczącego ostrza. W tym jednak momencie łańcuch, który nosił, poruszył się, okręcił mocniej wokół jego szyi i zaczął go dusić. Stracił równowagę.

Ostrze wbiło się głęboko w jego ramię, zatoczył się i potknął, a miecz wysunął się z przeszytych piekącym bólem palców i z łoskotem upadł na marmurową posadzkę.

Gdy osunął się na kolano, Duncan i dwóch innych księży przypadło do jego boku.

Morgan gwałtownym ruchem zdjął z szyi łańcuch i rzucił nim w Charissę. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu, gdy Duncan i dwaj pozostali pomogli mu przejść do prezbiterium i położyli go na schodach. Charissa zaczęła się śmiać.

— Tak, kto teraz j e s t władcą Gwynedd, mój dumny przyjacielu? — szydziła. Wolnym krokiem podeszła do miejsca, gdzie Ian ciągle jeszcze wił się w bólu. — Myślałam, że jesteś bardziej doświadczonym szermierzem i nie odwracasz się plecami do rannego wroga.

Podczas gdy Kelson, Nigel i inni przyjaciele zebrali się wokół rannego generała, Charissa rzuciła okiem na Iana i szturchnęła go czubkiem buta. Gdy wydał z siebie cichy jęk, pochyliła się, by spojrzeć mu w oczy.

— Dobrze się spisałeś, Ianie — szepnęła. — Jaka szkoda, że nie możesz jeszcze chwilę poczekać, by zobaczyć rezultaty naszej małej konspiracji. Twoja rana jest zbyt głęboka, a ja nie mogę marnować czasu ani mocy, by cię ocalić.

Twarz Iana wykrzywił grymas bólu, gdy usiłował protestować.

— Charisso, obiecałaś! Mówiłaś, że będę rządzić Corwynem, że będziemy...

— Naprawdę, przykro mi, ale nie powiodło ci się najlepiej w tym pojedynku, prawda?

Właściwie szkoda. Byłeś zupełnie dobry w innych sprawach.

— Charisso, błagam...

Położyła palec na ustach.

— Przestań, wiesz, że tym gardzę. Nie mogę ci pomóc i na tym koniec. A ty sam też nie możesz sobie pomóc, nieprawdaż, nędzny śmiertelniku? Będzie mi ciebie brakowało, Ianie.

Nawet jeśli zamierzałeś mnie w końcu pokonać.

Próbował jeszcze coś powiedzieć, oczy wypełniało mu przerażenie — ona знаła jego tajemnicę! Lecz Charissa była już zajęta kolejnym zaklęciem. Przez kilka sekund Ian usiłował

złapać oddech, jego ręka z desperacją czepiała się jej peleryny. Po chwili odprężył się i wyzionął ducha. Charissa wstała z beztroskim wyrazem twarzy.

— No cóż, Kelsonie — odezwała się z nutą szyderstwa w głosie. — Zdaje się, że nasz mały pojedynek niczego nie rozwiązał. Mój Mistrz nie żyje, przyznaję, ale twój jest tak cięż-

żko ranny, że jego los również nie jest pewny. Zdaje się, że muszę ponownie wyzwać cię na pojedynek, jeśli mam uzyskać satysfakcję.

Słyszając te słowa, Morgan rzucił jej ostre spojrzenie, jednak natychmiast wykrzywił z bólu twarz. Na jego górnej wardze pojawiły się krople potu, gdy Duncan delikatnymi palcami badał jego ranę. Ruchem dłoni dał znak Kelsonowi, by się pochylił. Kelson zebrał fałdy swego wspaniałego purpurowego płaszcza i przerzucił je przez lewe ramię, Przyklęknął przy bo-ku generała, jego oczy pełne były żalu.

— Kelsonie — wymamrotał przez zaciśnięte zęby Morgan, nie mogąc złapać tchu, gdy Duncan usunął sztylet i zaczął bandażować ranę. — Kelsonie, bądź ostrożny. Będzie próbowała cię oszukać. Twoją jedyną nadzieją teraz jest granie na zwłokę, spróbuj znaleźć klucz do swojej mocy. Jestem pewny, że

gdzieś tu jest. Musieliśmy go po prostu przeoczyć.

— Spróbuję — odrzekł.

— Szkoda, że nie mogliśmy ci bardziej pomóc, mój książę — ciągnął Morgan. Osunął się, tracąc niemal przytomność. Kelson pochylił się i dotknął jego dłoni.

— Nie martw się.

Wstał, fałdy purpurowego płaszcza zsunęły się z jego ramienia. Czuł na sobie spojrzenia wszystkich oczu, gdy przemierzał stopnie dzielące go od środkowej części schodów prezbiterium, wyczuł raczej, niż zauważył, że arcybiskupi i biskupi rozsuwają się, pozostawiając wolne miejsce wokół niego, gdzie, jak sądzili, miał się zaraz rozegrać pojedynek.

Rozejrzał się dokoła, zauważył pełne napięcia twarze wiernych, wrogość stojących za Charissą uzbrojonych wojowników, pełen ufności spokój emanujący z Nigela stojącego obok jego matki, dostrzegł też Jehanę, bladą i spiętą, pogrążoną w przerażającym milczeniu, dłonie miała zaciśnięte, oczy błyszczące, zastygłe w błagalnym wyrazie.

— A więc, Kelsonie — niski głos Charissy odbił się echem w nawie i jeszcze przez chwilę rozbrzmiewał w pogrążonym w ciszy prezbiterium. — Zdaje się, że się wahasz, książę. Jaki m o ż e s z mieć powód? — jej pełne wargi wyduły się w pogardliwym uśmiechu.

Kelson wytrzymał jej spojrzenie.

— Byłoby najlepiej, gdybyś teraz odeszła, Charisso — powiedział cichym głosem. —

Nasz Mistrz żyje i pokonał twojego Mistrza. Twoje pretensje są nieuzasadnione.

Roześmiała się ponuro, potrząsając głową.

— Obawiam się, że to nie takie proste, Kelsonie. Jeśli jeszcze nie zrozumiałeś, wyzywam cię ponownie. Będzie to walka na śmierć i życie, tu i teraz, walka, w której zmierzą się nasze tajemne moce. A tego przecież pragnę od samego początku, o czym zresztą wiesz —

rozległy się za nią pełne przerażenia głosy. — Nie uda ci się tego tak łatwo uniknąć. Twój ojciec wiedziałby, o czym mówię.

Kelson zarumienił się, ale zdołał zachować niewzruszoną twarz.

— Nasz ojciec z konieczności musiał przywyknąć do zabijania, Charisso. W tym, przyznajemy, nie mamy dużego doświadczenia. Ale dosyć już było morderstw przez parę ostatnich tygodni. Nie chcielibyśmy i ciebie wciągnąć na listę umarłych.

— Ach — z aprobatą skinęła głową — syn Lwa jest pełen pychy, jak jego ojciec —

uśmiechnęła się. — Sądzę jednak, że podobieństwo prawdopodobnie na tym się kończy; nasz młody książę przemawia śmielej, niż może sobie na to pozwolić. Ktoś mógłby jeszcze uwierzyć, że posiada moc na poparcie tych słów — zmierzyła go zimnym wzrokiem od stóp do głów. — Ale przecież wszyscy doskonale wiemy, że moc Briona wygasła wraz z nim na polach Candor Rhea.

Kelson nie ustępował.

— Czyżby Charisso? Sądysz, że wygasła?

Wzruszyła wymijająco ramionami.

— Czy wygasła? Sam mi odpowiedz.

— Chcesz zaryzykować, sądząc, że wygasła? — ciągnął przebiegle. — Nasz ojciec pokonał twojego ojca i pozbawił go mocy. Można więc zakładać, że skoro jesteśmy w posiadaniu mocy króla Briona, posiadliśmy także tajemnicę twojej mocy. A skoro tak jest, spotka cię los twego niegodziwego ojca.

— J e ś l i posiadasz tę moc — zgodziła się Charissa. — Ale to j a zabiłam Briona.

Sądzę, że zmienia to nieco stan rzeczy, nieprawdaż?

Jehana nie mogła się dłużej powstrzymać.

— Nie! — krzyknęła, stając pomiędzy swoim synem a czarnoksiężniczką Deryni. —

Nie wolno ci! Nie Kelsona! Nie możesz zabić także Kelsona!

Stała, osłaniając syna i patrząc pełnym nienawiści wzrokiem na Charissę. Władczyni Mroku mierzyła ją przez chwilę wzrokiem i roześmiała się.

— Ach, moja biedna Jehano — odezwała się słodkim głosem. — Za późno już na to.

Było na to za późno już wiele lat temu, gdy wyrzekłaś się swojej lepszej połowy i postanowiłaś być tylko zwykłym człowiekiem. Sprawa wymknęła ci się z rąk. Odsuń się.

Jehana wyprostowała się, a jej zamglone zielone oczy pociemniały, błyszcząc dziwnym światłem.

— Nie zniszczysz mego syna, Charisso! — szepnęła lodowatym głosem. — Gdybym miała zejść na sarno dno piekieł, nie dostaniesz mego syna, Bóg mi świadkiem!

Gdy Charissa wybuchnęła pogardliwym śmiechem, Jehana zdała się nagle okrywać mgłą. Zaskoczony Kelson miał właśnie chwycić ramię swej matki i odsunąć ją, ale okazało się, że nie może się do niej już zbliżyć. Jehana podniosła ręce, kierując je w stronę Charissy, z czubków jej palców uwolniły się złote iskry. Nagle cała długo skrywana moc prawdziwej Deryni skierowana została na Władczynię Mroku, moc wywołana rozpaczą matki, która za wszelką cenę musi ratować swoje jedyne dziecko, bez względu na to, co się stanie.

Jednakże Jehanie brak było doświadczenia. Fakt, że wiele lat temu wyparła się swego pochodzenia, sprawił, że nie była wprawiona w posługiwaniu się swoją mocą, nie potrafiła nad nią panować, ani jej wykorzystywać z najlepszym dla siebie pożytkiem. Natomiast Charissa była uosobieniem tego wszystkiego, czego Jehana się wyrzekła: była czarnoksiężniczką pełnej krwi Deryni, wprawioną w swojej sztuce, całkowicie panującą nad arsenałem mocy tak wielkiej, że królowa nigdy nie mogła sobie nawet wyobrazić jej zasięgu.

Przeto Charissa nie była w najmniejszym stopniu zaniepokojona wyzwaniem. Natychmiast ocknęła się i rozpostarła wokół siebie zasłonę ochronną, która odpierała każdy atak Jehany. Wkrótce zaczęła skupiać siły, aby ostatecznie zniszczyć tego bękarta, który ośmielił się zastąpić jej drogę.

Powietrze między tymi dwiema kobietami iskrzyło się i trzaskało, gdy potężne moce uwalniały się i neutralizowały. Kelson przyglądał się z szeroko otwartymi oczami jak jego matce przez jakiś czas udawało się skutecznie walczyć z Charissą. Tymczasem jednak, Duncan i Morgan zauważyli pułapkę, jaką zastawiła Władczyni Mroku i gorączkowo usiłowali odeprzeć niszczącą moc Charissy skierowaną przeciw swej królewskiej rywalce.

Nagle walka się skończyła. Wydając z siebie słaby krzyk, Jehana, niczym śpiące dziecko, opadła miękko na rozłożony na schodach dywan. Gdy Kelson rzucił się w jej stronę, Duncan klęczał już przy niej, próbując wyczuć puls. Jego twarz spochmurniała, gdy odkrył to, czego się obawiał.

Pokiwał ze zmartwieniem głową, dał znak Nigelowi i Ewanowi, by pomogli mu ją ostrożnie przenieść na bok. Promieniowała jeszcze nikłą energią, gdy układali ją w bezpiecznym miejscu. Gdy Duncan pomagał chłopcu wstać, ten pobladł nagle i spojrzał na niego dużymi, przerażonymi i oczami. Duncan potrząsnął głową.

— Nie umarła — szepnął, tak że tylko Kelson mógł go usłyszeć. — Alaric i ja zdołali-

śmy odeprzeć najgroźniejszą moc — spojrzał w stronę leżącego Morgana, po czym przez chwilę popatrzył na Jehanę.

— Mogę tylko powiedzieć, że jest w transie kontrolowanym przez Charissę. Nic jej nie będzie, jeśli uda nam się go przełamać. W innym przypadku tylko Charissa może ją uwolnić

— albo z własnej woli, albo umierając. Ponieważ pierwsza możliwość jest mało prawdopodobna, obawiam się, że będziesz musiał próbować tej drugiej. Więc teraz jest jeszcze coś, o co musisz walczyć.

Kelson przytaknął posepnie, czuł zawrót głowy spowodowany nagłym odkryciem. A więc w jego żyłach płynęła krew Deryni! A jeśli to, co pokazała matka, miało być dla niego wskazówką, powinien przynajmniej w jakimś stopniu wykorzystać ten fakt. Uczono go przecież akceptować te moce, wierzyć w nie, a nawet panować nad nimi. Gdyby tylko udało mu się zastosować w praktyce niektóre z tych zasad, jakie poznał...

A moc Briona — przecież ciągle jest w zasięgu ręki. Z pewnością coś przeoczyli, może w słowach rytuału? Pieczęć Morgana nie była Znakiem Obrońcy. Kim zatem był Obrońca?

Zastanawiając się teraz nad tym, doszedł do wniosku, że wcześniej Morgan był nazwany Opiekunem, a nie Obrońcą. A więc Obrońcą musi być kto inny. A Znak Obrońcy — co to może być?

Charissa powróciła na swoje pierwotne miejsce u stóp schodów prowadzących do prezbiterium i wskazała rękawicę, która ciągle leżała na posadzce, gdzie rzucił ją Morgan. Na jej ustach igrał ponury uśmiech, wiedziała bowiem, że ma przewagę. Kelson nie miał mocy swego ojca. Z pewnością by jej użył, by chronić własną matkę. Chłopiec nie był na tyle przebiegły, by poświęcić Jehanę tylko po to, by później zapewnić sobie zwycięstwo. Poza tym doskonale wiedziała, że moc, która ocaliła Jehanę, nie pochodziła z umysłu tego mieszańca, Kelsona Haldańczyka.

Nieznacznie skinęła głową w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy, gdy zajął miejsce u szczytu schodów.

— A więc, Kelsonie Haldańczyku, synu Briona, przyjmujesz honorowe wyzwanie, by walczyć ze mną zgodnie z pradawną i zaszczytną tradycją naszych przodków? Czy też mam teraz uderzyć i powalić cię tam, gdzie stoisz, bez walki i uczynić cię męczennikiem?

— Dalej, Kelsonie. Jeszcze przed chwilą byłeś pełen pychy. Wyzywam cię!

Rozdział piętnasty

Teraz walka łączy. Umysł śmiertelnika nie pojmie tego.

Kelson gorączkowo myślał, przypominał sobie każdy napotkany szczegół dotyczący tajemnej wiedzy Deryni, szukał jakiejś wskazówki. Gdy złożył dłonie i jego palce bezwiednie zaczęły pocierać Pierścień Ognia, znów przypomniał sobie słowa rytuału: *Nowy dzień. Założ*

pierś cię. Znak Obrońcy przypieczętuje tuje twą moc... Znak Obrońcy przypieczętuje... Znak Obrońcy...

Nagle oczy Kelsona spoczęły na miejscu, w którym stała Charissa. Nigdy wcześniej nie zauważył, że marmurowa posadzka transeptu była wyłożona mozaiką z pieczęci, pieczęci przedstawiających świętych, pieczęci — na Wszystkich Świętych! — Czy było to możliwe?

Starając się panować nad emocjami, zmusił się, by niby mimochodem zwrócić wzrok na wielkie koło pieczęci. Szukał tej, o której nie ośmielił się nawet marzyć, by tam była. Gdyby był to nowszy kościół, nie mógłby mieć żadnej nadziei na znalezienie jej. Ale katedra świętego Jerzego — na Boga — znalazł! Pieczęć świętego Cambera, tego, który niegdyś był nazywany *Defensor Hominum*, Obrońcą Człowieka!

Z triumfem podniósł oczy, by potoczyć wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Znalazł! Nie ma innej odpowiedzi. Nieświadomie utożsamili Opiekuna z Obrońcą w swoich pierwszych interpretacjach słów rytuału i omal wszystkiego nie zaprzepaścili. Teraz jednak...

Popatrzył z pewnością siebie na Charissę, mierząc ją przez dłuższą chwilę wzrokiem, wreszcie zdecydował się odezwać. Musi teraz przygotować grunt do ostatecznej rozprawy.

— Stwierdziłaś, że obawiamy się starcia z tobą, Charisso — powiedział spokojnie. —

Przyznałaś się do zamordowania króla Briona. Sprawiałaś, że ktoś, kogo równie głęboko szanujemy, jest poważnie ranny. Zraniłaś też moją matkę, która podjęła dramatyczną próbę odwrócenia biegu wypadków. Czas jałowych dyskusji już minął — powiódł pewnym siebie wzrokiem po obecnych.

— Minął również czas, kiedy chcieliśmy ci ofiarować naszą łaskę, nawet po tym, co się wydarzyło. A teraz ostrzegamy cię, Charisso. Przyjmujemy twe wyzwanie i zgadzamy się z tobą walczyć, chociaż z niejaką niechęcią czynimy to w tym miejscu. Ale skoro zmuszasz nas do tej demonstracji siły, nie możemy ci już zapewnić żadnej łaski, żadnej obietnicy złagodzenia kary.

Odrzuciła wyzywająco głowę do tyłu.

— Władczyni Mroku nie potrzebuje twojej łaski, Kelsonie. A kiedy takie dumne słowa wypowiedane są bez pokrycia, mogę się z nich tylko śmiać. Zejdź tu, jeśli nie jesteś tchórzem.

Czekam na ciebie.

Przyglądał się jej przez chwilę z pogardą, po czym spojrzał na Morgana i Duncana i skinął nieznacznie głową.

Gdy sięgnął do kołnierza, by rozpiąć ciężki płaszcz koloru czerwonego wina, stanął

przy nim Nigel, by go od niego odebrać. Gdy zobaczył wyraźnie jego niepokój i nadzieję, rzucił wujowi spojrzenie, które mówiło mu, by się nie martwić, wreszcie wolnym krokiem zszedł po stopniach prezbiterium. Nigel przerzucił płaszcz przez ramię i przyłączył się do siedzących po prawej stronie Morgana i Duncana.

Gdy Kelson schodził po schodach, Charissa cofnęła się w głąb transeptu o jakieś dwanaście metrów. Odczekała, aż chłopiec pochyli się, by podnieść rękawicę.

Powoli się prostując, obmyślał sposób, w jaki dotrzeć do pieczęci Cambera. Kątem oka widział miejsce, w którym powinien jak najszybciej się znaleźć. Znajdowało się w odległości mniej więcej sześciu metrów na lewo od niego. Trzymając w ręku rękawicę, ruszył w stronę Charissy, kierując się nieco w lewo tak, by natknąć się w końcu na pieczęć. Chwilę potem, gdy miał już na niej stanąć, cisnął rękawicę przed siebie w prawo. W momencie gdy upadła na marmurową posadzkę, Kelson stanął na pieczęci.

Morgan i Duncan przyglądali się tej scenie z narastającym niepokojem, bo ryzyko, jakie podejmował Kelson było olbrzymie i pociągało za sobą straszne skutki. Nie byli też całkiem pewni, jakie miał plany. Bo fakt, że je miał, był oczywisty, sądząc po spojrzeniu, jakie im rzucił, zanim zszedł po schodach. W miarę jak zbliżał się do pieczęci, odgadli jego zamiary.

Jednak w chwili, gdy cisnął rękawicę i stanął na pieczęci, nie zauważyli żadnej reakcji.

Charissa z pogardą przyglądała się temu, w końcu sprawiła, że rękawica uniosła się i znalazła w jej dłoni, po czym rzuciła ją komuś ze swej straży. Następnie nieznacznie się ukloniła i zrobiła kilka kroków w stronę Kelsona, który nigdy jeszcze nie wydawał się tak młody i samotny.

— Jesteś gotów do walki, lordzie Kelsonie? — płynnie wymówiła słowa pradawnego zawołania.

Skinął głową.

— Jesteśmy gotowi, lady Charisso.

Uśmiechnęła się i cofnęła o kilka kroków, potem podniosła ręce, wypowiadając szeptem zaklęcie. Natychmiast pojawiła się za nią luna niebieskiego ognia, zakreślając szafirową linię i pochłaniając połowę wielkiego kręgu pieczęci.

Opuściła ramiona i cofnęła się jeszcze o parę kroków, następnie zrobiła poufały gest w jego stronę.

Kelson zaczerpnął głęboki oddech. Teraz nadszedł czas próby. Jeśli nie odpowie na jej zaklęcie, będzie to znaczyło, że przegrał, że posiadanie mocy jest dla niego nieosiągalne. Gdy stanął na pieczęci Cambera, niczego nie poczuł, nie było żadnego znaku, który by go uspokoił. Niczego też się nie dowie, dopóki sam nie spróbuje swoich sił.

Odmawiając w milczeniu modlitwę do owego odtrąconego świętego, na którego pieczę-

ci stał, Kelson powtórzył gest Charissy, płynnym ruchem unosząc ręce nad głowę.

Zupełnie niespodziewanie jego wargi zaczęły wypowiadać słowa, których nigdy nie słyszał, słowa zaklęcia, które sprawiło, że powietrze zaczęło trzeszczeć, a za jego plecami wybuchł purpurowy ogień, który wkrótce zaczął przybierać kształt półokręgu, łącząc się z pół-

okręgiem Charissy i tworząc niebiesko-purpurowy krąg.

Opuszczając ramiona, powstrzymał się od uśmiechu, czuł, jak przenika go jakaś siła, uświadomił sobie niezliczone mnóstwo zaklęć, które zdolne były wywołać moc, o jakiej nigdy nie śmiał nawet marzyć. Wokół siebie usłyszał cichy szmer, gdy wszyscy z ulgą zdali sobie sprawę, iż posiadał jednak moc Haldańczyków.

To nie było jednak wszystko. Sięgając w przepastne otchłanie umysłu, uświadomił

sobie ulotną obecność dwóch innych istot — Morgana i Duncana. W jego umyśle powstało przelotne wrażenie, że przekazują mu słowa pochwały i zachęty, ale po chwili to zniknęło w najdalszych zakamarkach umysłu i w końcu przepadło.

Pozwolił sobie na nikły, sardoniczny uśmiech, gdy Charissa, zaskoczona odpowiedzią na zaklęcie, uniosła brew. Zaraz jednak zmusił się, by w pełni skoncentrować się na tym, co miało wkrótce nastąpić, bowiem Charissa rozłożyła ramiona i zaczęła wypowiadać słowa innego zaklęcia. Było ono wypowiedziane w zrozumiałym dla niego języku; słuchał dokładnie, jednocześnie przypominając sobie odpowiedź, której udzieli, gdy Charissa skończy zaklęcie.

Jej głos był cichy, ale wyraźny w panującej dokoła ciszy.

Zaklinam Ziemię , Wodę , Ogień i Powietrze, Każę mocom pierzchać z tego Pierś cienia.

Oczyszczam go teraz. Bądź cie ostrożni.

Niech ż adna ż ywa istota go nie przeniknie.

Gdy Charissa wypowiadała ostatnie słowa, Nigel pociągnął Duncana mocno za rękaw.

— Duncan! Czy on wie, co ona robi? Jeśli on dokończy to zaklęcie i połączy oba łuki...

— Wiem — szepnął Duncan. — Jeśli to zrobi, krąg nie będzie mógł zostać przerwany, dopóki jedno z nich nie umrze. Takie są prawidła.

— Ale...

— To też dla naszego bezpieczeństwa, Nigelu — słabym głosem dodał Morgan. — Jeśli nie utworzy się takiego kręgu, zaklęcia mogą się wymknąć spod kontroli. Tych dwoje będzie miało do czynienia z niewyobrażalną energią, która będzie pochodzić z różnych źródeł. Mogę cię zapewnić, że nie wszystko, co zobaczysz, ci się spodoba.

— Przynajmniej wiemy, że Kelson posiadał moc Briona — dodał Duncan, patrząc, jak chłopiec rozkłada ramiona. — Nigdy go tego nie uczyłem.

Głos Kelsona był cichy i spokojny, gdy odpowiadał na zaklęcie Charissy.

Niech wewnątrz trz Przechyżnie i Czas znikną .

Niech tego krę gu nic nie opuś ci

Ani do wnętrza nie przeniknie. Okrą g rozpadnie się , Gdy dwaj staną się jednym. A jedno bę dzie wolne.

Gdy skończył, w miejscu łuków pojawił się fiołkowy ogień, który zatoczył koło o średnicy dwunastu metrów, wewnątrz którego mieli stoczyć pojedynek. Jakby na umówiony sygnał, walczący przesunęli się na przeciwległe strony kręgu, każdy stał w odległości około półtora metra od obwodu, a dzieliła ich odległość mniej więcej dziewięciu metrów.

Charissa dokonała pośpiesznej oceny sytuacji, po czym nieznacznie skłoniła głowę. Jej głos brzmiał głucho w magicznym kręgu stanowiącym scenę pojedynku.

— Lordzie Kelsonie, jako że zostałeś wyzwany, twoim prawem i przywilejem jest wy-mierzenie pierwszego ciosu. Postąpisz zgodnie z owym prawem, czy też wyzywający ma wykonać pierwszy ruch?

Kelson skłonił w odpowiedzi głowę.

— Lady Charisso, jako że zostaliśmy wyzwani, prawdą jest, że pierwszy cios jest naszym prawem i przywilejem. Jednakże w obliczu tak pięknego rywala zrzekamy się tego.

Pierwszy cios należy do ciebie.

Gdy Charissa uśmiechnęła się i ukloniła, Nigel znów trącił Duncana łokciem.

— Co, do diabła, on robi? — dopytywał się chrapliwym szeptem. — Niech się nie waży dawać jej więcej przewagi, niż już posiada.

— O to chodzi — mruknął Duncan. — Musi. Takie są formalne zasady pojedynku, które mówią, że mężczyzna, nawet jeśli zostaje wyzwany, zrzeka się prawa pierwszego ciosu na rzecz damy. Kelson zgodził się rozegrać walkę zgodnie z regułami, a to jest jedna z nich.

Nie martw się. Pierwsze zaklęcia mają tylko sprawdzić przeciwnika.

Na drugim końcu kręgu Charissa wyciągnęła przed siebie ręce, dłonie miała złączone.

Następnie, mrużąc coś niewyraźnie, powoli je rozdzielała. Gdy to robiła, w powietrzu pojawiła się kula błękitnego światła, która następnie zaczęła się rozrastać, by w końcu osiągnąć ludzkie rozmiary i przybrać postać walczącego mężczyzny.

Gdy tylko się ukształtował — błękitny wojownik w takiejże zbroi, trzymający płonący miecz w ręku i błękitną tarczę na ramieniu rozejrzał się wokoło i dostrzegł Kelsona. Zionąc ogniem i wydzielając błękitne opary, podniósł głowę i zaczął ostrożnie przesuwając się w stronę młodego króla.

Kelson długo się nie wahał. Położywszy prawą dłoń na zaciśniętej pięści lewej ręki, wyjął z niej błyszczący purpurowy miecz. Gdy błękitny wojownik znalazł się w zasięgu chłopca, powietrze przecięła błyskawica, przygważdżając błękitny miecz w jego rękę, a purpurowe ostrze odcięło mu głowę. Potoczyła się po posadzce z głuchym łoskotem, a po chwili zarówno zjawa, jak i miecz Kelsona zniknęły. Wokoło snuły się jedynie błękitne opary.

Zgromadzeni głośno wyrażali swój zachwyt dla waleczności młodego króla, po czym umilkli, gdy zwinne palce Charissy zaczęły poruszać się nerwowo, zajęte już następnym zaklęciem. Zanim jeszcze zaczęła je wymawiać, wokół niej podniosły się ciemne mgły, z któ-

rych wynurzała się ciężka postać smoka.

Smoku wielki,

Przybą dź mocy.

Pokonaj wszystko,

Uś mierz zmysły.

Zanim zdążyła rozpocząć drugą strofę, Kelson wymówił słowa mające odczytać zaklę-

cie i mgły zaczęły opadać.

Smoku zabij,

Moc przepadnij.

Uś pij zmysły

Przewycięż Mrok!

Oczy Charissy pociemniały groźnie, ale nic nie powiedziała. Sądziła, że odniesie łatwe zwycięstwo, ale teraz było już jasne, że chłopiec wiedział znacznie więcej, niż przypuszczała.

Nie wątpiła jednak, kto wygra pojedynek. Żaden niedoświadczony młokos nie mógł pokonać czarnoksiężniczki pełnej krwi Deryni, która od lat praktykowała sztukę magii. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jej zaklęcia napotykały na duży opór.

Zdenerwowana wytrzymałością przeciwnika, postanowiła zmienić taktykę, uzbroić się w cierpliwość i zbadać słabe punkty wroga. Zajmie to więcej czasu, ale rezultat będzie przynajmniej pewny.

Zaklęcia następowały płynnie po sobie: atak i odparowanie ciosu, parada i riposta.

Ludzie Charissy stali niewzruszenie w nawie bocznej tuż za swoją panią. Ponieważ od dawna już przywykli do magicznych sztuk, interesowało ich tylko jedno, a mianowicie to, by pojedynek nie trwał dłużej, niż było to konieczne. Bez wątpienia będzie trzeba nieraz użyć siły, gdy ich władczyni pokona już tego młodocianego księcia i z niecierpliwością czekali na tę chwilę.

Tylko niektórzy spośród Maurów wykazywali pewne zainteresowanie walką. Byli to ci, którzy parali się wiedzą tajemną i zawsze mieli nadzieję poznać jakieś nowe zaklęcie.

Pozostali świadkowie pojedynku byli zaprzątnięci poważniejszymi myślami. Nigel obserwował walkę, zahipnotyzowany okrucieństwem tego, co mogło się wydarzyć, a jednak zbyt zafascynowany, by oderwać wzrok. Morgan podniósł głowę, by ponownie przyjrzeć się walczącym, zdrową ręką dotykając lekko łokcia Duncana.

— Duncanie...

Duncan popatrzył na niego zatroskany. Twarz Morgana znacznie pobladła, a ból na niej wrył się jeszcze głębiej.

— Co się dzieje? Czy bardziej cię boli?

Morgan zacisnął zęby i skinął słabo głową.

— Utraciłem dużo krwi. Czuję, że siły mnie opuszczają. Ta moc, którą się posłużyli-

śmy, ratując Jehanę, omal mnie nie zabiła.

Duncan pokiwał głową.

— Co mam zrobić? Jak mogę ci pomóc?

Morgan spróbował ułożyć się wygodniej na twardych kamiennych schodach, wykrzywając twarz w bólu, bo rana znów się zaogniła.

— Pamiętasz, mówiłem ci, jak uzdrowiłem Derry'ego zeszłej nocy. Muszę zrobić to jeszcze raz, tym razem na sobie — położył lewą rękę na piersi tak, by mógł widzieć pieczęć z wizerunkiem Gryfa. — Myślę, że teraz znam sposób, ale musisz mi pomóc. Dodawaj mi siłę

wspieraj tok moich myśli, ale nie ingeruj. Mówię to, ponieważ dotykam pewnych sfer, które są... no cóż, wątliwe.

Duncan uśmiechnął się nieznacznie.

— Chcesz powiedzieć, że zawierasz heretyckie przymierza?

— Niewykluczone — mruknął.

Z zadumą popatrzył na walczących i uśmiechnął się, gdy Kelson pokonał szczególnie groźną bestię, po czym skierował uwagę na pieczęć widniejącą na palcu wskazującym lewej ręki i zaczął powoli się koncentrować. Jego oczy stały się szkliste, gdy rozpoczął pierwszą fazę transu; a gdy zapadł w głęboki trans, również Duncan zaczął skupiać uwagę na pieczęci.

Ksiądz z niezwykłą łatwością wszedł w kontakt z umysłem swego kuzyna; pozwolił, by jego myśli stopiły się z myślami Morgana, poddał się temu prądowi, udzielając im wsparcia, gdy tylko zaszła potrzeba. Siedzący obok Nigel niczego nie podejrzewał.

Dla Kelsona czas zdawał się dłużyć w nieskończoność. Cały szereg potworów i bestii, zarówno tych prawdziwych jak i legendarnych, które albo pokonał, albo sam powołał do życia, wydawał się na wpół pamiętanym koszmarem wyłaniającym się z ciemności jakiejś dawno minionej nocy. Trzygłowe smoki, ośmiornice z falującymi mackami, ziejące ogniem gryfony, skrzydlate dwunożne smoki, stenrecty podobne do tego, którego widział w ogrodzie —

lista zdawała się nie mieć końca. Nawet teraz Charissa przywoływała jakieś nowe bestie, które będzie musiał zwalczyć.

Wyprostował się i zmusił do skupienia uwagi, odnosząc wrażenie, że ostatnie zaklęcie Charissy nie było już tak rutynowe i zwyczajne jak poprzednie.

Gdy jej palce poruszały się w dziwnym tańcu, Kelson uświadomił sobie, że moc tego zaklęcia sięgała samego serca mroku. Wytężył słuch, by zrozumieć każde wypowiedziane przez nią słowo.

Nasienie Dagona, Ulubieńcu Baela,

Uśłuchaj mego wezwania, wzywam cię tutaj.

Dziecię Grzmotu, śłuchaj mego rozkazu.

Przybądź : Każę ci się pojawić .

Zgładź tego ambitnego księcia.

Okryj go płaszczem płomieni.

Pomóż odzyskać przywłaszczony tron

Należny od dawna Charissie!

W miarę jak wypowiadała te słowa, w powietrzu rozległ się grzmot i z gęstych czarnych oparów zaczęła się wyłaniać wysoka mroczna postać, kształtem przypominająca człowieka, cała pokryta łuskami, szponami i z długimi zębami.

Potwór stał przez chwilę i mrużył ślepią, próbując przywyknąć do światła. Kelson tymczasem złożył dłonie i... przeszył go dreszcz, gdyż uświadomił sobie, że nie zna żadnego zaklęcia, które mogłoby go ochronić. Gdy bestia odzyskała panowanie nad sobą, zaczęła powoli przemierzać dzielącą ich odległość. Kelson zaczął niezdecydowanie wymawiać słowa kilku zaklęć naraz, jednakże nie odnosiło to żadnego skutku.

Wydając przeraźliwy krzyk, stwór stąpał ociężale pośród niebieskich oparów i płomieni, jego ślepią płonęły czerwonym ogniem, rzucając na ściany katedry promienie światła.

W chwili gdy był w połowie drogi, Kelson wpadł w panikę.

Rozdział szesnasty

Koronę szczerozłotą wkładam mu na głowę . Prosił Ciebie o życie.

Ty go obdarzyłeś . (Ps 21, 4-5)

Gdy stwór był już bardzo blisko, Kelson przypomniał sobie nagle pewne zaklęcie. Co-fnął się o kilka kroków, a jego usta zaczęły wymawiać te słowa. W miarę jak uczucie paniki zaczęło ustępować pewności siebie, jego głos stawał się coraz silniejszy.

Panie Światła

o olś niewają cym blasku,

Pomóż mi, jeś li słyszysz

Wołanie Twego sługi,

Walczą cego o swój lud.

Uż ycz mi sił,

bym zgładził tego Demona.

Wyś lij go na dno Piekieł.

Oczyść ten krąg z Złych Mocy,

Przywołanych przez Charrisę !

Wypowiedziawszy słowa zaklęcia, wznosił wysoko ramiona, po czym zdecydowanym ruchem palców wskazał punkt położony niecałe dwa kroki od miejsca, z którego nadchodził

potwór.

W tej właśnie chwili słońce wyszło zza chmur, rozświetlając swym blaskiem katedrę i rzucając wspaniałą, wielokolorową wzór na posadzkę dokładnie w miejscu, które wskazał.

Kelson nie poruszył się, gdy tymczasem stwór wszedł w plamę światła i zaczął się wić i wykręcać ciało, wyrzucając z siebie ogniste płomienie i dymy. Wył z wściekłości i bólu, rzucał całym cielskim tuż u stóp chłopca, lecz w żaden sposób nie mógł wydostać się z owej świetlistej plamy, by rzucić się na młodego króla.

Po chwili zastygł, a jego postać ulotniła się. W miejscu, gdzie leżał stwór, snuły się jedynie gryzące w oczy niebieskie dymy, a na posadzce odbijało się złociste i purpurowe światło.

Kelson opuścił ramiona, Pierścień Ognia połyskiwał groźnie, a słońce zaszło z powrotem za chmury. Gdy ciche westchnienie ulgi wyrwało się z ust wszystkich zebranych, podniósł oczy, by spojrzeć na Charissę. Zrobił kilka kroków do przodu, by do niej przemówić i z ironią zauważył, że miejsce, w którym zginął potwór, a w którym teraz stał, było pieczęcią świętego Cambera. Podziękował cichym głosem temu komuś lub czemuś za pomoc.

Gdy przemówił, jego oczy promieniały odwagą.

A teraz Charriso, pojedynek musi się skończyć .

Nie uż yczę już mej mocy,

By zaspokoić twe kaprysy. Bronię

Mego ludu i niszcę twą moc.

Przysięgam na Wszystkie Ś wię toś ci, Udaremnię twe nieczne zamiary.

A co wię cej, zadam kłam twemu twierdzeniu,

Iż Dobro i Zło są tym samym.

Dlatego przygotuj się do walki.

Bę dzie to bitwa ostatnia.

Bo póki żyję , ś wiatło dnia wygaś nie, Dopóki nie zostaniesz pokonana!

Gdy skończył, w katedrze zrobiło się ciemno. Przez otwarte drzwi w głębi nawy zobaczył, że niebo rzeczywiście pociemniało, chociaż nie minęło jeszcze południe.

Charissa miała wrażenie, jakby głos uwiązał jej w gardle, po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się strach. Bała się tej próby, ale nie miała innego wyjścia. Jej palce ponownie zaczę-

ły się poruszać w tajemniczy sposób, gdy wypowiadała słowa odpowiedzi na wyzwanie Kelsona.

Twe przechwałki wzbudzają strach,

Lecz nie obawiam się twego dumnego słowa.

Nietrudno o groź by.

Znuż ona tą grą ,

Przyjmuję twą próbę ognia.

Strzeż się ! Bo to j a okryję się sławą !

A gdy skoń czy się ta farsa.

Wówczas ś mierć spotka syna Briona,

A j a bę dę władać !

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa zaklęcia, obie połowy okręgu pokryły się błękitną i czerwoną mgłą, tworząc nad nimi półkulę. W miejscu zetknięcia tych dwu kolorów powstała iskrząca się łuna fioletowej barwy będąca jedynym światłem w katedrze poza świecami i wiecznymi lampkami.

Kiedy zajęli swe miejsca, łuna zaczęła przesuwać się raz w jedną, raz w drugą stronę, w zależności od tego, kto uzyskiwał przewagę w tej ostatecznej próbie sił. Po chwili jednak owa ściana fioletowego ognia zaczęła nieubłaganie przesuwać się w stronę Charissy.

Gdy półkula zaczęła wolno zmieniać barwę na purpurową, wypierając błękit, na twarzy Charissy pojawił się graniczący z przerażeniem strach. Śmiertelna łuna pomiędzy nią a Kelsonem wolno, lecz nieustannie zmierzała w jej stronę. Oczy Władczyni Mroku wypełnił strach, gdy okazało się, że

dotarła już do krańców okręgu. Ramiona dotknęły gładkiej, lecz nie pod-dającej się powierzchni ograniczającej krąg; zatrzymała się, nie mogąc już dalej się cofnąć.

Gdy wchłonął ją purpurowy blask, wydała z siebie długi, przerażający krzyk, który przyci-chał, w miarę jak stawała się coraz mniejsza i mniejsza.

W końcu zniknęła, a z nią krąg, purpurowy blask i półkula. Pozostał jedynie młody chłopiec odziany w białe szaty, który stał na pieczęci dawno zapomnianego świętego, zbyt oszołomiony zwycięstwem, by usłyszeć okrzyki, jakie podnieśli ci, którzy przez cały czas patrzyli i pokładali w nim swoje nadzieje.

Na zewnątrz rozjaśniło się, a chmury zaczęły się rozwiewać.

Usłyszawszy krzyki, Morgan otworzył oczy, uśmiechnął się i dotknął rannego ramienia

— było zagojone. Gdy przyglądał się swemu dziełu, Duncan również otworzył oczy, popatrzył na Kelsona, a potem pomógł kuzynowi wstać. Generał podszedł do Kelsona i lekko dotknął jego ramienia.

Kelson drgnął i spojrział na niego z zaskoczeniem.

— Morganie, ty nie jesteś...?

— Nie teraz, mój książę — półgłosem odparł, wskazując na wiwatujące tłumy i uśmiechając się. — Trzeba dokończyć ceremonię koronacji.

Wziął go pod ramię i zaprowadził do prezbiterium, gdzie czekali osłupiali i przerażeni arcybiskupi. Gdy ustały wiwaty, Nigel przyniósł królewski płaszcz i z dumą i namaszczeniem nałożył go Kelsonowi na ramiona. Śmierć Władczyni Mroku uwolniła też z zaklęcia Jehanę, która teraz usiadła i nierozumiejącymi oczyma patrzyła na swego syna.

Kelson dostrzegł jej spojrzenie, odsunął od siebie dostojników, minął prezbiterium i podszedł do niej. Zatrzymał się z wahaniem i przyklęknął u jej stóp.

— Wiele dla mnie ryzykowałeś — szepnął niepewnie, bojąc się jej dotknąć. — Czy wybaczysz, że sprzeciwiłem się twojej woli?

Jehana przypadła do niego ze szlochem, chwyciła jego dłoń i trzymając w swojej, przy-
łożyła ją do ust.

— Proszę, nie pytaj mnie teraz o to — szepnęła, łzy spływały jej po policzkach i kapały na jego dłoń. — Pozwól mi się tylko cieszyć, że żyjesz.

Ścisnął jej dłoń, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy, w końcu odsunął się i wstał. Po kilku krokach uśmiechnął się do niej, uklonił, wreszcie odwrócił i odszedł do czekających na niego przy ołtarzu dostojników.

Gdy uklęknął na stopniach ołtarza, wszyscy z wyjątkiem arcybiskupów i biskupów zrobili to samo. Następnie arcybiskup Corrigan, arcybiskup Loris i biskup Arilan podnieśli wysadzaną klejnotami koronę Gwynedd i wymówili słowa pradawnej formuły.

— Pobłogosław, błagamy Cię Panie, tę koronę. I pobłogosław Swego sługę, Kelsona, na którego głowę ją wkładasz na znak jego królewskiej godności. Spraw, by z łaski Twojej otrzymał wszystkie cnoty książęce. Przez Pana Naszego, który mieszka i króluje razem z Tobą w jedności z Duchem Świętym, na wieki wieków. Amen.

Wszystko to zobaczyli i usłyszeli zgromadzeni w katedrze ludzie.

Ale ci, w których żyłach płynęła krew Deryni, ujrzeli więcej. Widzieli, że koronę nad głową Kelsona podtrzymuje jeszcze czwarta postać — wysoki mężczyzna o jasnych włosach odziany w błyszczące złote szaty pradawnych lordów Deryni. Usłyszeli także, iż wypowiada-nym przez księży tradycyjnym słowom towarzyszy jeszcze inne przesłanie. Nieznajomy po-służył się starodawną formułą Deryni, która przepowiadała młodemu dzielnemu królowi zu-pełnie inne przeznaczenie.

— Kelsonie Cinhil Rhys Anthony Haldane, koronuję cię w Imieniu Wszechmocnego, który wie wszystko, oraz w imieniu tego, który przez długie lata był Obrońcą Ludzkości.

Kelsonie Haldane, jesteś Królem Ludzi i Deryni. Żyj i bądź szczęśliwy, królu Gwynedd!

Gdy korona spoczęła na jego głowie, zjawa zniknęła, a Morgan i pozostali wstali, patrząc, jak król otrzymuje pozostałe insygnia władzy.

Nie czekając na zakończenie ceremonii inwestytury, Morgan odwrócił się do Duncana.

— Duncanie, widziałeś to co ja? — szepnął.

Duncan niezauważalnie skinął głową.

— Wiesz, kto to był? — nalegał Morgan.

Duncan spojrział na niego z ukosa, po czym znów popatrzył na to, co działo się przy ołtarzu. Księża przysięgali teraz wierność królowi, ceremonia wkrótce powinna się skończyć.

— Pozwól, że zgadnę — szepnął Duncan. — Był to twój tajemniczy nieznajomy.

Tym razem Morgan skinął głową.

— Nie wierzysz, że to był Camber, prawda?

Duncan potrząsnął przecząco głową i zmarszczył brwi.

— On mówił w i m i e n i u Cambera, co czyni go jeszcze bardziej tajemniczym.

Morgan nieznacznie westchnął, po czym poprawił opończę. Jeśli pociągnie ją jeszcze mocniej, uda

mu się zakryć dziurę w tunice i krew na materiale.

— Cieszę się, że nie był to święty Camber — szepnął Morgan, zanim jeszcze wszedł na schody, by złożyć hołd nowemu królowi. — Nie lubię być wybrańcem Niebios. Czuję się wówczas nieswojo.

Powiedziawszy to, stanął przed Kelsonem i uklęknął, podając mu dłonie. W pograżonej w ciszy katedrze jego głos brzmiał mocno i wyraźnie, gdy wypowiadał słowa pradawnej przysięgi.

— Ja, Alaric, ksiązę Corwynu, przysięgam ci wierność...

Gdy wstał, by Kelson mógł go uścisnąć, wszyscy pozostali dostojnicy — Nigel, Ewan, lord Jared, Kevin McLain, Derry — wszyscy podeszli, by powtórzyć słowa przysięgi i złożyć hołd swemu nowemu władcy. Morgan jeszcze raz wziął do ręki Miecz Królewski, by stanąć z nim u boku króla, podczas gdy wszyscy wielcy książęta i baronowie podchodzili, by złożyć śluby wierności. Następnie zaczęli formować procesję, aby opuścić katedrę.

Dostojnicy kościelni minęli transept i powoli wychodzili nawą główną. Po śmierci Charissy jej świta wymieszala się z tłumem i teraz wszyscy wiwatowali na cześć króla. W

chwili gdy Kelson i jego orszak dotarli do transeptu, słońce przedarło się przez chmury.

Promienie słoneczne rozświetliły witraże, tworząc kolorową poświatę u stóp Kelsona.

Zatrzymał się i kościół zamarł w pełnym napięcia oczekiwaniu, a wszystkie oczy zwróciły się na młodego króla. Przedtem kolorowa plama słońca oznaczała śmierć.

Popatrzył w górę na witraż i uśmiechnął się, następnie powiódł wzrokiem po pograżonym w ciszy tłumie. W końcu ze spokojem wszedł w plamę słońca.

Zgromadzeni wydali głośnie westchnienie ulgi przemieszanej z zachwytem. Światło słoneczne nie oznaczało już śmierci. Połyskiwało w klejnotach, jakie miał na sobie Kelson i błyszczało w koronie niczym tysiąc wschodów słońca.

Odwrócił się, by spojrzeć na Morgana i Duncana, dając im znak, by stanęli obok niego.

Posłuchali bez wahania.

Światło połyskiwało w złocistych włosach Morgana, na jego aksamitnej opończy, zamieniło śnieżną biel komży Duncana w tęczę kolorów. Cała trójka ruszyła nawą ku wyjściu.

W miarę jak posuwała się procesja, rozradowany tłum wznosił gorące wiwaty.

— Niech Bóg błogosławi króla Kelsona! Niech żyje król!

A król Gwynedd wyszedł z katedry, by pokazać się swym wiernym poddanym.